Wszystkim Kobietom
mniej trosk,
więcej radości

życzy męska część
zespołu „Odgłosów"

Foto: Grzegorz Gałasiński

Osiedlił się we Włoszech. Przeszedł Borneo wzdłuż równika. Założył szkołę przetrwania. Był w Łodzi, ale nikt tego nie spostrzegł. Wydał książki, które stały się bestsellerami na świecie, ale nikt nie przetłumaczył ich na język polski.

I ty możesz zafundować sobie osiem dni piekła

MAREK KOPROWSKI

Poznałem niedawno człowieka, którego nazywają Indiana Jones lub Rumbo. Nazywa się **Jacek Pałkiewicz.**

Polak, oczywiście, choć w tym „oczywiście", zdaję sobie sprawę, więcej ochoty do ratowania spróchniałej megalomanii narodowej, niż wiary, iż tylko nasze plemię mogło zrodzić takiego herosa.

Jacek Pałkiewicz jest człowiekiem konkretnym (nie w nim z romantyka), niezbyt rozmownym, który uważa (tak mi się wydaje), że czyn więcej mówi o człowieku, niż próżne strzępienie języka. Jak powiedział **R. W. Emerson:** „słowa są czynami, a czyny są rodzajem słów".

Kim jest Jacek Pałkiewicz?

Od 1972 roku mieszka we Włoszech. Dziennikarz, naczelny redaktor miesięcznika „Avventura" („Przygoda"), współpracownik „Gazetta della Sport" i „Corriere della Sera" — najpoważniejszej gazety włoskiej. Podróżnik, poszukiwacz przygód. Jego życiorysem można by obdarować kilku niespokojnie żyjących ludzi. Pływał jako oficer na statkach panamskich i liberyjskich, a także na szkolnych żaglowcach. Samotnie **przepłynął Atlantyk w** szalupie ratunkowej bez radia i sekstansu: w 44 dni z Dakaru do Georgtown. Mieszkał wśród Indian w Kolumbii. Na dalekiej Północy, na Yukonie, powoził psimi zaprzęgami. Przemierzył Syberię i całą Afrykę, gdzie głównie interesowała go Sahara. Pracował w kopalni złota w Ghanie i w kopalni diamentów w Sierra Leone. Dżungla nie ma dla niego tajemnic: w Amazonii był kilkanaście razy, zna dżunglę płd.-wsch. Azji. Był w Wietnamie, Polinezji i na Karaibach. Z Jerzym Kukuczką wszedł na szczyt Annapurna, powyżej 8000 metrów.

Najważniejszym jednak jego przedsięwzięciem była **wyprawa na Borneo.** Jako pierwszy (z ekipą, rzecz jasna), w 1986 r., przebył tę wyspę wzdłuż równika, 2500 kilometrów przez dżunglę. Od Samarinda do Pontianak, a pomiędzy tymi miejscowościami tereny nie tknięte stopą człowieka spoza wyspy. Jedna z ostatnich plam na mapie Ziemi, gdzie nie było dotąd cywilizowanego człowieka. Teraz już był Jacek Pałkiewicz.

Właśnie w miesięczniku „Przygoda" oglądam duży, wielodcinkowy reportaż z tej wyprawy, pisany przez Jacka Pałkiewicza, bogato okraszony znakomitymi, kolorowymi fotografiami. Na największej widać trzech facetów w komandoskich bluzach, z ogromnymi plecakami, którzy, po piersi w bagienkowatej wodzie, brną pomiędzy zaroślami. W rękach trzymają długie drągi, a te, trzymane w pozycji poziomej pomagają w utrzymaniu równowagi i zapobiegają **wessaniu** w grzęzawisko. Jedna z tych **nabrzmiałych wysił-**

5

- **Kariera i upadek Ławrentija Berii** ——— str. 13
- **Skierniewice 13 lat po awansie** ——— str. 6
- **Strefa marzeń i nadziei w Szczecinie** ——— str. 1 i 6
- **Niezwykła szkoła przetrwania** ——— str. 1 i 5
- **Czy ludziom potrzebny jest teatr?** ——— str. 4

Nr indeksu 36762PL ISSN 0472-5042

Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 11 (1563) ROK XXXI 12 MARCA 1988 ROKU CENA 50 ZŁ

Marzec 1968 — budzi emocje, bo nie wszystko o tamtych wydarzeniach wiemy. Nadal jesteśmy ciekawi kulis marcowego kryzysu.

Czy dwadzieścia lat wystarczy?

Mija 20 lat od wydarzeń z marca 1968 roku. Kryzys z 1968 roku zaczął się znacznie wcześniej odejściem od linii „Października 1956" wyznaczonej na VIII Plenum KC PZPR, a charakteryzował się narastaniem administracyjnych metod kierowania gospodarką, życiem społecznym i kulturą, ograniczeniem dyskusji, a przede wszystkim niechęcią do reformowania gospodarki. Kryzys ten przejawiał się burzliwymi studenckimi demonstracjami i niezadowoleniem wyrażanym przez środowiska twórcze, pisarzy i ludzi nauki. Doszło też do przejawów antysemityzmu, co było wypaczeniem walki z rewizjonizmem i syjonizmem.

Dziś jeszcze mało wiemy o wielu subiektywnych i obiektywnych przyczynach marcowych wydarzeń. Widać 20 lat to za mało, aby wypełnić tę białą plamę w naszej najnowszej historii. Niewielu historyków — jak dotąd — zajęło się „Marcem 1968", a niektóre próby nie wniosły nic nowego i były ostro krytykowane. Dlatego uważamy, że warto Czytelnikom przypomnieć niektóre dokumenty, jak i wspomnienia świadków kryzysu z 1968 roku.

Zaczynamy od przypomnienia fragmentu „Sprawozdania z prac Komisji KC PZPR po-

3

30 marca 1968 roku. Plac Zwycięstwa w Łodzi.
Foto: J. Głowacki

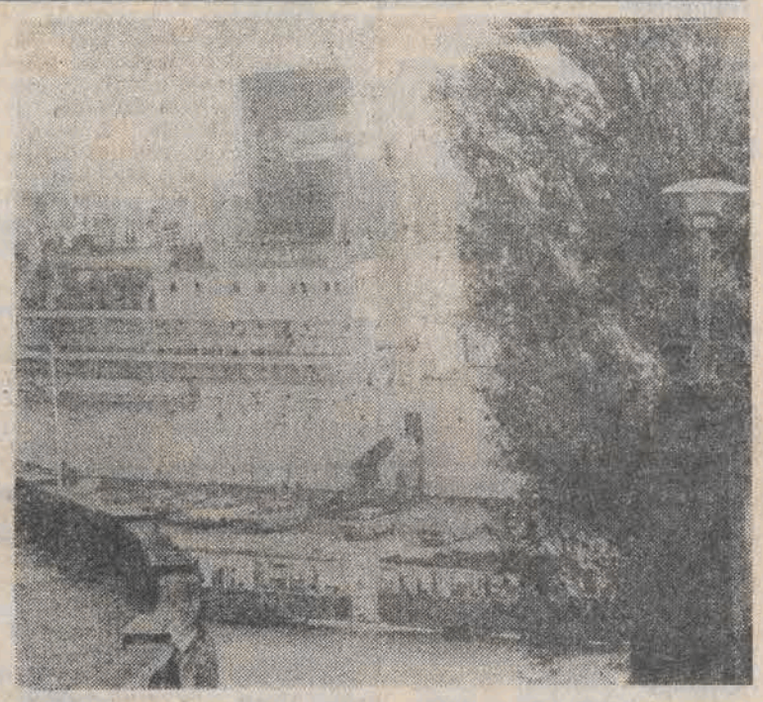

Czy Szczecin stanie się konkurencyjny dla Hamburga i Kilonii.

Strefa marzeń i nadziei

ANDRZEJ GĘBAROWSKI

Strefy chcą dziś w Szczecinie wszyscy. Działacze spodziewają się po niej ożywienia gospodarczego regionu. Menedżerowie liczą na korzystne interesy z kapitałem zagranicznym. Pracownikom uspołecznionych przedsiębiorstw śnią się wysokie zarobki. Słowem: strefa przyciąga, choć jeszcze jej nie ma.

Szczecinianie są jednak coraz pewniejsi, że powstanie. Wszystko rozstrzygnie się w ciągu roku, a może nawet w najbliższych miesiącach. Prawdopodobnie już w marcu 1988 r. grupa szczecińskich przedsiębiorstw i instytucji zwróci się do urzędów centralnych o wstępną zgodę na utworzenie wolnego obszaru celnego, pod zarządem spółki akcyjnej.

Na początek — zgodnie z przygotowanym scenariuszem — spółka obejmie w posiadanie 4 km portowych nadbrzeży wraz z przyległymi placami oraz dwie na wpół dzikie wyspy, schowane pomiędzy Odrą a jeziorem Dąbie. Kto ma wyobraźnię, dostrzega już na nich nowoczesne magazyny i składy, widzi drogi, mosty i ciężarówki pełne towarów, słyszy szelest banknotów — dolarów, koron, marek...

Nic tak obecnie nie działa na wyobraźnię, jak perspektywa zysków w twardej walucie. Nic nie jest tak potrzebne znękanej gospodarce, jak te zyski właśnie, plus technologie i najlepsze wzory organizacji pracy. Wszystko to obiecuje strefa, w zamian za uszczuplenie terytorium celnego państwa.

2.

Jeszcze dziesięć lat temu byłby to pomysł z kapitalistycznego piekła rodem. Pięć lat temu odważył się go wysunąć **Ignacy Soszyński,** właściciel firmy polonijnej „Inter-Fragrances" Wspomagał się przy tym przykładem Hongkongu, co wywołało niemało zamieszania w zbyt gorących głowach. W prasie pojawiło się kilka poważnych artykułów, zaś w Szczecinie urządzono Ignacemu Soszyńskiemu spotkanie w gronie naukowców i dyrektorów. Na dyskusji wszakże się skończyło. Władze miasta odniosły się do nowej inicjatywy ostrożnie, czekając na odzew z centrum. Warszawa zaś milczała, uznając widocznie, że pomysł jest przedwczesny.

Na kilka lat zapadło w tej sprawie milczenie. Jednak idea strefy — raz wywołana — nie dawała o sobie zapomnieć. Znaleźli się tacy, co zaczęli „drążyć". Jednym z „drążących" był profesor **Waldemar Grzywacz** z Uniwersytetu Szczecińskiego. Jako szef szczecińskiego PRON i przewodniczący oddziału PTE miał większe niż inni możliwości przekonywania. O strefie wspominał m.in. z mównicy II **Kongresu PRON.**

6

Odgłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36-52-44

sekretarz redakcji,

fotoreporter: 36-80-99,

publicyści: 36-77-70, 32-89-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.
Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz
Kierownik działu:
literackiego: Henryk Pustkowski
Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.
Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska, Marian Zdrojewski.
Grafik: Janusz Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Marek Brzeziński (Londyn), Bohdan Gadomski, Grzegorz Gazda, Witold Kasperkiewicz, Andrzej Kempa, Wasyl Kocznow (Iwanowo), Marek Koprowski, Włodzimierz Krzemiński, Zenon J. Michalski, Ryszard Nakonieczny, Adam Ochocki, Jerzy Panasewicz, Karol J. Stryjski, Maciej Świerkocki.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch" 91-103 Łódź, ul Sienkiewicza 3/5

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch" Łódź, ul Armii Czerwonej 28

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Warunki prenumeraty: 1. Dla instytucji i zakładów pracy — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. Dla indywidualnych prenumeratorów — osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora Wpłaty dokonuje się używając blankietu „wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch" 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11 Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego

Zam. 717. S-10.

Przegląd prasy

Mamy obecnie sytuację pod pewnymi względami podobną do tej, która poprzedzała 1980 rok. Ale nie grozi nam nowy konflikt społeczny. Taki pogląd przedstawił doc. dr hab. Stanisław Kwiatkowski w dyskusji zorganizowanej przez redakcję „TYGODNIKA KULTURALNEGO" (nr 10). W krótkim wprowadzeniu dokonał następującej oceny:

„Jest podobnie zły i pogarszający się statut materialny większości gospodarstw domowych. Narasta dystans do polityki i w ogóle do życia politycznego. Panuje głębokie zniechęcenie, apatia, ale na tle politycznym, nie zaś w wymiarze ekonomicznym, co trzeba wyraźnie rozgraniczyć. Podobne jest także ciśnienie na bieguny polityczne. Co mam na myśli? Otóż legalne struktury czy instytucje polityczne straciły nieco na zaufaniu społecznym. (...) Co wcale nie oznacza, że przeciwnik polityczny, czyli przeciwległy biegun, zyskał. Przyzwolenie na jego działalność spadło do poziomu 16 proc. Rośnie polityczny środek przy ciśnieniu na bieguny. (...) Przede wszystkim ujawniają się skutki długofalowych kryzysowych - zaburzeń we wszystkich prawie wymiarach, począwszy od odżywiania, poprzez ograniczenia w budżetach rodzinnych coraz większej części społeczeństwa, rezygnację z urlopów, uciążliwości życia. Narasta szeroko rozumiana patologia społeczna, nadużycia gospodarcze, demoralizacja w handlu i usługach, kiepska i pogarszająca się komunikacja, a może — co najważniejsze — pogłębiające się rozwarstwienie społeczne. Bogaci bogacą się coraz szybciej, biedni coraz bardziej biednieją. (...) Sektor prywatny miał rozbijać monopol, gdy tymczasem stał się rajem dla cwaniaków, malwersantów, ludzi skorumpowanych. Oburza to ludzi i w poważnym stopniu waży na nastrojach społecznych. Denerwuje nie tyle, że się innym zamożnie żyje, ale że moralnie naganna jest droga, która prowadzi do bogactwa".

CO ROZŁADOWUJE NAPIĘCIE?

Stanisław Kwiatkowski nie przewiduje wybuchu niezadowolenia z powodów politycznych. Przede wszystkim dlatego, że małe jest zainteresowanie polityką. Poza tym w życiu politycznym dzieje się na razie dużo dobrego. Nie trzeba rewolty, żeby wejść na scenę polityczną. Zbliżają się wybory do rad narodowych.

Najbardziej krytycznie nastawione jest pokolenie trzydziestolatków. Ten niebezpieczny zapalnik został jednak rozładowany. Znaczna część wyjechała za granicę, niektórzy działają w sektorze prywatnym, inni mogą znaleźć szanse w reformie gospodarczej.

Z taką oceną sytuacji całkowicie zgodził się prof. dr hab. Władysław Markiewicz. On również nie spodziewa się wybuchu podobnego tym z lat 1956, 1970 i 1980, choć dostrzega identyczne czynniki powodujące kryzys. Ludzie dziś obawiają się ponownego konfliktu i nie wierzą już, że tą drogą można cokolwiek poprawić. W dodatku hamująco działa postęp w demokratyzacji życia społeczno-politycznego. Jest dość szeroka wolność słowa, liberalniejsza cenzura, łatwiej wyjechać za granicę. W nastrojach społecznych nie wyczuwa się groźby gwałtownej erupcji.

Inaczej ocenia naszą sytuację prof. dr hab. Józef Kaleta. Przyznaje wprawdzie, że nie ma niebezpieczeństwa na tle politycznym, bo ludzie mniej fascynują się polityką, ale przypomina, że wszystkie kryzysy miały podłoże ekonomiczne. A stan gospodarki jest tragiczny.

„Gremia kompetentne, na przykład Kongres Ekonomistów Polskich w Krakowie i inne, nie ostrzegają władzy, nie biją na alarm, chociaż przecież sytuacja pogarsza się. Myślę, że Komitet Nauk Ekonomicznych PAN, w którym zasiadają najbardziej liczący się ekonomiści w Polsce, ma obowiązek statutowy ostrzegania władzy, że jest dramatyczna sytuacja gospodarcza. Niestety, Komitet nawet nie dyskutuje na temat gospodarki. A więc powtarza się historia lat 70., ten czas także nie był czasem publicznych dyskusji, nie ostrzegaliśmy władz, chociaż oczywiście były głosy indywidualne. Sądzę, że mamy obowiązek mówienia o niebezpieczeństwie, obowiązek bicia na alarm..."

Jako dramatyczną ocenia także sytuację doradca byłej Krajowej Komisji Porozumiewawczej NSZZ „Solidarność" Bronisław Geremek. W rozmowie z Jerzym Szczęsnym na łamach miesięcznika „KONFRONTACJE" (nr 2 — cena 99 zł) proponuje utworzyć w Polsce

PAKT ANTYKRYZYSOWY

Stanisław Geremek powiada, że nie jest katastrofistą. Nie twierdzi bowiem, że nasza sytuacja jest nieuniknione i bez wyjścia. Poradziliśmy sobie przecież w znacznie trudniejszych warunkach po wojnie. Był to okres zupełnie unikalny. Dlaczego?

„W tych latach powstał jednak pewien układ, swoisty pakt między społeczeństwem i władzą, uwzględniający oczywisty interes kraju. Okres powojennej odbudowy, to niezwykły moment spotkania władzy i społeczeństwa i to wbrew silnym konfliktom politycznym tamtego czasu. Sądzę, że to, co obserwujemy od ponad dziesięciu lat, stanowi groźny trend. Marksiści mogliby powiedzieć, że narastająca ilość zagrożeń przechodzi w niebezpieczną jakość. Obecnie mamy po raz pierwszy sytuację, w której nie tylko środowiska nastawione opozycyjnie do obecnej władzy, bądź od tej władzy niezależne, mówią o kryzysie nie koniunkturalnym, a strukturalnym. Po raz pierwszy o tym mówią otwarcie elity rządzące i to nie tylko w Polsce. Obecnie ten problem dotyczy wszystkich bez mała europejskich krajów socjalistycznych".

Zdaniem S. Geremka, władza i społeczeństwo nadal tkwią jak gdyby w stanie wyjątkowym. Należy to przezwyciężyć. Władza musiałaby zrezygnować z instrumentarium prawnego będącego następstwem stanu wojennego. Na przykład, Rada Państwa mogłaby umożliwić pluralizm związkowy, który zresztą dopuszcza ustawa o związkach zawodowych. Z kolei społeczeństwo powinno zaakceptować istniejący porządek prawny wraz z zasadą przewodniej roli Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Określony monopol władzy nie wyklucza porozumienia społecznego. Obejmowałby politykę zagraniczną i obronną, sprawy bezpieczeństwa kraju oraz w jakimś stopniu system przedstawicielski.

Przed i po 13 grudnia 1981 roku obie strony zdobyły pewne doświadczenia, które ułatwiają zawarcie paktu społecznego przeciw kryzysowi. Ma on dziś większe szanse niż kiedykolwiek.

„Doświadczeniem społeczeństwa jest to, że swe aspiracje i dążenia musi utrzymywać w rozsądnych granicach; doświadczeniem władzy — że bez autentycznych sił społecznych nie można dokonać przełomu, którego wszyscy pragną. Istnieje możliwość wyznaczenia pola wspólnego dobra i podporządkowania mu sfer konfliktowych".

Przystąpienie społeczeństwa do paktu antykryzysowego wymaga instytucjonalizacji pluralizmu. Stanisław Geremek główne znaczenie przywiązuje do pluralizmu związkowego i nie obawia się anarchizacji procesu produkcji. Pluralizm taki, jego zdaniem, nie stanowiłby zagrożenia politycznego dla władzy. Byłoby czynnikiem tworzącym autentyczną współodpowiedzialność za losy kraju.

W serii polskich kryzysów zazwyczaj umieszcza się również 1968 rok. Przypada właśnie 20 rocznica wydarzeń marcowych. Z tej okazji „TRYBUNA LUDU" (nr 51) opublikowała obszerny artykuł Janusza Janickiego i Mieczysława Jaworskiego. Jest to w znacznym stopniu

NOWA OCENA MARCA

Autorzy przypominają ówczesne uwarunkowania międzynarodowe i wewnętrzne, przedstawiają stosunek władz do narastającego konfliktu, ukazują przebieg wypadków i następstwa kryzysu. Zdecydowanie potępiają m.in. przejawy antysemityzmu. Wyjaśniają je następująco:

„Na fali wydarzeń związanych z konfliktem marcowym w latach 1968—1971 wyjechało z Polski około 13 tys. osób pochodzenia żydowskiego. Wszystkie te zjawiska zaszkodziły międzynarodowemu prestiżowi Polski. Społeczny zasięg oddziaływania tych zjawisk i tendencji był ograniczony. Istniały jednak okoliczności sprzyjające ich występowaniu i upowszechnianiu. W latach 1967—1968, w związku z konfliktem bliskowschodnim, część obywateli polskich pochodzenia żydowskiego zajęła krytyczne stanowisko wobec polityki naszego rządu. Co więcej, niektórzy z nich w sposób demonstracyjny wyrażali poparcie dla agresji izraela przeciwko krajom arabskim. Wymowę tego postępowania i uwrażliwienie na nie zaostrzał fakt, iż w armii izraelskiej na niektórych nawet wysokich funkcjach znajdowali się emigranci z Polski, w tym także byli oficerowie Wojska Polskiego. Żywotny był również problem odpowiedzialności za wypaczenia okresu stalinowskiego. Różne względy, w tym historyczne warunki kształtowania się polskiego ruchu robotniczego, zadecydowały o tym, że na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych wiele kierowniczych stanowisk w partii, wojsku, instytucjach frontu ideologicznego, w administracji państwowej, w tym w organach ścigania, zajęli obywatele polscy żydowskiego pochodzenia. Pamięć o nieprawidłowościach tych lat, o łamaniu praworządności i sprawcach tych praktyk zachowała się w świadomości społeczeństwa polskiego".

Władysław Gomułka już 19 czerwca 1967 r. krytycznie ocenił proizraelskie postawy grupy Żydów polskich. Użył nawet sformułowania „V kolumna", lecz nie zgodził się na przytoczenie go w prasie. A później przeciwstawiał się wywoływaniu atmosfery antysemityzmu. Z jego inicjatywy od 24 czerwca 1968 r. zaprzestano eksponowania tematyki syjonizmu i akcentowania pochodzenia żydowskiego uczestników wydarzeń marcowych.

W długiej historii stosunków polsko-żydowskich były różne momenty. Antysemityzm na pewno nie dominował. A zdarzały się paradoksy, że Żydzi byli antysemitami. O takim przypadku wspomina Izaak B. Singer. W 1926 roku Stefa Janowska powiedziała mu, że stała się na wpół antysemitką.

W kolejnym odcinku wspomnień, które drukuje miesięcznik „ODRA" (nr 2), Izaak B. Singer pisze, że w tamtych latach był antyfeministą i wprost

BAŁ SIĘ KOBIET.

Przerażało go nawet małżeństwo fikcyjne, które miał zawrzeć z panną Stefą Janowską, aby otrzymać zaświadczenie imigracyjne do Palestyny. Oto co przeżywał po drodze:

„Chociaż nie szedłem szybko, byłem mokry od potu. Zawiązałem wcześniej sznurówki na supeł, lecz co parę kroków rozwiązywały się, jakby za pociągnięciem niewidzialnej ręki. Jak zwykle, gdy ogarniało mnie zażenowanie, zaczynały mi płatać figle złośliwe chochliki. Kichnąłem i odpadł mi guzik od kołnierzyka. Próbowałem go znaleźć na chodniku, lecz gdzieś przepadł. Odleciał mi guzik od płaszcza. Nagle spostrzegłem, że spodnie zwisają mi luźno i ciągną się po ziemi. Spróbowałem podciągnąć szelki, lecz okazało się, że urwała się pętelka podtrzymującą spodnie. Usiłowałem zastosować autohipnozę na modłę Couégo, nakazałem sobie być śmiałym i nie dać się zastraszyć jakiejś kobiecie, niezależnie od tego, jak może być bogata czy wykształcona, lecz wszystko to na nic. Przechodząc przez jezdnię omal nie wpadłem pod dorożkę. Mijałem witrynę sklepu z wmontowanym lustrem i na chwilę ujrzałem w nim swoje odbicie. Byłem wymęczony, potargany".

Izaak Baszewis Singer miał wtedy 22 lata. Stefa Janowska zwróciła mu uwagę, że mówi z obcym akcentem. I powiedziała: **„Prasa polsko-żydowska walczy z antysemityzmem, lecz tutejsi Żydzi zachowują się w taki sposób, że antysemityzm musi istnieć".**

E. L.

NA WŁASNY RACHUNEK

Opadająca fala

Czy możliwe jest chłodne rozpamiętywanie wydarzeń przeżywanych swego czasu z silnymi namiętnościami. Myślę, że nie tylko możliwe, ale i nieraz niezbędne, zwłaszcza gdy emocje nadawały wydarzeniom niepożądany przebieg, mający szkodliwe następstwa.

Upływa dwadzieścia lat od marca 1968 r., a ów „Marzec", jak zaczęliśmy później ten polityczny moment określać, chociaż nie obfitował, w przeciwieństwie do niektórych innych „miesięcy" w zajścia o wybitnie masowej skali i zaoszczędził nam rozlewu krwi, to jednak spowodował silny zamęt ideowo-moralny, którego skutki dawały o sobie znać przez dłuższy czas.

Nie czuję się kompetentny do oceny ówczesnych faktów z dziedziny wielkiej polityki i zwłaszcza jej kulis, z czym zapoznajemy się zresztą z publikacji prasowych. Jak wtedy, tak i teraz interesuje mnie nie tyle podłoże polityczne i mechanizmy manipulacji w marcowych wypadkach, ile głównie stan umysłów polskiego społeczeństwa. I choć nie potrafiłbym ocenić, jakie było nasilenie politycznego rewizjonizmu, a także jaki był rzeczywisty zasięg ideologii syjonizmu wśród obywateli polskich pochodzenia żydowskiego, to pamiętam jak wznosiła się fala nacjonalistycznych, a zwłaszcza antysemickich emocji.

Liczę na to, że historycy i politolodzy ustalą obiektywne fakty i zinterpretują ich znaczenie, nie mam też żadnych powodów, by wątpić w szczerość intencji najwyższych czynników w sprawie tzw. białych plam historii, mam jednak dobre prawo i publicystyczny obowiązek poddawać ocenie procesy zachodzące w świadomości rodaków. I w tym sensie zjawiskiem podatniejszym dla mnie do obserwacji niż rewizjonizm czy syjonizm było uaktywnienie się postaw antysemickich.

Jest prawdą od dawna stwierdzoną, a w marksizmie niejednokrotnie podkreślaną, że najlepszym środkiem odwrócenia uwagi społeczeństw od bolączek ekonomicznych i innych dolegliwości, za które ponoszą odpowiedzialność rządzący, jest rozpętanie emocji szowinistycznych. Najskuteczniej wywołać je w stosunku do sąsiadujących nacji, z którymi ma się zazwyczaj zadawnione porachunki, tak poczynały sobie np. koła rządzące Prus i Francji od czasów wojny prusko-francuskiej co najmniej do I wojny światowej.

Bywa też, że dogodniej jest nieraz zrzucić winę za wszelkie niepowodzenia na mniejszość narodową, jako na element „obcy i wywrotowy", jak to często działo się w Rosji carskiej, gdzie co jakiś czas wybuchały, inspirowane przez policję, żydowskie „pogromy". W przedwojennej Polsce niezadowolenie społeczne skierowywała prawica, popierana nieraz przez koła klerykalne przeciwko „żydo-komunie i masonerii". Do tak pojemnego worka endecja wtrącała często i piłsudczyków.

Otóż jestem przekonany, że całkiem niezależnie od tego, ilu wśród prawdziwych czy rzekomych rewizjonistów i „komandosów" było ludzi pochodzenia żydowskiego, ilu z nich przy tym naprawdę wyznawało syjonizm, wywołanie nastrojów antyżydowskich musiało być — jak zawsze — komuś potrzebne. I nie moją jest rzeczą ustalenie, w jakim stopniu potrzebne było tzw. dogmatycznej opozycji antygomułkowskiej, a w jakim siłom antysocjalistycznym, które później gwałtownie od antysemityzmu się odżegnywały, zwalając wszystko na komunistów, których doktryna oparta jest przecież na przesłankach klasowych i internacjonalistycznych, najściślej z sobą sprzężonych.

Ale istnieje także całe mnóstwo przyczyn przyziemnych i jednostkowych. A to ktoś w akcji antyżydowskiej widział szansę „utrącenia" zwierzchnika lub rywala do upragnionego stanowiska, a ktoś inny po prostu mścił się na osobistym wrogu rzucając na niego oszczercze pomówienie o syjonizm, ten i ów wyżywał się w rasistowskim uczuciu odrazy, zapominając, że takie same uczucia żywili hitlerowcy wobec Polaków. Co znamienne, że nie odważano się na ogół jawnie kwestionować podstaw konstytucji PRL, przyznającej jednakowe prawa wszystkim obywatelom...

Wspominając ten czas z perspektywy dwudziestolecia odnoszę wrażenie, że obecnie demonizowanie jakiejś mniejszości narodowej jako domniemanej sprawczyni naszych polskich klęsk i niepowodzeń miałoby już niewielkie szanse zawładnięcia umysłami. Myśląc dziś coraz bardziej kategoriami ekonomicznymi, a więc racjonalnymi, wielu nawiedzonych wówczas antysemityzmem zdawałoby sobie sprawę, jakie straty ponosi gospodarka, gdy opuszczają kraj ludzie wykształceni, wybitni fachowcy, jak to się wtedy stało z wieloma obywatelami pochodzenia żydowskiego, których gdzie indziej „kupiono" za tanie pieniądze. Nasza strata!

Toteż zarówno analizując przyczyny i mechanizmy marca 68, jak i odtwarzając sobie społeczne nastroje trzeba dziś unikać personalnych rozliczeń i porachunków. Chodzi bowiem o wyciąganie nauk z przeszłości, aby to, co było w niej złe i zawstydzające, więcej się nie powtórzyło...

JERZY KWIECIŃSKI

W najbliższych numerach „Odgłosów"

— Jak uratować cmentarz żydowski w Łodzi? Liczba pochowanych tu Żydów zbliża się do 300 tysięcy. W kartotece figurują nazwiska znanych ludzi przemysłu, nauki i kultury — reportaż EUGENIUSZA IWANICKIEGO pt. „Przeszedł tędy huragan wandalizmu".

— Hamletyczne sprzeczności doprowadziły do podziału pracowników Wytwórni Filmów Oświatowych na maniaków i ewaniaków. Pierwsi stanowią znikomą mniejszość, drudzy starają się osiągnąć maksymalne korzyści — artykuł RYSZARDA NAKONIECZNEGO.

— Jestem bardzo pryncypialny jeśli chodzi o alkohol, dlatego wódka nigdy nie stała się przeszkodą w mojej pracy aktorskiej czy reżyserskiej. Jest czas na picie i czas na pracę — mówi ROMAN KŁOSOWSKI.

— Pewien uczeń we Włocławku stanął przed sądem, ponieważ utrzymywał, że Józef Stalin umarł wcześniej niż podały gazety — wspomina LUCJUSZ WŁODKOWSKI.

— Jest doktorem ekonomii, specjalistą w zakresie organizacji i zarządzania. Uważa się za kwalifikowanego menedżera. Dlaczego pracuje w PGM na Widzewie? — materiał ANDRZEJA GĘBAROWSKIEGO.

— Im więcej się chłopu urodzi, tym dłużej musi stać w kolejce do punktu skupu. A ci, co mają go obsłużyć, siedzą w cieple, popijają herbatę i mówią, że chłop nie zając nie ucieknie — reportaż RYSZARDA BINKOWSKIEGO.

— Dlaczego w ZSRR nie powstał emigracyjny rząd Polski? Jak Władysław Gomułka bronił się przed zarzutem sekciarstwa? — artykuł ANDRZEJA WERBLANA.

ze str. 1

wołanej dla wyjaśnienia przyczyn i przebiegu konfliktów społecznych w dziejach Polski Ludowej", które — jak do tej pory — stanowi najpełniejszą syntezę wydarzeń z marca 1968 roku.

„Główna ze sprzeczności występowała między rosnącym znaczeniem i poziomem klasy robotniczej (przy wszystkich jeszcze jej słabościach i niedojrzałościach), potęgowanym przez werbalne uznawanie i eksponowanie jej społecznej roli, a praktycznym niedocenianiem, a nawet pomijaniem robotniczego dążenia do większego wpływu na działanie partii, związków zawodowych, gospodarki przedsiębiorstw i władz terenowych.

Wewnątrz samej partii robotnicy przez całą dekadę stanowili ok. 40 proc. jej składu (wszystkie grupy pracowników umysłowych stanowiły łącznie ok. 42 proc., a chłopi ok. 11 proc.) i znajdowali się niejako na drugim planie wobec funkcjonariuszy aparatu partyjnego i administracji oraz pracowników umysłowych. (...)

Stopniowo malała rola podstawowych organizacji partyjnych na rzecz instancji partyjnych oraz ich aparatu. Ulegały osłabieniu, a nawet deformacji, mechanizmy demokracji wewnątrzpartyjnej (centralizmu demokratycznego). Ciała — statutowo rzecz ujmując — wykonawcze (I sekretarz, sekretariat, egzekutywa) w praktyce dominowały nad ciałami stanowiącymi (komitetami). Do egzekutyw komitetów wojewódzkich i powiatowych, przy czym często w drodze kooptacji, wchodzili w nadmiernym stopniu przedstawiciele władz administracyjnych oraz inne osoby funkcyjne. Ograniczało to w poważnym stopniu możliwości udziału nie pełniących kierowniczych funkcji działaczy, przedstawicieli najważniejszych środowisk partyjnych.

Również ponad 60 proc. członków KC wybranych na III, IV i V Zjazdach stanowili kierowniczy pracownicy państwowi, gospodarczy i aparatu partyjnego. Komitet Centralny lat sześćdziesiątych nie w pełni korzystał ze swoich statutowych praw. Na jego posiedzeniach autentyczna wymiana poglądów i rzeczywiste wypracowanie uchwał stawały się coraz bardziej ograniczone.

Wielki wpływ na działalność partii i politykę państwową całego okresu 1956—1970 miała osobowość W. Gomułki. Jego poglądy miały dla polityki partii i państwa charakter decydujący, nowe rozstrzygnięcia w polityce, ideologii, a także w gospodarce najczęściej były związane z jego inicjatywami.

Dysponował wielkimi cechami przywódczymi, ogromnym i różnorodnym doświadczeniem politycznym. Właściwa mu była wrażliwość na klasowe wartości i interesy, zespolenie poczucia patriotycznej odpowiedzialności za naród, jego godność i państwo z głęboką internacjonalistyczną odpowiedzialnością. Przejawiał silną wolę i charakter, uczciwość i niemal ascetyczną postawę osobistą, niezwykłą pracowitość i doskonałą pamięć. Nie dbał o popularność, chociaż z biegiem lat nie potrafił dość skutecznie przeciwstawić się tendencjom do panegiryzmu. Był apodyktyczny z narastającą skłonnością do autokratyzmu. Współpraca z nim stawała się coraz trudniejsza, a popularność w społeczeństwie malała i wygasała. Nie doceniając nowoczesnych mechanizmów społeczno-ekonomicznych obawiał się rozwoju samodzielności i inicjatyw jednostek gospodarczych, jak również zwiększonej pozycji i aktywności instytucji socjalistycznej demokracji. Wynikało to przede wszystkim z wielkiego wyczulenia na znaczenie stabilnego państwa, które jak podpowiadało mu doświadczenie historii Polski i własnego życia, jest najbardziej nieodzownym warunkiem istnienia narodu i jego pomyślnego rozwoju. Rozumienie historii oraz potrzeb współczesności pozwalało mu kontynuować pryncypialną bezbłędną politykę zagraniczną i obronną, dbać o godną pozycję Polski we wspólnocie socjalistycznej, Europie i świecie. Ma historyczne zasługi w doprowadzeniu do uznania przez RFN zachodnich i północnych granic Polski. Był pryncypialny w walce klasowej. Jednocześnie doświadczenie ruchu komunistycznego i własne bolesne przeżycia polityczne kazały mu strzec się przed nadużywaniem przemocy, wykazywać cierpliwość, a nawet wielkoduszność w stosunku do oponentów politycznych. Rozumiał tradycyjny, szeroki związek mas ludowych z religią, dbał by polityka wyznaniowa państwa odpowiadała polskiej racji stanu. Stosował zasade ograniczania tendencji do wzrostu konsumpcji bieżącej na rzecz jej przyszłościowego rozwoju i nieuzależniania się od kredytów zagranicznych. (...)

Posiedzenia Biura Politycznego zwoływane były rzadko (w ciągu dekady 1961—1970 przeciętnie 14 razy w roku) i raczej nieregularnie (od 22 posiedzeń w 1961 r. do 9 posiedzeń w 1969 r. i 10 w 1970 r.). Dyskusja na nich była ograniczona. Sekretariat KC nie zbierał się prawie zupełnie, a decyzje podejmował w trybie obiegu dokumentów. Ten sposób pracy zwiększył skądinąd już dużą samodzielność sekretarzy KC kierujących określonymi odcinkami działalności nie tylko partyjnej, ale praktycznie także państwowej. Wśród nich szczególnie dużą wiedzę skupili w swych rękach: Zenon Kliszko kierujący polityką kadrową, działalnością ideologiczną i parlamentarną oraz Bolesław Jaszczuk skupiający całokształt kierownictwa spraw gospodarczych.

Biuro Polityczne KC znajdowało się praktycznie poza kontrolą Komitetu Centralnego. Jego decyzje przenoszone były często w sposób mechaniczny do wszystkich ogniw władzy. W ten sposób rząd faktycznie sterowany szczegółowymi dyrektywami przez Biuro Polityczne, a właściwie przez sekretarzy KC czuł się zwolniony od konstytucyjnej odpowiedzialności przed Sejmem. W tej sytuacji ranga i kompetencja Sejmu oraz analogicznie rad narodowych były bardziej ograniczone. (...)

Na działalności partii tego okresu ciążył niedostatek uwagi poświęcony sprawom ideologii, skłonność najwyższego kierownictwa do niedostrzegania ostrości różnic oraz unikania dyskusji ideologicznych. Na 32 plenarne posiedzenia Komitetu Centralnego, odbyte w ciągu lat 1960—1970, tylko jedno (w 1963 r.) miało za temat główny sprawy ideologii.

Niedocenianie ideologii i rozwoju teorii społecznej przy jednoczesnym niedostrzeganiu niebezpieczeństwa dogmatyzmu i zastoju prowadziło do konserwatywnych tendencji w polityce i tym samym niezwykle utrudniało walkę z rzeczywistym niebezpieczeństwem rewizjonizmu. Brak twórczego marksistowsko-leninowskiego podejścia do pojawiających się wówczas sprzeczności rozwojowych ułatwiał rewizjonistyczną penetrację, jako próbę wnoszenia do społeczeństwa socjalistycznego instrumentów i rozwiązań właściwych burżuazji i kapitalizmowi. Ideologie antysocjalistyczne w różnej postaci, od jawnie wrogiej do zamaskowanej demagogicznym frazesem, upowszechniane przez siły opozycyjne w kraju oraz zewnętrzne ośrodki dywersji, wywierały określony wpływ na część społeczeństwa. Skuteczność tego wpływu była z reguły większa wówczas, gdy w różnych środowiskach występował stan zawiedzenia nadziei na odczuwalną poprawę bytu materialnego oraz na szerszy rozwój demokracji socjalistycznej.

Miały również miejsce zaostrzenia stosunków z Kościołem. W szczególności w 1966 r. — roku obchodów Tysiąclecia państwa polskiego — Kościół przejawił naruszającą zasady porozumienia szkodzącą interesowi państwa aktywność polityczną, czego najostrzejszym przejawem był list Episkopatu polskiego do biskupów zachodnioniemieckich z pamiętnym zwrotem »przebaczamy i prosimy o przebaczenie«.

Nie ulega wątpliwości, że na losach Polski w latach sześćdziesiątych zaważyła osobowość Władysława Gomułki. Był wybitnym politykiem, działaczem ruchu robotniczego, ale jego sposób myślenia i działania ukształtowały lata pracy podziemnej przed wojną i w czasie wojny. Ciągle więc nurtuje ludzi pytanie: — jakim był człowiekiem, jak działał i dlaczego postępował tak a nie inaczej? Na te pytania próbuje odpowiedzieć Andrzej Burda, który w książce „Szkice i polemiki. Publikacje z lat 1981—1983" jeden szkic zatytułowany „Wiesław" poświęcił Władysławowi Gomułce.

Czy dwadzieścia lat wystarczy?

W działaniach składających się na kierowanie sprawami państwa był pragmatykiem i przy podejmowniu ważnych decyzji skrupulatnie analizował realia polityczne, jak też z dużą — na ogół — intuicją wyważał możliwości ujemnych skutków takich decyzji. Incydentalnie nie gardził „grą polityczną", ale w zasadzie był zręcznym taktykiem, nie będąc jednocześnie „dyplomatą" w ujemnym tego słowa znaczeniu: wygarniał swoją prawdę w oczy bez ogródek i to zarówno swoim towarzyszom, jak i przeciwnikom politycznym. Jestem przekonany, że i jego definicja demokracji ludowej, jak i poglądy w tak istotnych sprawach, jak sposób i metoda realizowania socjalizmu na wsi, organizacja samorządu robotniczego, ocena przeszłości polskiego ruchu robotniczego itp. — były podyktowane wewnętrznym przekonaniem, a nie wyrachowaniem taktycznym. Takie przynajmniej jest moje osobiste przekonanie.

Był samotnikiem, bo widział dalej i lepiej niż inni, a mądrość swą czerpał i z wiedzy marksistowskiej, i z głębokiej intuicji — Na zebraniu centralnego aktywu partyjnego w dniu 16 kwietnia 1970 r., omawiając założenia pięcioletniego planu gospodarczego oznajmił, że już od lat świadom jest pogarszającego się stanu gospodarki i poziomu życiowego świata pracy, przypisując to m.in. inercji terenowych ogniw partii oraz bałaganiarskiemu stylowi pracy i nieudolności aparatu państwowego. Przestrzegał jeszcze w 1958 r. przed lekkomyślnym zaciąganiem kredytów na Zachodzie (toczyły się wówczas pertraktacje z USA o pożyczkę na zakup ziarna w wysokości 95 milionów dolarów) i sugestywnie wskazywał na skutki nadmiernego zadłużenia: „...wówczas trzeba pójść na pasku tego, kto dał pieniądze, a więc na pasku kapitalizmu. Ale to już nie za mnie". To ostatnie dokładnie się ziściło.

Jak każdy ze śmiertelnych, miał i Gomułka swoje słabości. Nie zamierzam pisać na ten temat studium psychologicznego (jestem tu niekompetentny i nie poczyniłem dostatecznych obserwacji), mogę jednak wskazać na pewne rysy jego charakteru które, moim zdaniem, mogły stać się źródłem potknięć i niefortunnych poczynań. Był przecież świadom swojej wartości i swej roli politycznej, co w konfrontacji z partnerami w kierownictwie prowadziło go chyba do zbytniego zadufania w sobie i wyzwalało skłonności do pochopnego sięgania w trudnych sytuacjach po doraźne środki administracyjne. Był zresztą z usposobienia popędliwy, to zaś w niełatwym okresie drugiej połowy lat sześćdziesiątych wprawiało go w stan poirytowania, które oczywiście skłania do podejmowania pochopnych decyzji bez konsultacji i starannego rozważania wszelkich ewentualnych następstw tak podjętych decyzji. Zbytnie zadufanie w sobie było też źródłem — początkowo sporadycznego, z czasem narastającego — lekceważenia zasady kolegialności.

Wydaje mi się, że słabą jego stroną była nieumiejętność (a może bagatelizował te sprawy na skutek owego zadufania?) dobierania sobie współpracowników. Wielu doszukiwało się powodów, dla których bezwzględnym zaufaniem darzył Zenona Kliszkę, człowieka poczciwego, ale bez wyrazu, podejrzliwego i kapryśnego w nastrojach. Myślę, że działała tu reguła, iż przeciwieństwa (w charakterach) przyciągają się oraz że bezwzględne oddanie Kliszki odwzajemniał zaufaniem. Ilustracją takiego doboru ludzi do ważnych przedsięwzięć może być wysyłanie na Wybrzeże 14 grudnia 1970 r. właśnie Kliszki, Korczyńskiego i Logi-Sowińskiego. Nie zawsze też poznawał się na lisach farbowanych. Na przykład Gierka nie docenił i nie podejrzewał o aspiracje do roli konkurenta, o czym może świadczyć jego widoczne zaskoczenie w dniu 19 marca, gdy w trakcie swego gromkiego przemówienia usłyszał zorganizowane skandowanie: „Gierek, Gierek...". Resztę zostawmy dociekliwym dziejopisom. (...)

Z pasją i uporem walczył z dogmatyzmem i rewizjonizmem, jednak naganne odchylenia skłonny był wybaczać raczej dogmatykom, twierdząc, iż w ostatecznym rachunku ich odchylenia nie są tak groźne — gdyż pozostają oni komunistami, podczas gdy z szeregów rewizjonistów szeroko rekrutują się renegaci. Można i tak, ale — z drugiej strony — zaniedbanie konfrontacji sposobu realizacji pewnej idei społecznej może doprowadzić do całkowitej jej dyskredytacji. Czyli także i w tym przypadku potrzebna jest wyważona ocena i zrozumienie faktu, iż wektorami historii są dialektycznie powiązane dwie zasadnicze tendencje: kontynuacja starych i zaszczepienie nowych wątków procesu historycznego. Moim zdaniem taki osąd — chyba uproszczony — pochodził u Gomułki stąd, iż w polityce był realista i zmierzał zawsze do tego, co według niego w jakimś stopniu stanowiło postęp, unikał zaś tego, co było niepewne, choć kuszące. W 1968 r. dziennikarzom na stosowne zapytanie co do skutków udziału w niesieniu pomocy czeskim komunistom odpowiedział: „Lepszy czeski wróbel w garści, niż francuski kanarek na dachu". Lepiej mniej socjalizmu, byle był pewniejszy i realniejszy (...)

Rozumiał nierozerwalny związek socjalizmu z demokracją: doceniał praktyczne konsekwencje poznania, że granice tej ostatniej wyznacza realny układ społecznych sił w kraju i w przekroju międzynarodowym; dostrzegał zagrożenia jej z zewnątrz jak i ze strony społeczeństwa, podatnego na ciągotki anarchistyczne. (...)"

„Marzec 1968" zaczął się właściwie w styczniu 1968 roku. Wtedy „wybuchła" sprawa „Dziadów" Adama Mickiewicza w reżyserii Kazimierza Dejmka. O „sprawie Dziadów" opowiada Henryk Korotyński w tomie wspomnień „Trzy czwarte prawdy".

„W ileś dni później poszedłem wraz z córką Madzią do Teatru Narodowego. Przedstawienie istotnie wspaniałe, połączone siły i talenty Dejmka — reżysera, Andrzeja Stopki — scenografa i takich atkorów, jak Opaliński, Holoubek i Mrożewski, sprawiły, że wrażenie było potężne. Czternastoletnia Madzia, która pierwszy raz zobaczyła Dziady w teatrze, była głęboko poruszona.

Ja, niczym ów chłop średniak z minionego ekresu, miałem dwie dusze: jedna — wrażliwego na Mickiewiczowskie słowo słuchacza — była pełna zachwytu, druga — dusza polityka — buntowała się przeciwko takim pomysłom reżysera, które antyrosyjskość Dziadów jeszcze wyostrzały i aktualizowały, a w innych fragmentach nadawały Mickiewiczowskiemu dramatowi charakter nabożeństwa w kościele. I tu nie były mi potrzebne żadne sugestie „z góry", sam to dostrzegałem, a potwierdzeniem była dla mnie reakcja publiczności.

W czym rzecz — przypomnę. III Część Mickiewiczowskich Dziadów była najpotężniejszym w naszej literaturze buntem przeciwko carskiemu uciskowi i najpiękniejszym hołdem złożonym młodzieży studenckiej, która z satrapą i niewolą walczyła.

Widziałem wiele inscenizacji Dziadów, od Schillerowskiej przedwojennej poczynając, i zawsze potężna siła narodowego arcydramatu poruszała mnie głęboko, ale nie pamiętam, aby kiedykolwiek powstał problem podniecania wrogich uczuć wobec naszego wschodniego sąsiada. A tu problem taki powstał i do dziś zapisały mi się w pamięci pewne specyficzne nowości w inscenizacji Dejmkowskiej. Mianowicie najostrzejsze o Moskalach słowa, które z Mickiewicza mieszają się z innymi w rozgwarze „sceny śpiewanej", noszącej tytuł Bal, albo stanowią fragment refleksyjnego monologu Więźnia — tu aktorzy wygłaszali ze szczególną siłą, z samego skraju sceny, zwróceni wprost do publiczności.

Część widzów (mała czy spora — nie pomnę) witała te słowa oklaskami przy otwartej kurtynie.

A w zawsze żywotnej w Polsce sprawie religii i Kościoła głos Dziadów w Dejmkowskiej reżyserii też zabrzmiał szczególnie. Chyba się nie mylę, że u Mickiewicza potężniej rozlega się spór Konrada z Bogiem niż modlitwy księdza Piotra i chóry anielskie. Ale Dejmek odwrócił proporcję, a na dodatek stworzył scenę uroczystego nabożeństwa w kościele, z udziałem tłumu ministrantów ze świecami i chórami. Nie ma takiej sceny w Dziadach.

Można oczywiście bronić prawa reżysera do jego własnej wizji dramatu, a już po ekstrawaganckich inscenizacjach Hanuszkiewicza mogą się wydać błahymi owe z 1967/68 roku pretensje do Dejmka. Ale politycy także mieli prawo do politycznego spojrzenia na spektakl i na szczególną wymowę owacji urządzonych zwłaszcza przez młodych widzów. Gdyby politycy działali rozważnie, porozmawiali z reżyserem, skłonili go do kilku zmian w inscenizacji — nie byłoby szumu, nie doszłoby do awantur. Tymczasem ktoś na bardzo wysokim szczeblu okrutnie się zdenerwował, ktoś na szczeblu jut najwyższym polecił po prostu zdjąć Dziady z afisza, bo cóż to za sprawa! Mimo że działam ze skromniejszej rangi — w KC i w Ministerstwie Kultury i Sztuki — próbowali zapobiec takiemu biegowi rzeczy, nic nie wskórali, bo arbitralność w podejmowaniu decyzji rozpanoszyła się nie dopiero w latach siedemdziesiątych, lecz dużo, dużo wcześniej.

Najpierw władze postanowiły, że od 1 stycznia 1968 roku poczynając Dziady będą wystawiane tylko raz w tygodniu, a 30 stycznia już było wiadomo, że tego dnia odbędą się dwa ostatnie spektakle.

Nie przemyślanej decyzji o zdjęciu Dziadów z afisza z dniem 31 stycznia szczególnej pikanterii dodawał fakt następujący. Otóż dzień wcześniej w moskiewskiej „Prawdzie" ukazał się pt. „Horyzonty twórczości" artykuł Afanasija Salinskiego, który z wielkim uznaniem pisał o polskiej sztuce teatralnej, a jeden akapit tego artykułu miał następujące brzmienie: „Wysoka kultura, świeżość i nowatorstwo środków artystycznego wyrazu, żywe aktorskie i reżyserskie indywidualności — oto co charakteryzuje polską scenę. W Dziadach Mickiewicza aktor Gustaw Holoubek przez dwadzieścia minut jednym monologiem trzyma widownię w podniosłym napięciu".

Pod datą 30.01.1968 Jerzy Zawieyski w swoim Dzienniku notował:

„Tłumy nieprzebrane, zwłaszcza duże grupy młodzieży. Salę zapełniło ponad dwieście osób powyżej normalnej ilości miejsc. Manifestacje w czasie przedstawienia w różnych miejscach teatru. Po przedstawieniu długa owacja i okrzyki: „Chcemy Dziadów! Precz z cenzurą!" Manifestacja przedostała się na ulicę. Studenci nieśli transparent z napisem: Żądamy Dziadów! Przed pomnikiem Mickiewicza złożyli ten transparent".

Długo jeszcze szumiało wśród literatów i młodzieży akademickiej. Zaczęto zbierać wśród studentów podpisy pod protestem, wysłanym 16 lutego do Sejmu. Ponoć 3145 nazwisk widniało pod tym oświadczeniem. (...)

Tu smakowite urozmaicenie dla czytelników. Z okazji historii z Dziadami Dejmka okazało się raz jeszcze, że wbrew naszemu chciejstwu niewiele wiedzą na Zachodzie o polskiej literaturze i naszych wielkich twórcach. Niektórym gazetom brytyjskim pomieszał się Adam Mickiewicz ze Stanisławem Mackiewiczem, londyński „Daily Mirror" przetłumaczył słowo Dziady na „Daddy", czyli „Tatuś", włoska gazeta „Corriere della Sera" wyjaśniła swoim czytelnikom, że Dziady to Staruszkowie, a „Il Tempo", że to Żebracy. (...)"

Niedawno w „Polityce" Zbysław Rykowski i Wiesław Władyka przypomnieli, że 20 marca 1968 roku — podobnie jak w innych centralnych instytucjach — tak w MSZ odbyło się antysyjonistyczne zebranie POP: „minister A. Rapacki demonstracyjnie opuszcza zebranie, by już nigdy nie powrócić do ministerstwa". Świadek tych wydarzeń Józef Winiewicz tak to opisał w książce „Co pamiętam z długiej drogi życia".

„Wreszcie nadszedł marzec 1968 roku i dwie noce spędzone na zebraniu podstawowej organizacji partyjnej naszego Ministerstwa. Słuchy, jakie mnie osobiście dochodziły, budziły niepokój. Pytałem Rapackiego, uspokajał, że ma zapewnienie egzekutywy, iż przebieg zebrania mieć będzie charakter pryncypialny, ale spokojny. Stało się inaczej. Zebranie było burzliwe. Jedno spotkanie, zakończone nocą, nie starczyło. Odbyto drugie następnego dnia. Wlokło się znowu późno w noc.

Oskarżano się wzajemnie. Karcono tych, którzy sami ostro karcili innych w latach pięćdziesiątych. Atakowano politykę kadrową ministerstwa, bardziej z piołunem zaprawioną goryczą, niż w zgodzie ze słusznymi racjami. Zarzuty najzupełniej uzasadnione mieszały się z powtarzaniem trudnych do przyjęcia pomówień. Rapacki siedział z twarzą spopielałą w prezydium, jak wypadało. Usiłował raz przemówić, ale argumenty jego nie budziły echa. Przemawiałem i ja, zalecając ostrożność przed pochopnymi sądami i nie przemyślanymi wnioskami. Również bez skutku.

Radziłem Rapackiemu kilka razy opuszczenie zebrania. Odmówił. Telefonowałem do dwóch innych członków Biura, relacjonując, co się na sali dzieje. Pierwszy zalecił, abym nie mieszał się w tę sprawę. Drugi powiedział: „Cokolwiek usiłowałbyś zrobić, i tak nie pomoże, będzie uznane za złe. Lepiej siedź cicho".

Ostro atakowany, wiceminister Naszkowski nie był obecny, odwiedzał oficjalnie stolice skandynawskie. Dwaj inni wiceministrowie, Kruczkowski i Wolniak, milczeli. Po tych dwóch nocach Rapacki oświadczył na kolegium, że składa swój urząd. Zaczęły się czystki personalne, kierowane z zewnątrz. Przy próbie mej interwencji towarzysz z Biura, który mi pamiętnej nocy radził nie mieszać się w to, co się dzieje, oświadczył ponownie to samo, dodając jednak, że czystka jest z nim uzgodniona. Przeprowadza ją komisja z towarzyszami Szlachcicem i Wolniakiem na czele. Sucho, nieprzyjemnie.

Próbowałem raz jeszcze nakłonić Rapackiego, aby nie rezygnował. Powtarzał, że czuje się niepotrzebny, zresztą linia polityki zagranicznej została już wytyczona. Trzeba tylko iść dalej tą samą drogą. Użyłem niefortunnego porównania, że kucharz pospolity z grochu przyrządzi tylko zwyczajną grochówkę, natomiast wytrawny szef kuchni z tego samego surowca przyprawi znakomitą zupę o wyszukanej francuskiej nazwie. Nie jest więc obojętne, kto zadanie wykonuje.

Rapacki uśmiechnął się: „Tylko na tę nazwę francuską brak mi konceptu".

Premier Cyrankiewicz w konsekwencji zleci mi telefonicznie tymczasowe kierowanie ministerstwem, a przed zbliżającą się Wielkanocą nadesłał nominację na piśmie. Pisma tego domagałem się, licząc się z trudnościami spowodowanymi wewnętrznymi układami w MSZ. Mogłem się takim pismem legitymować, kopia została przekazana naszemu departamentowi kadr".

Co o Drugiej Rzeczypospolitej pisał przedwojenny kronikarz?

Tęczowe plamy

JERZY WILMAŃSKI

Białe plamy — zwrot, który stał się już frazesem. Natomiast ja w powodzi różnorakich lektur dostrzegam coraz częściej inne plamy: różowe czy zgoła tęczowe. Wybitny historyk publikuje książkę o wieku XIX, w której to książce maluje nam piękną wizję polskiego bytu w wieku, będącym przecież dla Polski i Polaków przekleństwem i klęską. Tęczowa wizja romantyzmu, mesjanizmu i słowiańszczyzny kładzie się plamą na rzeczywisty obraz polskiego losu w XIX wieku.

Na porządku dziennym są publikacje, które tworzą arkadyjski obraz międzywojennego dwudziestolecia. Jak było wtedy pięknie, jak bogato i sprawiedliwie — w jakiej to pięknej epoce żyło się naszym ojcom i dziadkom. Czy rzeczywiście?

Jestem człowiekiem przedwojennym, urodziłem się w owej słonecznej Arkadii. A ponieważ z mojego dzieciństwa nic nie pamiętam, sięgnąłem do felietonów Antoniego Słonimskiego z połowy lat trzydziestych. Sięgnąłem właśnie do Antoniego Słonimskiego, który przecież dla większości dzisiejszych apologetów Drugiej Rzeczypospolitej, jest niekwestionowanym autorytetem. Niech więc przemówi felietonista „Wiadomości literackich" z połowy lat trzydziestych:

„Bilans roku minionego przedstawia się dość niewesoło. Polska staje się jednym z najbiedniejszych krajów świata. Gdyby policzyć w Polsce ludzi nie wegetujących, ale żyjących na normalnym poziomie, okazałoby się, że całe państwo skurczyło się do rozmiarów jednego niewielkiego miasta europejskiego. Jest w Polsce nie więcej niż paręset tysięcy ludzi korzystających z kolei, gazety, książki, teatru. Polska konsumuje cukru, tłuszczy, tytoniu, owoców mniej niż trzymilionowa Dania. W dziedzinie wynalazków możemy poszczycić się przyrządem nie znanym dotąd na świecie. Wprowadziliśmy do dorobku ludzkości maszynkę służącą do rozdzielania zapałki na cztery części. Dzieci wiejskie, aby zdobyć zeszyt za pięć groszy, zbierają kasztany. Za trzydzieści kilo kasztanów dostarczonych do miasteczka — pięć groszy. Rośnie jak lawina analfabetyzm. Półtora miliona dzieci nie objętych szkołą powszechną. (...)

Przejedźcie się pustynią polską. Zobaczycie wśród nędzy wsi i miasteczek dwie tylko siły nienaruszone. Wigwamy wojenne i świątynie. Czerwone cegły koszar i wieżyce kościołów na ruinach przymierających głodem wsi i miasteczek. Sierżant zawodowy ma uposażenie dwa razy większe od uposażenia nauczyciela ludowego. Fortecą naszą stały się błota i złe drogi, bo nie przebędzie ich pono zmotoryzowana armia niemiecka. Amnestia dla więźniów w tym obrazie naszej doli staje się przekleństwem dla tysięcy przestępców, wypuszczonych na zimę z więzień. Czy ta błotnista droga, po której dzieci ciągną ciężkie worki z kasztanami, to naprawdę droga do wielkości i potęgi państwa?"

A więc nie urodziłem się w kraju wszelkiej szczęśliwości i dostatku. Była bieda, często nędza, analfabetyzm i brak perspektyw na polskiej błotnistej drodze... Ale może była wolność słowa, jakiej nie znają dzisiejsze czasy? Tu też spotkał mnie zawód. Oddajmy głos Antoniemu Słonimskiemu:

„Gdy się raz rozpęta cenzurę, gdy się obudzi podejrzliwość w sercu urzędnika, trudno jest określić granicę tego, co jest cenzuralne. Urzędnik dba o swą posadę. Jest więc ostrożny i pilny. Lepiej skonfiskować jakiś nieszkodliwy utwór niż narazić się przełożonemu. Przepisy normujące pracę cenzora są ogromnie elastyczne. Biedny urzędnik zdany jest na własny rozum. Powiedziano, że niedozwolone jest publikowanie wszelkich utworów czy też wiadomości mogących wywołać niepokój. Skonfiskowano u nas niedawno „Ogień" Barbusse'a w przekładzie polskim, wydany w Sowietach. „Ogień" wydany w Polsce nie wywołuje niepokoju, ale ta sama książka wydana w Rosji i sprowadzona do nas może wywołać niepokój. Urzędnik drapie się po głowie i myśli: „Coś tam mogli zmienić, przerobić, kartki posklejać. Mogli wsadzić do książki fotografie dzieci sowieckich, i znowu jaki „Płomyk" będzie szerzył „miazmaty". (...).

Gorliwość i ostrożność urzędników cenzury doprowadza do tego, że prasa polska nie podaje wielu istotnych i ciekawych wiadomości. Są to sprawy polityki. Mamy prawo w interesie ogółu dopominać się, aby informowano społeczeństwo o tym, co się dzieje w Polsce i na świecie. Ale jeszcze groźniej i smutniej przedstawiają się te sprawy na terenie sztuki. Wyszedł podobno zakaz tłumaczenia powieści sowieckich. Mamy być odcięci od literatury rosyjskiej. Jeśli ten zakaz powodowany jest troską o zachowanie ustroju panującego w Polsce, oczekiwać należy w najbliższej przyszłości zakazu tłumaczenia książek włoskich i niemieckich, a nawet angielskich. Niebezpieczeństwo dla naszego ustroju ze strony faszyzmu, hitleryzmu czy nawet monarchizmu jest nie mniejsze od niebezpieczeństwa przewrotu komunistycznego. (...)

Pokazywano mi niedawno film reżysera Forda zrobiony staraniem sanatorium w Miedzeszynie. Jest to pierwszy może polski film na wysokim poziomie artystycznym. Film ten obrazuje nędzę dzieci żydowskich w straszliwych kamienicach ulicy Franciszkańskiej czy Gęsiej. Pokazuje mądrze i pięknie, jak te dzieci w zetknięciu z przyrodą, na wsi, wśród dobrych ludzi, zmieniają się w prawdziwe istoty ludzkie, jak uczą się radości życia, higieny i sportu. Film ten został zabroniony. Cenzor zawyrokował, że szerzy on tendencje komunistyczne. Zwłaszcza pewna scena w tym filmie o dzieciach proletariackich rozjątrzyła cenzora. Jest tam zilustrowany fakt autentyczny. Dzieci żydowskie postanawiają ustąpić miejsca w sanatorium w Miedzeszynie dzieciom strajkujących górników z Zagłębia. Każde dziecko zrzeka się paru dni pobytu na wsi i zaprasza polskie dzieci. Scena przywitania biednych polskich dzieci przez biedne dzieci żydowskie jest głęboko wzruszającą i piękną w swym braku afektacji, ale cenzor zawyrokował, że jest ona w ogóle nie do pomyślenia. Trudno dociec, jakimi drogami szła myśl cenzora. Czy nie wolno pokazywać, że wśród ludzi biednych jest więcej serdeczności i solidarności w nieszczęściu niż wśród bogatych? Czy nie wolno pokazywać zbratania się dzieci żydowskich z polskimi? Wolno jest pokazywać na filmach zło, okrucieństwo i gwałt. Maszerują na ekranach żołnierze wszystkich armii, ryczą armaty, huczą aeroplany wojenne. Wolno jest pokazywać wojnę gazową. Ale nie wolno, aby na ekranie zjawił się obraz czysty i ludziom życzliwy, aby ta okruszynka dobroci zajaśniała swym niekłamanym blaskiem."

Te gorzkie refleksje Antoniego Słonimskiego, spisane pół wieku temu warto zadedykować młodzieńczym publicystom, którzy tak chętnie odwołują się do „starych, dobrych czasów" — i starym wspominkarzom, którym upływający czas zasnuł umysły mgłą niepamięci. Cytujmy więc dalej Antoniego Słonimskiego:

„Coraz mniej znajdujemy u nas miejsca na uczucia ludzkie. Po cóż się litować, kiedy i tak jest byczo. Lepiej niż gdzie indziej. Wystarczy przeczytać pewną książkę, aby się życiową mieszkańców innych państw europejskich, aby ocenić w całej rozciągłości nędzę naszej wegetacji".

Nędza wegetacji — te słowa padają u Antoniego Słonimskiego często. Pamiętajmy jednak, że była to nędza o zupełnie innej jakościowo skali niż ta, której imię tak chętnie przywołuje się dziś. To były warszawskie slumsy, noclegowe baraki dla bezdomnych, cienka zupka dla bezrobotnych, głodujący wyrobnicy na wsi — to wszystko co dziś pobrzmiewa złą literaturą i jeszcze gorszą propagandą — a przecież pół wieku temu było rzeczywistością.

Odnajdujemy także w felietonach Antoniego Słonimskiego akcenty dziwnie nam znajome — jakby obraz życia z lat trzydziestych przeniesiono w czasy współczesne. Oto co pisał felietonista w roku 1935:

„Dyskusje w druku zaczynają się zwykle od kłamstw i wymysłów i nigdy prawie (o obecnych się nie mówi) ostrość polemiki nie jest usprawiedliwiona dowcipem. Tak preparowane wymysły nie robią już wrażenia. Pewien bardzo świetny i mądry pisarz został kiedyś napadnięty przez Polską Agencję Katolicką. „Cóż tam, bardzo ostro napadli?" — spytałem. „Nie. Nic specjalnego. Takie normalne rzeczy, że pod pręgierz, że deprawator, że szuja". Brak atmosfery intelektualnej, żywej wymiany myśli, brak poparcia — wszystko to wytwarza czasami smutną atmosferę osamotnienia. Poczucie to powiększa jeszcze nikłe zainteresowanie się sztuką. (...) Pewien lekarz spytał mnie, czyje to dzieło „Wyzwolenie". Kiedy mu powiedziałem, że Wyspiańskiego, bynajmniej się nie zawstydził, ale dodał: „nie lubię tego autora, daje takie ciężkie rzeczy". Nie bronię w tej chwili „Wyzwolenia" ani nie oskarżam lekarza, pragnę tylko przypomnieć, że literatura jest luksusem małej parotysięcznej gromadki ludzi w państwie, które ma przecież trzydzieści parę milionów mieszkańców".

Dziś także jest nas trzydzieści parę milionów — w dyskusjach prasowych epitety „szuja" i „deprawator" padają równie często i to z tych samych lamów co niegdyś; dziś także atmosfera intelektualna polemik, rozmów i kontaktów międzyludzkich jest często godna pożałowania. Pod tym względem niewiele się zmieniło. Nie żyjemy i dziś w raju pełnym szczęśliwości, ale też nie urodziliśmy się w czasach zbyt pięknych — co tak usilnie chcą w nas wmówić twórcy tęczowych plam.

Teatr zawodowy unika mówienia wprost o rzeczywistości — teatr amatorski nie boi się tego. Przeciwnie. I stąd bierze się pytanie:

Czy ludziom potrzebny jest teatr?

MAREK KOPROWSKI

Teatr amatorski kojarzył się kiedyś z grupą deklamatorów wierszy okolicznościowych na cześć rewolucji czy innego ludowego święta. Dziś teatr amatorski okrzepł artystycznie i — niekiedy — prześciga niemrawe ansamble dyplomowanych grup aktorskich. Prześciga odwagą, świeżością, energią poszukiwań artystycznych, a czego ochotnikom brakuje (i to nie wszystkim), to podstaw warsztatu aktorskiego. Wolę jednak rozmach, odwagę i wyobraźnię z błędami ortograficznymi, niż wypreparowaną czystość ortograficzną, leniwą jednak i pozbawioną zupełnie emocji. Teatr zawodowy często unika mówienia wprost o teraźniejszości, sceny za klasykę, parabolę, zasłonę barakowej inscenizacji.

Teatr amatorski — jako że jego wypowiedzi artystyczne są poplonem wspólnego myślenia ludzi teatr ten tworzących, a nie gotowych filozofii — nie boi się definiowania rzeczywistości dotykalnej, próbuje nazywać wprost *„tegoroczny ból jaj"* i wodzi palcem po mapie czasu dziś pulsującego.

Różnice są, rzecz jasna, dużo głębsze, bo teatry zawodowe dysponują dużymi pieniędzmi, budynkami, zapleczem technicznym, legionem pracowników technicznych i administracyjnych, pracowniami i wszystkim, co potrzebne do pełnego funkcjonowania. Teatr amatorski tego nie ma, i — choć to karkołomne stwierdzenie — w tym jego przewaga nad zawodowcami. Po prostu nie jest przytłoczony skrzyniami rekwizytów wymogami repertuarowymi i innymi powinnościami. Sam sobie nadaje kształt, sam odbiera, znów zmienia wygląd — a *„panu nic do tego"*. Nie mając, często, żadnego mecenasa czy sponsora (poza własnym mózgiem), nie musi się nikomu niczym wypłacać.

Takie obrazoburcze i heretyckie refleksje nasunęły mi się podczas X Konfrontacji Teatrów Amatorskich, które odbyły się w Łodzi, w grudniu 1987 r. w, i wokół, Domu Kultury „Lutnia" na Bałutach.

Czterodniowe spotkania pokazały, że teatr ochotniczy, w odróżnieniu od zawodowego, nie poddał się kryzysowi. Nie położył uszu po sobie, ani się na nikogo nie obraził. Przeciwnie: pyskuje parszywej rzeczywistości, próbuje rozpoznać przyczyny, pokazuje skutki, stawia pytania, na które często brak odpowiedzi, prowokuje, nie daje spokoju sobie, widzowi dzisiejszości. A że smutne to i pełne pesymizmu? A jakaż ta nasza rzeczywistość? Wesoła? Jeśli — to tylko dla wisielców i paru, wciąż tych samych, kabaretowych błaznów. Oczywiście — żadna ze sztuk nie obiecywała nigdy tylko szczęścia i pomyślności a i obowiązek optymizmu w sztuce polskiej mamy już szczęśliwie za sobą. Podobnie jak wiele równie inteligentnych pomysłów.

Pełne pesymizmu wyniki penetrowania współczesności polskiej dostrzegłem szczególnie wyraźnie we wspólnej wypowiedzi wszystkich uczestniczących teatrów, pt. „Noclegownia". Jest to ostatnia część tryptyku zapoczątkowanego w 1985 r. widowiskiem „Podróże" i kontynuowanego rok później kooperacją zatytułowaną „Czas oczekiwania może ulec zmianie". Ta właśnie wspólna wypowiedź teatralna wyróżniała łódzkie Konfrontacje Teatrów Amatorskich spośród wszystkich tego typu imprez odbywających się w kraju. W ciągu półrocza poprzedzającego KTA kierownicy teatrów spotykają się *„gdzieś w Polsce"*, w pół drogi i omawiają kształt artystyczny przyszłej wypowiedzi oraz „zadają" role swym teatrom. Cztery dni przed premierą spotykają się w Łodzi i próbują po 12 godzin dziennie. Koordynatorem artystycznym tegorocznej wypowiedzi był Marian Glinkowski, postać znana w ruchu ochotniczym, kierownik zgierskiej „Orfy" i Ośrodka Teatralnego Łódzkiego Domu Kultury.

„Noclegownia", to gorzka opowieść o ludziach zamkniętych w jakimś pomieszczeniu, gdzie jedni położeni apatią leżą na ziemi, inni marzą o sprawach oczywistych jak o rajskim szczęściu, inni oszukują się wzajemnie, okradają z nędznych resztek rzeczy i złudzeń, czekając nie wiadomo na co. Po mojemu czekają na zagładę, która od czasu do czasu daje sygnały, że nadchodzi. Jedyny sprawiedliwy w tym towarzystwie, oberwaniec, pątnik, hippis, który usiłuje poruszyć sumieniem ciżby, zostaje zmuszony przez nią do powieszenia się na grubym sznurze. Po czym, przerażona odgłosami nadciągającej zagłady *„ludzkość"*, zrywa kotarę z napisem *„wyjście awaryjne"*, a tam solidny mur z dobrej, przedwojennej cegły.

Oczywiście, rzecz całą upraszczam, sensy są głębsze i więcej znaczące, niemniej — wyziera z „Noclegowni" koszmar beznadziei. Uczestnicy wypowiedzi w ostrej polemice po przedstawieniu próbowali dowieść, że jest to właśnie spektakl optymistyczny, ale mnie nie przekonali. Była to jednak arcyciekawa propozycja artystyczna, co dostrzegła Rada Artystyczna, która *„uznała za rzecz najistotniejszą w czasie X KTA zbiorową wypowiedź wszystkich uczestniczących zespołów, jako udaną teatralizację rozpoznania kryzysowej polskiej rzeczywistości"*.

Ranga tegorocznych Konfrontacji dowiedziona została również składem Rady Artystycznej, którą tworzyli m.in.: Bogusław Litwiniec, Krzysztof Sielicki, Marta Janic, Marek Miller, Andrzej Pałubski. Kto interesuje się teatrem, wie, że to silna obsada.

Czas przedstawić uczestników jubileuszowych Konfrontacji, czyli teatry. Są to grupy tradycyjnie najciekawsze, niektóre znane z poprzednich spotkań, większość jednak po raz pierwszy w Łodzi.

A więc: Studencki Teatr Uliczny z Łodzi, który tak siebie prezentuje: *„W ramach swej pracy zespół przygotowuje widowiska, zdarzenia uliczne, akcje plastyczne, etc. Wszystkie widowiska są wynikiem wspólnej pracy zespołu, powstają w trakcie prób. Działania aktorskie mają charakter improwizacji ukierunkowanej na pobudzenie aktywności widzów. We wszystkich prezentacjach zespołu teatralne „dzianie się" nie posiada określonej linii fabularnej. Zarysowane są tylko tematy. W przedstawieniach nie używa się słowa mówionego, występują natomiast: muzyka, gesty, znaki plastyczne"*.

Teatr Wznowiony z Poznania, który powstał w 1985 r. w Bydgoszczy, a zadebiutował rok później w Kielcach.

Teatr Snów — Gdańsk: *„W centrum zainteresowań zespołu znajduje się mit i baśń, która się z mitu wywodzi. Teatr tropi ślady mitu w codzienności, bada sny i ludzkie tęsknoty. Posługuje się przede wszystkim obrazami, które to zbliżają ludzi skuteczniej niż język analityczny"*. W wykonaniu tego teatru obejrzeliśmy dwie piękne impresje poetyckie: „Pokusy" i „Gry-maski". Teatr został wyróżniony za *„poetycką wrażliwość w wizualnych działaniach teatralnych"*.

Aktorka tego teatru, Alicja Mojko, parę miesięcy wcześniej brała udział w warsztatach teatralnych Petera Schumana — jednego z wielkich twórców światowego teatru otwartego — i opowiadała o swych wrażeniach w czasie zajęć seminaryjnych z instruktorami. Opowieść zilustrowana została video-zapisem omawianych warsztatów.

„Gry-maski" — zaprezentowano na dziedzińcu przed „Lutnią". Wśród dwójki występujących aktorów nad podziw raźno uwijał się z niewygodną i ciężką kamerą Wojciech Król z Łódzkiego Ośrodka TV. Półgodzinny program, dobrze oddający charakter i klimat Konfrontacji ukazał się już w telewizji w programie ogólnopolskim.

Powiedziałem mu:

— Sprawny jeszcze jesteś, no, no...

Żachnął się, ale żartobliwie, bo to dobroduszny człowiek:

— *Phy, patrzcie go. A wiesz, jak nas ocenił prezes gdy zrobiliśmy „na żywo" „Wesele" Hanuszkiewicza ze studentami ? Powiedział: łódzkie dinozaury pokazały swój lwi pazur.*

Po chwili dodał:

— *Żadni zawodowi aktorzy na coś takiego by nie poszli. To można zrobić tylko z młodymi.*

Chodzi o metodę robienia spektaklu „na żywo" a nie z magnetowidu, czego nigdzie się już nie praktykuje. Bez powtórek, poprawek, montażu, zabiegów „kosmetycznych", itd. Popisała się łódzka telewizja.

Wracajmy jednak do naszych teatrów.

„Orfa" ze Zgierza. Zaprezentowane w Łodzi przedstawienie „Wywiedzione z Hrabala" już po Konfrontacjach zdobyło główną nagrodę w Stalowej Woli, na ogólnopolskich spotkaniach podobnego typu. Przedstawienie jest *„opowieścią o ludziach, którzy w teatrze szukają odpowiedzi na pytanie: jak żyć? Czy odpowiedź jest możliwa? Czy teatr stać na wielki gest, projekt, pomysł na człowieka? Jeżeli, jak mówi Grotowski, żyjemy w epoce tranzytu, to jakie wartości należy przenieść w czas, który nadchodzi? Czy potrzebny jest teatr?"*.

Trzeci Teatr w Drodze z Bydgoszczy, jako jedyny przedstawił gotowy tekst teatralny, mianowicie: przerobioną jednoaktówkę Andrzeja Bursy pt. „Zwierzęta hrabiego Cagliostro", zmieniając jej tytuł na „Rewolucja, rewolucja ": *„Uwikłane w akcję postacie są przykładem ludzkich postaw rodzących się na skutek zmian dokonujących się w ich świecie. Oczekiwania, ambicje i nadzieje są dla tej grupki zmieniającymi się warunkami powodującymi powstawanie między innymi oportunizmu i konformizmu"*. Teatr ten nie ma sponsora. Od 1985 r korzysta z gościny oddziału bydgoskiego MONAR-u.

I wreszcie Teatr TAKO z Gdańska, z „Pustynią", inspirowaną prozą Franza Kafki prawdziwe wydarzenie tegorocznych KTA. Mimo iż przedstawiono przedpremierową wersję, a więc nie do końca skończoną, zrobiła ona na widzach wielkie wrażenie. Nie tylko na „zwykłych" widzach. Zdradzę teraz mały sekret z obrad Rady Artystycznej. Otóż Bogusław Litwiniec, a więc człowiek, który wszystko w światowym teatrze otwartym zna i wszystko o nim wie, powiedział, że gdy TAKO dopracuje spektakl i uformuje go w całość, jaką sugeruje wersja obejrzana może to być wydarzenie teatralne na skalę nie tylko europejską. Zbyt wiele jednak było zastrzeżeń do *„stanu obecnego"* przedstawienia by „Pustynię" uznać za dzieło wybitne. Od samych artystów zależy, czy takim będzie. Wyróżniono jednak teatr za *„obiecującą zapowiedź intelektualnej i teatralnej syntezy w przedpremierowej wersji spektaklu Pustynia"*. Duża osobowość artystyczna młodego kierownika teatru TAKO, Bogusława Posmyka, każe wierzyć, że usłyszymy jeszcze o tym przedstawieniu.

Marian Glinkowski zdecydował się pokierować przygotowaniem wspólnej wypowiedzi ogólnoteatralnej z takim uzasadnieniem:

„Powszechna pauperyzacja marzeń i głęboka anemia społecznych nadziei spowodowały moją decyzję o przystąpieniu do nieformalnej spółki kilku teatrów niezawodowych, powodowanych przekonaniem, że dokumentowanie życia metaforą teatralną jest działaniem społecznie przydatnym (...) Czy ludziom skazanym na nadzieję teatralną opowieść jest do czegoś potrzebna?"

Odpowiedzieć musi sam sobie każdy zainteresowany.

ze str. 1

kiem twarzy, to charakterystyczna, łatwo rozpoznawalna twarz Jacka Pałkiewicza.

Ma 45 lat. Wszystkie wymienione wyżej przedsięwzięcia zrealizował od 1972 roku, czyli od osiedlenia się we Włoszech. Średniego wzrostu, krępy, o zdecydowanej, męskiej twarzy, na swój sposób skromny, żaden bufon. Widać wręcz pulsowanie energii i siły pod skórą. Rzadko się uśmiecha, choć jest uprzejmy i sympatyczny. A przy tym szorstki i twardy, lecz nie odpychający. Przeciwnie, magnes jego osobowości powoduje, że stale otacza go gromadka rozmówców.

Rozmawiamy w prywatnym mieszkaniu **Wandy i Jacka Duszyńskich.** Jacek jest autorem zdjęć do dwóch filmów dokumentalnych o Jacku Pałkiewiczu. Teraz gości swego bohatera wraz z żoną i córką. Żona, chciałoby się powiedzieć: rasowa Włoszka, piękna kobieta, i córka, która mieszka na stałe w Warszawie.

Jest również reżyser filmowy z łódzkiej Wytwórni Filmów Oświatowych — Jan Jakub Kolski, autor filmów o Jacku Pałkiewiczu i jego szkole przetrwania.

W roku 1982 założył we Włoszech pierwszą w Europie Szkołę Przetrwania i Przygody

(Scuola di Sopravvivenza e Avventura).

Przechodzimy z Jackiem Pałkiewiczem do sypialni przemiłych gospodarzy, by we względnej cichości i spokoju pogawędzić o tym, co go goni przez kulę ziemską wzdłuż i wszerz. Z sąsiedniego pokoju dobiegają tony pieśni Czesława Niemena „Dziwny jest ten świat". Dlaczego akurat ten stary przebój? Intymność prywatnego mieszkania i luz towarzyskiego przyjęcia nie „otwierają" jednak mojego rozmówcy. Mówi, owszem, dość chętnie, ale naskórkowo, tyle, ile zechce powiedzieć. Nie udaje mi się dotrzeć głębiej. Dobre jednak i to, co powiedział. Rozmawialiśmy zaledwie kwadrans. Ciągnęło go do gości, choć sam bohater ani pali, ani pije, rzecz oczywista.

Oglądałem kilka dni później godzinną audycję telewizyjną z Jackiem Pałkiewiczem w roli głównej. **Andrzej Feliks Żmuda,** sprawozdawca sportowy, pocił się bardzo, a i jemu nie udało się dotrzeć do delikatnej „tkanki" rozmówcy.

Koledzy z ekipy filmowej, a byli oni w szkole przetrwania we Włoszech bodaj dwa tygodnie, potwierdzają niemożliwość wręcz „przedostania się pod skórę Pałkiewicza". Gościli ich w swoim domu, przebywali praktycznie dzień i noc razem — i nie udało im się usłyszeć jakichś bardzo osobistych czy intymnych wyznań.

Trzeba się zgodzić z Henri Bergsonem:

„Jeżeli się chce poznać dno tego, co jakiś człowiek myśli, trzeba się odnieść do tego, co on robi, a nie co mówi. W pewnej mierze jesteśmy tym, co czynimy".

Jego dzień pracy,

gdy jest u siebie, a nie akurat na Sumatrze czy Grenlandii, wygląda mniej więcej tak: wstaje o szóstej rano, jeszcze przed uczestnikami zajęć. Później kilka lub kilkanaście godzin z kursantami w górach, w lesie, wodzie, bagnie; zjeżdża po linach, wspina się na skały, demonstruje poskramianie jadowitych żmij, uczestniczy w zajęciach karate, itd., itp. Późnym wieczorem, jeśli nie ma zajęć nocnych, dla odpoczynku, siada do maszyny i pisze.

Jest autorem ośmiu książek. Żadnej nie przetłumaczono na język polski, co trochę dziwi autora, choć nie bardzo. W każdym razie nie robi z tego problemu. Kilka z nich odniosło wielki sukces na Zachodzie, a kolejna, jeszcze nie skończona, rodzaj podręcznika przetrwania we współczesnym wielkim mieście, została kupiona na pniu przez wydawców wielu krajów zachodniego świata. Oto tytuły niektórych: „Scuola di sopravvivenza" (Szkoła przetrwania), „Scuola di sopravvivenza in mare" (Szkoła przetrwania na morzu), „Il mio Borneo" (Moje Borneo), „Passaporto per l'avventura" (Przepustka do przygody). Tłumaczenia wykoncypowałem sam, więc mogą być koślawe, bo nie znam języka włoskiego.

Jacek Pałkiewicz mówi, że jeździ ostatnio dość często do ZSRR, przygotowuje bowiem nową wyprawę przez Syberię. Tam zawsze czeka na niego, na lotnisku, ekipa telewizyjna i dziennikarze. Gdy był w Łodzi, pies z kulawą nogą o tym nie wiedział, poza bliskimi znajomymi. Spodziewa się również, bo rozmowy są bliskie końca, że wydane zostaną tam niektóre z jego książek. I może wtedy, via ZSRR, trafią do nas, bo nie ma lepszej gwarancji dla zachowawczego wydawnictwa niż książka, która oficjalnie ukazuje się u naszego Starszego Brata.

A swoją drogą to ciekawe: brak zainteresowania pozycjami gwarantującymi sukces kasowy. Podróże i przygody zawsze znajdywały rzesze nabywców, tym bardziej, że od dawna nie pokazała się na rynku dobra książka z tego gatunku.

Jacek Pałkiewicz przyznaje każdego roku nagrodę Szkoły Przetrwania za największy wyczyn mieszczący się w pojęciu wielkiej przygody. W roku 1986 otrzymał ją **Reinhold Messner,** za zdobycie, jako pierwszy człowiek w dziejach, wszystkich ośmiotysięczników świata. Czy za rok miniony otrzyma ją **Jerzy Kukuczka** — nie wiadomo.

Ale i Jacka Pałkiewicza spotkało wyróżnienie. Otóż, jak podała prasa, między innymi „Odgłosy", podczas balu sylwestrowego, miss Polonia — **Monika Nowosadko** — udekorowała okolicznościowymi medalami ludzi, którzy najbardziej rozsławili nasz kraj w świecie w 1987 roku. Obok **Waldemara Marszałka, Jerzego Kukuczki, Andrzeja Mierzejewskiego** i **Jerzego Lenartowicza,** stanął w szeregu znakomitości — prawdziwych mężczyzn — także **Jacek Pałkiewicz.**

I ty możesz zafundować sobie osiem dni piekła

Szkoła przetrwania. O co tu chodzi?

Uczeni mówią nam, że przetrwają tylko szczury i karaluchy. Cudów nie ma. Tego się człowiek nigdzie nie nauczy. Chodzi zatem o przeżycie w warunkach nowych, nieznanych, nagłych, ale i zwyczajnych, codziennych. Tyle że w codzienności współczesnej cywilizacji wielu gubi się, załamuje, ginie. Nie dotyczy to aż tak bardzo nas, Polaków, dających sobie radę w każdej (prawie) sytuacji, którzyśmy przetrwali wiele i wiele więcej pewnikiem jesteśmy w stanie przeżyć.

Szkoła powstała we Włoszech i cieszy się wielką popularnością.

Mówi Jacek Pałkiewicz, twórca szkoły:

— Wyjaśnić by trzeba na początku, że szkoła ta nie jest dla supermenów, Rumbo, tylko dla ludzi zupełnie normalnych, którzy z różnych powodów do nas trafiają. Najważniejszym celem szkoły, i to, co szkołą kieruje, jest zagwarantowanie poczucia pewności siebie. Pozwala sprawdzić, dokąd się jest w stanie dojść i ile, jak daleko poza tę linię, która, wydawałoby się teoretycznie, jest kresem możliwości człowieka. Pozwala przybliżyć się do przyrody, bo to wszystko dzieje się na odludziu, daleko od miasta, od uczęszczanych miejsc, bez prasy, radia, telewizji, telefonu, bez informacji ze świata. Pozwala rozwinąć cechę, która w dzisiejszym świecie jest zupełnie nieznana, z wyjątkiem może koszar wojskowych — to jest solidarność w grupie, gdy — nie mówię życie — ale przynajmniej bezpieczeństwo poruszania się zależy od drugiego człowieka. Wszystkie ćwiczenia wykonywane są grupowo: jeden asekuruje drugiego, drugi pomaga wybrnąć, podciągnąć, wyciągnąć, dodaje otuchy. Jak trzeba zacisnąć zęby, gdy jest się w forsownym marszu i wydaje się, że jest to absolutny koniec i na nic więcej nie stać człowieka — to ten kolega, który jest mocniejszy nie fizycznie, a psychicznie — bo cała tajemnica tkwi w tej sferze — pomoże pokonać jeszcze jeden metr, kilometr drogi, pomoże wspiąć się wyżej i wyjść z opresji przygotowanych przez szkołę. Wspólnie wylany pot łączy ludzi.

Twórcy z Łódzkiej Wytwórni Filmów Oświatowych nakręcili dwa filmy dokumentalne na ten temat: „Szkoła przetrwania" i „Pałkiewicz ma rację". Realizatorzy sami przepocili koszule i kurtki, towarzysząc kursantom w ich karkołomnych wyczynach. Znakomite zdjęcia **Jacka Duszyńskiego** dają wyobrażenie o niezwykłości zajęć w tej szkole, malując przy tym niezwykłą sylwetkę jej „dyrektora".

Przeprawa nad rwącym górskim potokiem z ciężkim plecakiem na plecach. Między brzegami rozciągnięta gruba lina. Tylko. Ciężki oddech pełzającego po linie człowieka. Dołem, czwórka ludzi, „spięta" długim drągiem trzymanym w rękach, pokonuje mozolnie rwący nurt. W obie strony.

Kilkudziesięciometrowa lina zwisza się z wysokiego mostu czy wiaduktu w środku lasu. Po tej linie, głową w dół, zaczepieni butami o pętle, zjeżdżają kursanci na ziemię.

Białe grzywy górskiego wodospadu. Kolejno, jeden po drugim, zalewani lodowatą wodą, schodzą „siedząc" na linie systemem alpinistów, w dół wodospadu.

Prosta ściana skalna. Trzeba ją zdobyć, po czym zjechać do podnóża. Instruktor asekuruje na szczycie.

Bagno po szyję, chlupocze i mlaska. Brną przez nie ubłabrani po czubek włosów uczestnicy szkolnego kursu, a Jacek Pałkiewicz z nimi. Sprawdził tę metodę (długi, w poprzek trzymany drąg) podczas wyprawy przez Borneo.

Walki karate, unieszkodliwianie węży i jadowitych żmij, przejście przez „most tybetański" — to wszystko widzimy na filmie. Poza tym wiele jest zajęć nocnych, gdy często ludzie budzeni są kilkakrotnie w ciągu nocy i brutalnie „wrzucani" w nieznane. Tego kamera pokazać nie może. Nie mamy sprzętu do zdjęć w ciemnościach.

Fragment ścieżki dźwiękowej filmu „Szkoła przetrwania". Komentarz napisał reżyser, **Jan Jakub Kolski,** współautor zdjęć:

— Tak, to z pewnością szkoła dla mnie. Tu nauczą mnie, jak wrócić do domu z każdego miejsca pod słońcem, jak pozbywać się strachu, jak zapanować nad każdą sytuacją. Czy to znaczy, że w ciągu zaledwie ośmiu dni rozwiąże się tu większość moich problemów.

Do tej szkoły zgłaszają się ludzie, którym brak pewności siebie nawet przed wyjściem z domu. Tu twardnieją, gubią stresy, nieśmiałość, brak wiary w to, co robią. Tu stają się na powrót mężczyznami, choć i kobiety zapisują się często na kursy. Nie jest to, jak twierdzą złośliwi, atrakcja dla bogaczy. Przeciętny kurs (a są różne stopnie trudności) kosztuje, w przeliczeniu, 430 dolarów.

Mówi Jacek Pałkiewicz:

— Szkoła istnieje pięć lat i wciąż dokładamy nowe elementy do programu, do perfekcji doprowadzamy niektóre z nich, przy współpracy specjalistów psychologów. Oni pomagają zorganizować nam pułapki, które dadzą posmak realności przeżywanych momentów strachu i niepewności. Potem, gdy się z tego wychodzi, człowiek mówi: „o, cholera, zrobiłem to, wyszedłem, a wydawało się tak brzydko". Gdy pracuje się w grupie w tak skrajnych niekiedy warunkach, to wyrasta i solidarność, i przyjaźń, niekiedy głęboka, trwająca w dalszym życiu. Ci ludzie spotykają się później, urządzają wieczory, wspólne kolacje, i to jest równie wartościowe dla nich jak samo przejście szkoły.

Twórca szkoły przetrwania otrzymuje mnóstwo listów od swych uczniów, stąd wiedza o ich dalszych losach. Pewna pani, zwracająca się do Jacka Pałkiewicza per „mistrzu" opisuje, jak z czterema panami przeżyła wypadek samochodowy na Saharze. Choć sama niedużo (152 cm wzrostu), nie uległa panice, w jaką wpadli jej towarzysze podróży, przypomniała sobie, czego nauczyła się w szkole przetrwania i wzięła los całej piątki w swoje ręce. Racjonowała wodę, wiedziała jak chronić się przed upałem dnia i chłodem nocy. Po czterech dniach poszukiwań, znaleziono wszystkich w całkiem dobrej kondycji. Pani ma świadomość, iż przeżyli dzięki jej wiedzy nabytej u Jacka Pałkiewicza. Ma za co dziękować.

Ze ścieżki dźwiękowej filmu:

— Koncentracja do granic możliwości. Mięśnie zesztywniałe jak postronki. Koszula mokra od potu. Nie z wysiłku, z napięcia. Most tybetański. Trzy liny od brzegu do brzegu. Jeżeli takie mosty pokonywali mnisi tybetańscy na swych górskich drogach, zaiste łatwiej zrozumieć ich mądrość. Nigdy wcześniej nie wsłuchiwałem się w siebie z taką uwagą.

Trzy liny zawieszone są tak, że po jednej się idzie, a dwie — niczym poręcze — asekurują boki. Po tej wiotkiej konstrukcji sunie karawana ludzi z ciężkimi plecakami. Ostrożni, napięci, skupieni. Most kołysze się, to w górę, to w dół. Wszyscy przechodzą na drugi brzeg.

Mówi Jacek Pałkiewicz:

— Pranie mózgów od pierwszego do ostatniego dnia, aby przekonać wszystkich, że najważniejszą rzeczą jest chęć i siła woli wytrwania, przetrwania, wyjścia z opresji i za wszelką cenę niepoddania się. Ja muszę, ja dojdę, ja się nie poddam... Bo jak tylko zaczynasz zmieniać ton i mówisz: „o Jezu, to już koniec", to już rzeczywiście... Większość rozbitków na morzu, którzy umierają, umierają już w momencie, gdy zaczynają myśleć, że ni ich nie uratuje — gdy porzucają siebie samego.

Najnowszą ideą Jacka Pałkiewicza, którą, nie ryzygnując z dotychczasowego programu, wprowadzi do szkoły w tym roku — jest obrona przed niebezpieczeństwami w życiu miejskim.

Mówi Jacek Pałkiewicz:

— We Włoszech ginie rocznie 8 tysięcy ludzi w wypadkach domowych, to jest więcej niż w zakładach pracy. Jak giną? Ktoś goląc się maszynką elektryczną stoi boso w kałuży wody, kąpiel w wannie z grającym radiem, upadek z drabiny, ze schodów, dzieci wypadają przez okna, itd. Ryzyka miejskie to: bandytyzm, złodziejstwo, porwania, włamania, napady. Również zanieczyszczenia: chemiczne, akustyczne, radioaktywne. Kataklizmy: trzęsienia ziemi, huragany, powodzie, itd. Pożary. Pożarnicy mówią, na przykład, że jak się pożar rodzi, to ugasić go można szklanką wody, po minucie potrzebne jest już wiadro, a po dziesięciu minutach — straż pożarna. Po pierwsze więc, nie tracić głowy w żadnej sytuacji. Przebycie w mieście — to chcemy mocno w tym roku robić.

Ze ścieżki dźwiękowej filmu:

— Współczesne miasto staje się dżunglą, bardziej niebezpieczną niż dżungla Amazonii czy Borneo. Musisz nauczyć się bronić. Uczę się. Poligonem jest położone nie opodal miasteczko.

Ilustracją w obrazie jest zaś napad na niewielki sklep i śliczne obezwładnienie dwóch uzbrojonych rabusiów przez obsługę i przypadkowego klienta.

Kiedy człowiek przestanie bać się przyrody, przestanie bać się ludzi. Noc, las, nieznane okolice często wzbudzają niepokój u wielu. Pokonać ten strach w samotności, to pierwszy krok do zwycięstwa nad własną słabością.

Ze ścieżki dźwiękowej filmu:

— Cała noc w marszu. Padał dotkliwy deszcz, taki przenikający pod serce. Potem nagle zniknęli instruktorzy i zostałem sam. Wiedziałem, co robić. Nauczyłeś mnie tego. Zbudowałem szałas i ochroniłem się przed zimnem. Byłem bezpieczny. Ale i samotny. Całą samotnością świata. Rozumiem cię, chcesz nas nauczyć wszystkiego. Już wiem, z czego składa się strach i jak z nim walczyć. Ciągle jednak nie wiem, z czego się składa samotność.

Nie ma chyba takiej szkoły na świecie, która nauczy, jak skutecznie pokonać samotność.

Jacek Pałkiewicz nie pracuje sam. Ma pięciu instruktorów, wytrawnych fachowców, wybranych spośród wielu. Z USA sprowadził eksperta do spraw pustyni, ma byłego komandosa sabotażystę i specjalistę od gór, a każdy z nich ma swój „kawałek podłogi", tu nie ma lipy. Jesteśmy w najlepszych rękach. Ci, którzy przeszli przez łatwiejszy kurs, wracają na następne, trudniejsze. Sprawdzili się — chcą potwierdzenia. Potwierdzenia siły, choć tak niedawno brak im było jakiejkolwiek pewności.

Ze ścieżki dźwiękowej filmu:

— Nie dojdę, po prostu nie dojdę... Nie mam już siły... Dojdziesz, sam nie wiesz, na jak wiele cię stać.

MAREK KOPROWSKI

Foto: Jacek Duszyński

ze str. 1

Nadzieje odżyły z nową siłą po opublikowaniu zamierzeń II etapu reformy. Znalazła się w nich wzmianka o możliwości utworzenia stref wolnocłowych w Polsce. Dla szczecinian był to sygnał do energicznego działania.

3.

Strefa wolnocłowa jest zaproszeniem do robienia dobrych interesów. Można tam wwozić i wywozić towary bez płacenia za nie cła. Zapewnia się warunki do swobodnego przepływu kapitałów i wolnego transferu zysków. Przyciąga to handlowców, którzy zakładają w strefie swoje firmowe składy, bądź korzystają z magazynów i składów przedsiębiorstw usługowych, opłacając jedynie koszty magazynowania i ubezpieczeń.

Z wolnego obszaru celnego korzystają również przemysłowcy, skuszeni panującą tu swobodą. Z reguły są oni początkowo — w pierwszym okresie inwestowania i produkcji — zwolnieni całkowicie z podatków. W następnych latach obowiązuje zazwyczaj wyłącznie podatek dochodowy, który jest zwykle sporo niższy, niż na pozostałym obszarze kraju. Chodzi o to, by przyciągnąć do strefy jak najwięcej obcych kapitałów.

Obcy kapitał przynosi gospodarzom strefy istotne korzyści ekonomiczne. Można je z grubsza podzielić na dwie grupy. Korzyści bezpośrednie to wspomniane już opłaty za składanie i przeładunek towarów, za dzierżawę terenu i ubezpieczenia. Dochodzą do tego wpływy z tytułu świadczenia (na rzecz zagranicznych przedsiębiorstw) usług budowlanych, montażowych, telekomunikacyjnych, transportowych, a nawet bankowych. Niebagatelną rolę odgrywają też zarobki wypłacane pracownikom strefy. Wreszcie — z czasem — znaczącą pozycją stają się dostawy surowców, półfabrykatów i energii z zakładów-kooperantów spoza strefy.

Ostatnie źródło wpływów łączy się z korzyściami pośrednimi, ujawniającymi się w dłuższym czasie. Są to — określając najkrócej — korzyści ze współpracy w realizowaniu przedsięwzięć o zaawansowanej technologii i organizacji pracy. Innymi słowy — strefa „promieniuje" na zewnątrz, przyczyniając się do podniesienia na wyższy poziom gospodarki regionu i kraju.

Na świecie istnieje obecnie około 300 stref wolnocłowych w ponad 60 krajach. Tylko jedna trzecia z nich przynosi duże zyski. Reszta — dopiero się rozwija bądź wegetuje.

4.

Samo utworzenie strefy nie jest więc żadną gwarancją sukcesu. Jest nią dopiero: właściwe położenie strefy, dostępność i kwalifikacje siły roboczej, korzystne warunki prawno-ekonomiczne oraz — infrastruktura terenu.

Postawmy zatem sprawę jasno: **czy Szczecin może być konkurencją dla Hamburga lub Kilonii?**

— Z całą pewnością może — odpowiada profesor **Waldemar Grzywacz**. — Chyba że ograniczymy się jedynie do zniesienia cła. Trzeba iść dalej, znacznie dalej, aby atuty Szczecina stały się bardzo widoczne.

Jakie są atuty?

Zacznijmy od geografii. Szczecin, który jest naszym największym portem, leży u ujścia Odry, ma więc **dogodne połączenie** z Czechosłowacją, i dalej — z Węgrami, Austrią, całym obszarem środkowej, południowej i wschodniej Europy, nie wyłączając ZSRR. Przeciętna odległość z 40 najważniejszych ośrodków Czechosłowacji do Szczecina wynosi 595 km, podczas gdy do Hamburga 790 km. Z Budapesztu do Szczecina jest 960 km — o 317 km bliżej niż do Hamburga.

Okazuje się także, że towary znad Odry mogą być eksportowane do Europy Zachodniej, m.in. do Danii. **Sprostamy konkurencji Hamburga czy Kilonii ze względu na niską cenę renty gruntowej w Szczecinie.** Może nam być przykro, że u nas tak tanio, ale wstydliwy ten fakt stanie się — w przypadku utworzenia obszaru wolnego od cła — niewątpliwym atutem.

Bardzo tania jest u nas również siła robocza. Pod tym względem przebijamy całą Europę. Także w Grecji i Turcji pracownicy nie kosztują zbyt wiele, ale nie mogą się oni pochwalić tak wysokimi, jak u nas, kwalifikacjami. Fatalna dla Polski, niekorzystna dysproporcja pomiędzy stosunkowo niezłym wykształceniem przeciętnego „krajowca" a jego względnie niskimi zarobkami, to dla strefy wolnocłowej w Szczecinie dodatkowy punkt.

Wszystkie te punkty okażą się w sumie niewiele warte, jeśli zaniedbamy ostatnie dwa warunki: **korzystne dla kapitału zagranicznego przepisy oraz rozwój infrastruktury.** Od tego, czy pójdziemy — jak mówi profesor — „dalej", nie poprzestając na zniesieniu cła, zależy bardzo wiele — to mianowicie, **czy światowi producenci dostrzegą w całej pełni atuty Szczecina.**

5.

Dział ekspertyz szczecińskiego PTE przygotował raport o najkorzystniejszych dla rozwoju strefy rozwiązaniach finansowych i prawnych. Zleceniodawcą był **Zarząd Portu Szczecin-Świnoujście,** który — jako wiodący w przyszłym zarządzie — będzie się na nim opierać w negocjacjach z resortami finansów i współpracy z zagranicą.

Autorzy raportu są zdania, że najlepszą formą zarządu strefy jest spółka akcyjna, w skład której wejdą na początek przedsiębiorstwa i instytucje krajowe, pragnące inwestować w strefie i czerpać z niej korzyści. Swój akces wyrazili już m.in. **Zarząd Portu, „Żegluga Morska", PSM Hartwig i Urząd Miasta.** Sama strefa będzie się rozwijać w oparciu o samofinansowanie, korzystając z zysków własnych, a także z kapitałów akcyjnych i obligacji. Nie przewiduje się — nawet w okresie wstępnym — **żadnych dotacji** dla spółki. Wewnątrz strefy obowiązywać ma system rozliczeń wolnodewizowych.

Raport przewiduje również bardzo korzystne warunki dla przyciągnięcia obcych kapitałów. Przynajmniej, jeśli porównamy je z aktualnie obowiązującymi przepisami w kraju, bo za granicą, w dobrze prosperujących strefach wolnocłowych, są one dość podobne.

Wymieniam **niektóre propozycje** autorów raportu:

5-letni okres wakacji podatkowych (dla porównania, w sułtanacie Dubaju okres ten jest trzykrotnie dłuższy). W następnych latach niska stopa podatku dochodowego, maksimum do 30 procent (w strefach chińskich 15 proc., na Węgrzech 40 proc., w ZSRR wobec obcego kapitału — 33 proc.). Prawo transferu zysków dewizowych bez ograniczeń (podobnie, jak w Chinach, rzecz w Polsce bez precedensu). Prawo do repatriacji kapitału, czyli do jego wywozu, ale dopiero po 8 latach funkcjonowania danego przedsiębiorstwa. W tym wypadku chodzi o ograniczenie spekulacji kapitałami. Autorzy raportu domagają się także ustawowej rękojmi dotyczącej niezmienności zasad rządzących strefą w okresie 25 lat.

Profesor **Waldemar Grzywacz** wyraził w rozmowie ze mną obawę, iż wynegocjowanie z resortami powyższych warunków natrafi na duże trudności. Ich wprowadzenie jest jednak konieczne, jeśli pragniemy uzyskać ekonomiczny sukces. Przyszłość — powtarza profesor — leży nie w samym wolnym handlu, lecz w rozwoju specjalnej strefy przemysłowej, na wzór chińskich. Musimy zerwać z praktyką obezwładniania zagranicznych przedsiębiorców podatkami, co sprawia, że wycofują z kraju swój kapitał.

6.

Szczecinianie mają gotowy scenariusz. Po utworzeniu strefy wolnocłowej i powołaniu spółki na części portowych nadbrzeży rozpocznie się wolny handel. Zniesienie cła powinno prowadzić do stopniowego zwiększania się obrotów, a zatem — do powiększania się zysków spółki. Trzy czwarte z tych zysków będzie się przeznaczać **na inwestycje** w rejonie strefy. Wzrost zapotrzebowania na usługi w połączeniu z rozwojem infrastruktury doprowadzi do wzrostu podaży i jakości tychże, co wpłynie z kolei na dalsze zwiększenie obrotów. W ten sposób — po kilkuletnim lub nawet dłuższym okresie „rozruchu" — przystąpi się do ekspansji na dalsze tereny, do tworzenia stref przemysłowych.

Grupa ekspertów pod kierownictwem profesora **Piotra Zaremby** przygotowała możliwe lokalizacje. Wraz z nadbrzeżami strefa obejmie **Ostrów Grabowski i Ostrów Mieleński,** wyspy, położone w pobliżu miasta i portu, dotychczas nie zagospodarowane. Na przyszłość bierze się pod uwagę **brzegi Zalewu Szczecińskiego,** zarówno w części zachodniej jak i wschodniej. Pas zachodni na odcinku **Police-Jasienica-Trzebież** ma lepszą infrastrukturę, linię kolejową i drogę. Na wschodzie zalewu jest jednak więcej wolnych terenów. Są tam dobre warunki dla umiejscowienia dużych przedsięwzięć produkcyjnych. Ale to kwestia — powiedzmy — kilkunastu lat.

Jak wielkie będą wówczas gotówkowe korzyści z posiadania strefy?

Według ocen **Instytutu Morskiego** wpływy z tytułu podatków i opłat wyniosą w 2000 r. od 80 do 290 mln dolarów, a w dwadzieścia lat później od 330 mln do 1,5 mld. **Zbigniew Lesiak** („Życie Gospodarcze" nr 29 z 1983 r.) jest większym optymistą: dochody skarbu państwa po 10 latach istnienia strefy szacuje na 7,5 mld dolarów, a po 20 latach — na 15 mld. Przewidywania różnią się więc dość znacznie.

Raport PTE nie podaje szacunkowej wielkości wpływów. Są one bowiem zbytnio uzależnione od stopnia zaangażowania kapitału zagranicznego. Profesor **Waldemar Grzywacz** wskazuje tylko, że w latach dziewięćdziesiątych nastąpi kumulacja naszego zadłużenia wobec Zachodu. Strefa może nam wtedy bardzo pomóc.

7.

Perspektywa powołania strefy spowodowała **w Szczecinie duże ożywienie,** na razie tylko umysłów. Tutejsza prasa wygrzebała niedawno zapomniany **projekt mostu na Odrze w rejonie Polic,** który umożliwi dogodne połączenie miasta ze wschodnim wybrzeżem zalewu i Świnoujściem, tworząc jednocześnie — wraz z szosą goleniowską — **obwodnicę wokół jeziora Dąbie.** Są już tacy, co widzą wokół brzegów jeziora nowoczesne, „czyste", skojarzone ze strefą zakłady, nowe miasta...

Obawy są, ale nie eksponuje się ich na razie. Najpierw powołajmy strefę, a potem zobaczymy... — taki tok myślenia dominuje. Wszystkiego i tak nie sposób przewidzieć.

Wiadomo, że od problemów się nie ucieknie. Choćby zarobki. Rozliczenia mają być wolnodewizowe, ale zarobki polskich pracowników — w złotówkach i w bonach „Baltony" lub „Pewexu". To już przecież wystarczy, żeby zachęcić do pracy w strefie. Co zrobią wtedy szczecińskie zakłady? Zapatrzone w lepsze wzorce, zwiększą wydajność, usprawnią organizację pracy, zwiększą płace — powiadają optymiści. **Zbankrutują albo zniszczą strefę** — odpowiadają pesymiści. A realiści mówią, że na razie popyt na pracowników będzie niewielki. Ci sami ludzie, którzy przeładowywali towary, przejdą teraz po prostu pod zarząd spółki.

Spółki jeszcze nie ma, jest tylko prof. **Waldemar Grzywacz, dyrektor Więcław z Zarządu Portu,** władze **Urzędu Miasta.** Na ich ręce napływają teraz pisma z wielu zakładów w Polsce. Zgłaszają się kandydaci na generalnych wykonawców, centrale handlowe chcą zakładać oddziały, rzemieślnicy rozwijać usługi. Do profesora **Waldemara Grzywacza** telefonują amerykańscy dziennikarze, przyjeżdża na rozmowy do Szczecina ambasador Szwecji. **Zainteresowanie rośnie.**

Może właśnie strefa okaże się interesem, który wyjdzie nam od początku do końca?

ANDRZEJ GEBAROWSKI

Strefa marzeń i nadziei

Co zyskały Skierniewice stając się miastem wojewódzkim?

Trzynaście lat po awansie

PAWEŁ TOMASZEWSKI

Kiedy **w 1975 roku** Skierniewice zostały stolicą województwa, były małym, prowincjonalnym miasteczkiem niewiele różniącym się od wielu innych podobnej wielkości, jeśli nie liczyć faktu istnienia dwóch znanych placówek naukowych: **Instytutu Sadownictwa** oraz **Instytutu Warzywnictwa.** Miały wtedy prawie 27 tysięcy mieszkańców, kilka zakładów przemysłowych i perspektywę przyśpieszonego, dynamicznego rozwoju, związanego głównie ze zmianami w podziale administracyjnym kraju, który chciał w tamtych latach uchodzić za dziesiątą potęgę przemysłową świata.

Dziś w Skierniewicach mieszka ponad 40 tysięcy ludzi. Miasto rozrosło się, anektując 12 km kw. powierzchni sąsiadujących z nim wsi, stworzyło nowe miejsca pracy w przemyśle i administracji państwowej, niewątpliwie zyskało na znaczeniu, jednak wciąż jeszcze nie zdołało przekroczyć granic swej dawnej prowincjonalności, co mimo niekwestionowanego dorobku ostatnich lat czuje się na każdym niemal kroku.

Najbardziej widać to w śródmieściu, które uległo stosunkowo małym przeobrażeniom i sprawia takie wrażenie, jakby istniała nadal Polska powiatowa. Stare, walące się domy, brudne podwórka, ciasne sklepiki... Tworzy to z pewnością swoisty koloryt, swoistą atmosferę, ale jest przecież reliktem innej, minionej już epoki i ostro kontrastuje nie tylko z naszymi wyobrażeniami o nowoczesności, lecz nawet z wyglądem nowych osiedli mieszkaniowych, o których trudno powiedzieć, iż są naprawdę nowoczesne, funkcjonalne i miłe dla oka.

Jedna z przyczyn opóźniających modernizację śródmieścia, to niedostateczne uzbrojenie terenu — przede wszystkim w sieć centralnego ogrzewania. A dzieje się tak między innymi dlatego, że **nie ma dotychczas w Skierniewicach jednej ogólnomiejskiej ciepłowni,** mogącej zaspokoić potrzeby wszystkich potencjalnych odbiorców. Dominują stare lokalne kotłownie o ograniczonej mocy, tradycyjnie opalane węglem, a co za tym idzie, zatruwające atmosferę. Nie wszędzie też jeszcze doprowadzono gaz. Ale temu akurat trudno się dziwić, wiedząc, iż dopiero w **1982 roku** dotarł on tu do pierwszych 240 mieszkań. Obecnie z gazu korzysta ich już ponad 3 tysiące. Postęp zatem wyraźny. Podobnie — w budowie sieci wodociągowej, której długość od 1975 roku uległa prawie potrojeniu. Władze miasta nie kryją, że są z tego dumne, chociaż podkreślają, iż sporo jeszcze zostało w tej dziedzinie do zrobienia.

Zdecydowanie szybko zaś powinien zostać rozwiązany problem ścieków miejskich i przemysłowych odprowadzanych do Skierniewki. Budowana właśnie na północnej granicy miasta **12-hektarowa oczyszczalnia** zdolna przyjąć 30 tysięcy metrów sześciennych ścieków na dobę, będzie mogła obsłużyć całe Skierniewice i to nawet wówczas, gdyby liczba mieszkańców miała wzrosnąć dwukrotnie. Po zakończeniu tej niezwykle ważnej inwestycji, co planuje się na początek lat 90., do rzeki zamiast ścieków trafi woda mieszcząca się w III klasie czystości.

Szkoda tylko, że **Skierniewka wpada do Bzury,** która być może dopiero w przyszłym tysiącleciu przestanie być brudnym i śmierdzącym kanałem ściekowym. Innym ośrodkom miejskim, leżącym w dorzeczu Bzury, a również Łodzi, bardzo daleko jeszcze do uporania się z problemem swoich ścieków. **Skierniewice zdecydowanie przodują na tym polu.**

Ale nic darmo. Potrzeby młodego województwa i jego stolicy są duże, możliwości — raczej skromne, więc robiąc jedno, zaniedbuje się drugie. Prezydent miasta, **Lucjan Markowski** jest tego w pełni świadom, przy czym wyjaśnia, że gdyby na początku każdego roku wiedział dokładnie, jakimi będzie dysponował funduszami, ich wykorzystanie byłoby dużo bardziej racjonalne. A tak...

W wojewódzkich od ponad 10 lat Skierniewicach są jedynie trzy restauracje i to wcale nie zachęcające już tylko swym wyglądem do zjedzenia w nich obiadu, **jeden bar mleczny, dwie kawiarnie, jedna księgarnia, jedno kino, jeden szpital z 433 łóżkami,** choć przydałoby się co najmniej drugie tyle, gdyż obsługuje on nie tylko samo miasto, ale i okoliczne gminy. (Szpital jest aktualnie rozbudowywany. Gorzej z gastronomią, ponieważ np. nowo zbudowaną restaurację w stanie wojennym zajęło wojsko i urządziło w niej kasyno).

W wojewódzkich Skierniewicach nie ma do dziś ani jednego lokalu z dansingiem, **nie ma domu towarowego** (dla porównania: **Rawa Mazowiecka dysponuje aż dwoma!), nie ma hotelu i dworca autobusowego** z prawdziwego zdarzenia, a **zabytkowy budynek dworca kolejowego został tak już zdewastowany, iż nadaje się wyłącznie do kapitalnego remontu.**

Wiele do życzenia pozostawia stan techniczny placówek handlowych, z których większość mieści się w starych i ciasnych pomieszczeniach, co utrudnia tak robienie zakupów, jak i pracę personelu. Między innymi z tego powodu oraz — niskich płac coraz trudniej znaleźć chętnych do stania za ladą. Obecnie czeka około 40 wolnych miejsc. W tej sytuacji nie sposób myśleć o jakiejś racjonalnej polityce zatrudnienia w handlu, o stawianiu wymagań. Najczęściej przychodzi zdawać się na przypadek, los, który bywa przecież ślepy. I jeżeli w ratuszu z satysfakcją mówi się o znaczącym ograniczeniu zamykania sklepów z powodu przyjęcia towaru, to brzmi to rzeczywiście jak duży sukces, choć między Bogiem a prawdą, nic w tym nadzwyczajnego, bo tak powinno być zawsze i wszędzie, więc raczej wstyd, że jeszcze nie jest.

W Urzędzie Miasta wzdychają:

— Gdybyż więcej było sklepów ajencyjnych...

Ajent sam, a nie z nakazu niechętnie wiesza w drzwiach tabliczkę „przyjęcie towaru" lub „remanent", bo zmniejsza to jego obroty, a co za tym idzie — jego zysk. Chce mu się też pracować w wolne soboty, gdyż wie, że dużo ludzi właśnie wtedy może mieć czas na większe zakupy. Po prostu ajent myśli. Przekonuje o tym chociażby przykład trzech sklepów chemiczno-kosmetycznych, w których po oddaniu ich w 1987 roku w ajencję wyraźnie poprawiło się zaopatrzenie, stan sanitarny, stosunek do klienta. Podobnie postępują właściciele prywatnych sklepów i punktów usługowych, których wprawdzie systematycznie przybywa, ale na razie jeszcze — jak się ocenia — w zbyt wolnym tempie. (Odczuwa się brak szewców, krawców, elektromechaników wyspecjalizowanych w naprawach sprzętu gospodarstwa domowego, telewizorów... Pracuje jedynie jeden zdun).

Pomijając sprawę zaopatrzenia, innym widocznym mankamentem funkcjonowania skierniewickiego handlu jest jego **nadmierna koncentracja w centrum.** Nowe osiedla — podobnie jak w innych polskich miastach — najpierw pełnią funkcję przede wszystkim sypialni, a dopiero później powoli wzbogacają się w placówki handlowe, oświatowe, kulturalne... Można to było obserwować na przykład **w osiedlu Widok,** które na szczęście najgorsze lata ma już chyba za sobą. A mieszka w nim, bagatela, niemal czwarta część wszystkich skierniewiczan.

Osiedle Widok, to także z wielu innych względów dosyć typowy produkt budownictwa lat 70. w stylu lat 70. Wielkie, szare pudła z oknami, niedostatek zieleni, garaży, braki dbałości o detale, bałagan...

A niedaleko — osiedle szeregowych domków jednorodzinnych. Prawie każdy inny, spadziste dachy, miniaturowe ogródki — słowem, tak bardzo potrzebne urozmaicenie. I chociaż część domków jest dopiero w budowie, już teraz widać, że będą estetyczne, dobrze utrzymane. Jakaż różnica w porównaniu z monotonią wielkiej płyty!

Domki te budują przeważnie ich przyszli mieszkańcy zrzeszeni **w małych spółdzielniach mieszkaniowych,** których powstało w Skierniewicach ostatnimi czasy dziesięć. Nie jest to wiele, zważywszy na głód mieszkaniowy **(średni czas oczekiwania w Skierniewickiej Spółdzielni Mieszkaniowej — 12 lat),** ale i chyba niemało w sytuacji, kiedy tak trudno zdobyć materiały budowlane i tak dużo trzeba zrobić własnymi rękami.

Zdaniem Lucjana Markowskiego, budownictwo indywidualne rozwijałoby się znacznie szybciej, gdyby wszyscy mieli z czego budować. Bo nie sztuka zatwierdzić projekt, wydać zezwolenie, ale — stworzyć możliwość normalnego, legalnego zakupu materiałów w dużym wyborze i w każdej chwili. Niestety, na razie jest to bariera nie do pokonania dla władz miasta, które więcej by chciały niżeli mogą. Zresztą nie tylko w tej dziedzinie.

W kulturze na przykład wielką przeszkodą jest szczupłość bazy lokalowej. Co prawda w latach 80. między innymi otwarto **Miejski Ośrodek Kultury,** przeniesiono **Wojewódzką Bibliotekę Publiczną** do nowych pomieszczeń, oddano do użytku salon wystawowy **BWA, dwa kluby osiedlowe,** stworzono **szkołę muzyczną** I stopnia, ale nie zaspokaja to jeszcze wszystkich nawet podstawowych potrzeb mieszkańców. **Miastu przydałoby się muzeum, klub międzynarodowej prasy i książki, pracownie zainteresowań** dla dzieci i młodzieży, dla dorosłych — **kilka małych, przytulnych kafejek...** Duże nadzieje wiąże się z przebudową starego browaru na **Wojewódzki Dom Kultury.**

Amatorzy pływania z niecierpliwością oczekują na **pierwszy w Skierniewicach kryty basen,** który uzupełniłby istniejący już zespół obiektów sportowych: boisk, kortów tenisowych, sztucznego lodowiska, hali sportowej...

Co by jednak nie powiedzieć, **Skierniewice zmieniają się.** Może nie w takim tempie i zakresie, jakiego oczekiwano w połowie lat 70., ale jednak. Nie zawsze też wybrano najwłaściwsze rozwiązania, popełniono błędy. Na przykład budowa jednej, wielkiej, zaopatrującej całe miasto w pieczywo piekarni... **Każda awaria rodzi obawę, czy rano ludzie będą mogli kupić w sklepach chleb.** Kilka mniejszych piekarni nie stwarzałoby takiej groźby, a i pieczywo z nich byłoby może smaczniejsze.

Ale przecież nie tylko o takie zmiany chodzi, chociaż o nich mówi się i pisze najwięcej. Niemniej ważne są też **zmiany w świadomości mieszkańców miasta,** ich mentalności. Małe ośrodki miejskie rządzą się swoimi niepisanymi prawami, tworzą się w nich układy, koterie, systemy współzależności ludzi na stanowiskach i zwykłych, szarych obywateli; częściej niż w dużych aglomeracjach spotyka się zaściankowość myślenia, kołtuństwo; zazwyczaj większa jest presja otoczenia: sąsiadów, znajomych. Tu zachodzących zmian nie daje się wyrazić w liczbach, sfotografować, zmierzyć. Dokonują się one niepostrzeżenie i — bywa — w zupełnie niekontrolowany, czasem trudny do przewidzenia sposób.

Czy i na ile zmienili się w ostatnich latach skierniewiczanie? Oto pytanie, na które również warto by poszukać odpowiedzi.

Czy można przepisami zasłaniać bezmyślność? Czy one zastąpią ludzkie zaufanie? I czy administracja może normalnie funkcjonować bez tego zaufania?

Kara za zaufanie

RYSZARD BINKOWSKI

Wieczorem tak tu cicho, że słychać nawet mruczenie śpiących za piecem kotów. Tym głośniejszy i groźniejszy staje się pomruk maszyn z pobliskich fabryk. Czasem ciszę zmąci łoskot toczącego się po torach pociągu, a o świcie — pianie kogutów. Nocą z rzadka usłyszysz śpiew żałobny zbłąkanego pijaka, a gdy kogoś pobiją lub tata postraszy mamę siekierą, to trzeba to odnotować sadzą w kominie.

Wiejska cisza. I tylko gdy wędrujesz o zmierzchu pozbawionymi chodników ulicami, czepiając się płotów, by nie wpaść w błoto, towarzyszy ci głuche ujadanie czujnych, strzegących dobytku psów. Bo to jest wieś w mieście, a właściwie **fragment wsi Karniszewice**, której część — na południe od toru kolejowego — już w 1921 r. przyłączono do Pabianic.

Dzisiaj **całe Karniszewice leżą w granicach miasta**, a po północnej stronie wielokilometrowej ulicy Karniszewickiej funkcjonują jeszcze gospodarstwa rolne. No i jest tak, jak **wszędzie tam, gdzie wieś znalazła się w granicach miasta. Zaniedbane, nie dostrzegane z centrum peryferie.** Brak nawierzchni, chodników, złe oświetlenie, brak wodociągów, kanalizacji, gazu. A że na wolnych jeszcze skrawkach ziemi zezwala się na budownictwo jednorodzinne, przy założeniu, że ta część miasta jest przede wszystkim strefą przemysłową, więc stanowi to zagrożenie dla mieszkańców.

Ulica Nowotki łączy się z Karniszewicką małym jeziorkiem, które należy pokonywać amfibią, bo podłoże gliniaste nieprzepuszczalne i zawsze stoi tam woda. Karniszewicka jest wysypana szlaką, którą rozmywa woda, tworząc doły i błoto, tak że samochody osobowe pokonują ją z hukiem silników i w tempie czołgów forsujących bagna na poligonie. W porze deszczowej okoliczne ulice stają się nieprzejezdne. Kiedyś **B'skupski** skręcając z Karniszewickiej w Ogrodową tak ugrzązł maluchem, że nawet koń nie pomógł. Koń był silny, ale maluch tak zassał w roztopie, że po szarpnięciu karoseria zaczęła się rozłazić. Trzeba było, tonąc po pas w błocie, wyciągnąć fiacika rękami.

Za czasów **starego Mikuty**, którego wnuk, **Edward Mikuta**, liczy sobie dziś 81 lat, wszędzie na tej dobrej gliniastej ziemi złociła się pszenica i zieleniły się buraki. W młodości Edward Mikuta widział jeszcze z okna tory kolejowe, bo wszędzie były pola.

Ale kiedy dziadek Edwarda parcelował swoje pole na działki, nie wiedział, że po latach przyjdzie tu miasto. Aby zachować coś z wiejskiego charakteru, powstającym później uliczkom nadano barwne nazwy: **Ogrodowa, Kwiatowa, Owocowa, Tulipanowa, Różana**. Tylko że po zabudowie zostały już tylko szczątki drzew owocowych coraz mniej warzyw i kwiatów, a zamiast róż — doły i błoto, które mieszkańcy zasypują systematycznie popiołem i szlaką. Niewiele też dawnych solidnych domów, z rzadka trafia się przedwojenna kamieniczka. Ich miejsce zajmują wielkie nowoczesne wille o pełnych przepychu i równie dziwacznych kształtach, a na Ogrodowej dominuje połączony w blok szereg domków jednorodzinnych przypominający zamek z basztami. Okazała budowla zabezpieczona blachą, ale wystawiona frontem na zachód i tak jakoś ukośnie, toteż wiatr z deszczem może ją przemoczyć.

Edward Mikuta powiada, że 3-metrowy pas ziemi przed tym blokiem dziadek nie sprzedał, zostawiając go na ulicę. No i ten pas należy do spadkobierców, ale że będzie ich z pięćdziesięciu, więc nie ma się o co kłaszczyć. A w ogóle to nikomu nie jest lekko, bo choć wieś umiera z dnia na dzień, przytłoczona ekspansją miejskiego krajobrazu, to mieszkańcy wcale nie żyją w miejskich wygodach.

Edward Mikuta mieszka na Ogrodowej od 52 lat. Tutaj zbudował dom, a gdy przed wojną wkopał w ogródku beczkę zwaną śledziówką, to zawsze w trzech czwartych stała w niej woda do podlewania warzyw. Później okoliczne fabryki, jak **„Papiernia", „Środki Opatrunkowe", „Polfa"** tak dokumentnie osuszyły grunt (ale nie z wierzchu, tylko pod ziemią), że studnie zaświeciły dnem i wodę trzeba było dowozić beczkowozami.

No i wówczas stało się to, co zawsze dzieje się na wsi, choćby ona już była na wymarciu. Mieszkańców połączyła chęć wspólnego działania. I tak dzięki aktywności ludzi z Ogrodowej **w 1972 r. zbudowano w czynie społecznym wodociąg.**

Ale w tym miejscu kończy się już tzw. literacka część reportażu, a zaczyna epopeja urzędowo-biurokratyczna, co może zniechęcić nie tylko autora, mieszkańców Ogrodowej, ale i Czytelników. Ponieważ jednak jest to jaskrawy przykład stosunku władzy do obywatela oraz nietypowy przypadek zamrożenia czynów społecznych, warto się temu przyjrzeć z bliska, chociaż gra toczy się o niewielkie pieniądze.

Otóż **w 1976 roku nikt jeszcze nie przewidywał**, że po 12 latach remont dachu będzie kosztował 200 tys. zł, że za ogrzanie dużego domu trzeba wyłożyć 90 tys. zł według nowych cen węgla, albo że w Ogrodowej **staną barakowozy Zakładu Sieci Energetycznej**, będzie remont, wymiana słupów i do południa wyłączenia prądu, a na wymianę butli z gazem poczeka się miesiąc lub dłużej. Faktem jest, iż zdopingowani sukcesem „wodociągowym" mieszkańcy zawiązali trzyosobowy komitet społeczny w składzie: **Edward Mikuta, Henryk Śniady, Stefan Kwiatkowski**, którzy w imieniu mieszkańców złożyli 3 stycznia **1974** r. w Urzędzie Miasta podanie z prośbą o założenie gazociągu. Sprawa była o tyle prosta i niezbyt kosztowna, że w łączących się z Ogrodową uliczkach, **Kwiatowej i Różanej**, instalowano właśnie rurociąg gazowy.

Już w dwa tygodnie później, tj. 22 stycznia 1976 r., **Wydział Gospodarki Terenami i Ochrony Środowiska UM w Pabianicach** zawiadamia, że czyni usilne starania w celu włączenia budowy gazociągu w ul. Ogrodowej do planu inwestycyjnych czynów społecznych na lata 1976—1977.

1 stycznia 1976 r. ten sam wydział przesyła pismo z pieczątką i podpisem kierownika, **mgr inż. Wiesława Kruszyńskiego**, informując społeczny komitet budowy gazociągu, że budowę gazociągu w ul. Ogrodowej **planuje się wykonać w 1977** r. W tym celu jeszcze w grudniu należy dokonać przedpłat mieszkańców na konto wydziału w NBP Oddział Pabianice. Orientacyjny koszt miał wynieść 90 tys. zł, w tym wpłata mieszkańców minimum 50 proc. kosztów, tj. co najmniej 45 tys. zł.

Ponieważ chętnych było siedmiu właścicieli posesji, zebrano po 3 tys. zł od osoby i 29 grudnia **1976** r. wpłacono na konto bankowe wydziału 18 tys. zł, a 10 lutego 1978 r. jeszcze 3 tys. zł.

Jak z tego wynika, warunki partycypacji nie zostały dotrzymane. Stało się tak dlatego że właściciel ósmej posesji na Ogrodowej dokonał wpłaty, natomiast numery 1—7 na tej ulicy stanowiły ogródki działkowe **Pabianickich Zakładów Przemysłu Bawełnianego „Pamotex"**, które nie były zainteresowane gazem. Gdyby ośmiu stałych mieszkańców i siedmiu działkowiczów wpłaciło po 3 tys., wyszłoby 45 tys. zł, a tak zebrano tylko 21 tys. zł. Ale **Urząd Miasta pieniędzy nie zwrócił, gdyż budowa gazociągu pozostała aktualna.**

Oto bowiem 17 maja 1977 r. Wydział Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska UM zawiadamia, że zleca wykonanie potrzebnej dokumentacji do budowy gazociągu, przy czym załatwienie dokumentacji i wykonawców leży w gestii Urzędu Miasta, a rachunek za wykonane prace ureguluje Wydział Gospodarki Terenowej ze swego konta w NBP.

Mieszkańcy są uszczęśliwieni i do tego stopnia cierpliwi, że **na kolejne pismo czekają aż pięć lat.** Nie stracili zaufania do władzy, toteż czeka ich nagroda. Ten sam wydział w osobie zastępcy kierownika **Zbigniewa Kubsia** zapewnia, że zwrócił się do **Zakładów Gazowniczych w Łodzi** o zarezerwowanie mocy przerobowych na budowę gazociągu w ul. Ogrodowej.

Społeczny Komitet otrzymuje kolejne pismo z datą 23 listopada 1982 r. **Gazociąg zostanie wybudowany w 1983 r.** W chwili obecnej jest opracowywana dokumentacja przez Zespół Usług Projektowych.

5 czerwca 1982 r. **Zbigniew Kubś** powiadamia, że budowa gazociągu w ul. Ogrodowej zostaje przesunięta na rok 1984. Wynika to z konieczności opracowania dokumentacji na budowę gazociągu „kompleksowo dla całego osiedla zabudowy jednorodzinnej położonego na płn. od ul. Partyzanckiej".

No cóż, czas robi swoje i na ulicy Ogrodowej dokonuje się zmiana krajobrazu. **Ogródki „Pamotexu"** wypełnia siedmionumerowy blok, zawiązuje się nowy komitet społeczny na nowych warunkach, zaakceptowany przez Urząd Miasta. Bo teraz chętnych na gaz jest o wiele więcej, gdyż ogrody stałych mieszkańców zostały podzielone i powstała ulica równoległa do Ogrodowej, i ta ulica, zwana **Tulipanową**, szybko zapełniła się domkami.

I teraz mówi się, że stary komitet na czele z **Edwardem Mikutą** był mało operatywny. Nie mówi się, że w ciągu 6 lat Urząd Miasta ani nie wspomniał, że budowa gazociągu jest niemożliwa i nie zwrócił wpłaconych pieniędzy. I nie mówi się też, że w trakcie oczekiwania na cud Edward Mikuta odprowadził na cmentarz kolegów ze starego komitetu, **Stefana Kwiatkowskiego** spod szóstego i **Henryka Śniadego** spod trzynastego, ojca **Hanny Piskupskiej.**

No i w tym miejscu trzeba z kolei dokonać rachunku sumienia i rachunku ekonomicznego. Otóż na koncie Urzędu Miasta przez 11 lat znajdowało się **21 tys. obywatelskich złotówek**, których nie oprocentowano ani nie rewaloryzowano. W 1976 r. koszt wodociągu zamykał się w granicach 90 tys. zł, wkład dla 1 posesji — 3 tys. zł. **W 1987 r koszt opiewa na 4,5 mln zł**, partycypacja mieszkańców ma stanowić 30 proc., czyli 1,5 mln zł, a że posesji jest teraz 30, więc **na jedną wypada 50 tys. zł.** W związku z tym tych siedmiu z Ogrodowej ma dopłacić po 47 tys. Czworo się załamało i dopłaciło, lecz **Mikuta, Maczkiewicz i Hanna Biskupska** obstają przy swoim. Ta ostatnia twierdzi, że w 1976 r. zarabiała jako referent 1500 zł, czyli na gaz wpłaciła dwie pensje. Dziś jej dwie pensje wynoszą 50 tys., nie musi więc nic dopłacać.

No pewnie, jak doliczyć 6 tys. dodaktu drożyźnianego, to gdzie tu mowa o dopłacie? A gdyby tak dalej, to skoro koszty rosną 50-krotnie, to dawny wkład powinien dziś równać się 150 tys. zł.

Sęk w tym, że sąsiedzi nie chcą płacić za trzech wytrwałych i cierpliwych, którzy w niczym nie zawinili. Przewodniczący nowego komitetu nie wyraził zgody na przyłączenie gazu do posesji, gdzie nie wpłacono nowych wkładów, i nie ma się czemu dziwić. Dlatego też np. **Hanna Biskupska** nie otrzymała zapewnienia dostawy gazu, a w razie nieuiszczenia dopłaty nie ma prawa włączyć się do gazociągu w ciągu najbliższych pięciu lat. Tylko jak prywatny wykonawca, których w latach 70-tych nie było, a który teraz zajmuje się budową, nie zostawi w rurociągu choćby zaczopowanej końcówki, to **Hanna Biskupska** w przyszłości wybuli tyle za podłączenie, że się nie pozbiera.

W związku z tym Hanna Biskupska odbyła dwumiesięczną konferencję telefoniczną z kierowniczką Wydziału Gospodarki Komunalnej, panią **Haliną Bakus.** Dowiadywała się po kolei, że Urząd Miasta nie ma środków na refundację wpłaconej przed laty sumy ani przepisu na to, żeby dopłacać za obywatela sprawnego umysłowo i finansowo. Poza tym trzeba być chyba wrogiem budowy gazociągu, żeby tak uparcie domagać się uznania dawnej wpłaty mieszkańców jako przepisowej partycypacji. Gaz to luksus i nie każdy musi go mieć. Co się zaś tyczy odpowiedzialności, to Halina Bakus nie może odpowiadać za tych, co zawalili sprawę i nie pracują już w Urzędzie Miasta. I słusznie.

Pozostaje jednak pytanie, czy był kiedyś jakiś przepis, na mocy którego Urząd przez 11 lat mógł korzystać z pieniędzy obywateli, oraz kto konkretnie odpowiada za ten stan rzeczy. Być może ci, których nazwiska figurują na pieczątkach odbitych na pismach kierowanych do mieszkańców Ogrodowej.

Wiceprezydenta Pabianic, **Andrzeja Cymermana** zdenerwowała interwencja w sprawie tak drobnej sumy, bo on odpowiada za ciężkie miliony na budowach, ale w końcu wykazał zrozumienie, tylko pewnie jego odpowiedź w tej sprawie ugrzęzła gdzieś w Urzędzie. Bo Andrzej Cymerman znany jest reporterowi jako człowiek, dla którego uczciwość zawodowa ma jeszcze znaczenie i który najtrudniejszą sprawę potrafi doprowadzić do końca.

A co na to Edward Mikuta? Jest spokojny, opanowany, bo na co dzień zajmuje się jeszcze pszczelarstwem. Wzdycha tylko, że kiedyś pszczołom żyło się lżej, a i ludziom łatwiej było przebić się przez tę szklaną ścianę, za którą same przepisy i biurokracja. **Pradziad Mikuty**, z zawodu kołodziej, w wieku 103 lat (!!!) potrafił jeszcze zrobić koło. Mikuta mówi, że on już chyba tyle nie pociągnie, bo choć od 81 lat nie pali, to musi w zamian wąchać takie bardziej „medyczne" zapachy. Ano bo zlikwidowano sady, wycięto drzewa, które stanowiły ochronę, i jak powieje wiatr południowo-wschodni, jak zadymi czarnym, tłustym dymem komin **Pabianickich Zakładów Środków Opatrunkowych, gdzie nie ma filtrów**, to śnieg robi się czarny, a latem owoce na drzewach zaczynają fermentować pod wpływem siarki.

No, a co się tyczy tego gazociągu, to nie chodzi o te parę groszy, tylko o zwykłą uczciwość. I żeby ludzie za 11 lat czekania w pełnym zaufaniu na decyzję władz nie ponosili kary, bo jak tak dalej pójdzie, to ludzie przestaną w cokolwiek wierzyć.

PS. Już po napisaniu reportażu do redakcji wpłynęło pismo z Wydziału Gospodarki Komunalnej i Infrastruktury Technicznej UM w Łodzi. Pismo to przytaczam w pełnym brzmieniu. Nie wiem natomiast, z jakim przyjęciem spotka się ono na ulicy Ogrodowej w Pabianicach. Pismo to wszakże potwierdza, że ludzie z tej ulicy mają rację domagając się uczciwego załatwienia ich sprawy. Czy aż tak długo trzeba było na to czekać?

A oto treść pisma:

W odpowiedzi na skargę Obywatelki Hanny Biskupskiej z 15 stycznia 1988 roku w sprawie budowy w czynie społecznym gazociągu w ulicy Ogrodowej w Pabianicach informuję, że krytyka skierowana pod adresem pracowników Urzędu Miejskiego w Pabianicach jest słuszna. W związku z powstaniem nowego komitetu budowy oraz deklaracją gotowości partycypowania w budowie członków starego komitetu proponuję następujące rozwiązanie:

1. Uznać dokonane wpłaty w latach 1976—1978 jako 47 proc. udziału w aktualnych kosztach (21 tys. zł: 45 tys. zł razy 100 = 47 proc.).

2. Urząd Miejski w Pabianicach pokryje koszty budowy do wysokości 47 proc. wartości.

3. Członkowie, którzy dokonali wpłaty w latach 1976—1978 uzupełnią wkłady w pozostałej części 53 proc. wartości czynu.

Kopią niniejszego pisma proszę Urząd Miejski w Pabianicach o poinformowanie mnie o podjętych ustaleniach w przedmiotowej sprawie.

Mgr inż. ZDZISŁAW WŁAZŁOWICZ

Mówi: Włodzimierz Stokowski

— Ile lat pracowałeś w „Odgłosach"?

— Od 1964 do 1980 roku.

— „Odgłosy" miały zaledwie sześć lat, a więc wiek, jak dla tego typu periodyku, a do tego na gruncie łódzkim, dość zaawansowany. Od czego zaczynałeś pracę w redakcji?

— Od sekretarzowania. Przyszedłem z „Dziennika Łódzkiego" — przeniosłem się na własną prośbę — w czasie, kiedy naczelnym „Odgłosów" został właśnie Wacław Biliński. On organizował, czy może raczej budował nową koncepcję pisma i ja zostałem od razu włączony do tej pracy.

— Kto wówczas należał do zespołu redakcyjnego?

— Jan Koprowski, Andrzej Makowiecki, Konrad Frejdlich, Ewa Siemińska... i to chyba wszyscy. Trzeba było opierać się na środowisku pozaredakcyjnym. Ale bardzo dobrze pamiętam dwójkę upartych i bardzo pracowitych naszych współpracowników: Bogdę Madej i Eugeniusza Iwanickiego.

— Dziękuję za miłe słowa. Powiedz jednak, jak oceniasz tamte, odległe przecież w czasie, „Odgłosy"?

— Powiem ci prawdę, Gieniu: oceniać jest bardzo trudno dlatego, że każdy naczelny i jego gremium bliskich współpracowników mają jakąś własną wizję pisma. Osobowość redaktora naczelnego zawsze ma odbicie w charakterze programowym pisma. To jedno. Drugie: za progiem redakcji stoi brutalna rzeczywistość czyli życie. I trzeba te dwie rzeczy pogodzić, to znaczy koncepcję redaktora naczelnego z warunkami obiektywnymi, do których zaliczam sferę finansową, druk, kolportaż, czytelników itp.

— Po sześnastu latach pracy, będąc zastępcą redaktora naczelnego, odszedłeś z „Odgłosów" w najciekawszym chyba momencie naszej powojennej historii. Mówię o roku 1980. Przez te wszystkie lata zmieniali się redaktorzy naczelni: wraz z tobą objął pismo Wacław Piliński, po nim Jan Koprowski, następnie Jerzy Wawrzak. Jak ich dziś wspominasz?

— Przyznam się, że najlepiej mi się pracowało za kadencji Jerzego Wawrzaka.

— I tak, w 1980 roku odszedłeś na emeryturę. Powiedz, co robi dziennikarz na emeryturze?

— Udzielę ci pewnej rady, bo i ciebie czeka to samo: otóż odchodząc na emeryturę należy przez parę lat do niej się przygotowywać. Chodzi mi o to, że samo przejście nie powinno być żadnym kataklizmem — człowiek winien zawczasu sobie zaplanować co, jak i gdzie będzie robił.

— I ty w ten właśnie sposób byłeś przygotowany?

— Tak. Nie zapominaj że przez wiele lat pracowałem w gazecie codziennej, a więc byłem pracą dziennikarską już bardzo zmęczony. Odchodząc na emeryturę miałem przed sobą perspektywę odrobienia ogromnych zaległości w czytaniu, w chodzeniu po moich ulubionych górach, fotografowaniu. Ale pierwszy okres mojej emerytury poświęciłem na remont mieszkania.

— Wynajmowałeś rzemieślników?

— Nie, wszystko robiłem sam. Zaopatrzyłem się w cement, cegłę, deski, wapno itp. Widzisz, ja w czasie okupacji pracowałem jako murarz, brukarz, betoniarz. W Łodzi podczas pierwszych miesięcy pobytu także pracowałem jako murarz i nawet otworzyły mi się perspektywy zostania majstrem.

— I zrezygnowałeś z tak intratnego zawodu?

— Właśnie w tym samym czasie otworzyła się przede mną inna perspektywa: praca w „Dzienniku Łódzkim". Dlatego, gdy uwolniłem się od pracy w redakcji „Odgłosów" z zapałem zabrałem się za porządkowanie mieszkania: położyłem boazerie, kafelki, wyrównałem wszystkie krzywizny pozostawione przez budowlanych, poprawiłem okna... Zajęło mi to parę lat.

— Wspomniałeś o fotografii...

— W czasie, gdy np. schły ściany, zajmowałem się fotografią. Interesował i interesuje mnie przede wszystkim portret.

— No, proszę, tyle lat znaliśmy się, pracowaliśmy w jednej redakcji, a dopiero teraz dowiaduję się o tym twoim zainteresowaniu.

— Nie lubiłem się chwalić, nie było zresztą powodów.

— Wiem, że jesteś znakomitym piechurem.

— Lubię włóczyć się po górach. Mam, jeszcze z czasów wojny, znajomego górala, więc do niego jeździłem i całe tygodnie chodziłem po górach.

— A literatura? Nadrobiłeś zaległości w jej czytaniu?

— Myślę, że przeczytałem wszystko na temat ostatniej wojny, co było i jest dostępne na naszym rynku księgarskim. To rzecz fascynująca. A czy nadrobiłem zaległości? W każdym razie staram się.

— Włodku, przyznaj się z ręką na sercu: nie ciągnęło cię do dziennikarki?

— Nie. Zawsze bardziej interesowała mnie „kuchnia" redakcyjna, chociaż pisanie również. Po drugie: przez te wszystkie lata autentycznie zmęczyłem się pracą w gazecie, pragnąłem robić zupełnie coś innego, oderwać się od makiet, szczotek, korekty, adiustacji itp.

— Podsumujmy: dorobiłeś się ślicznej żony, mieszkania i arytmii serca. Czego jeszcze?

— Mam wnuczkę, ma niecałe pięć lat.

— Gratuluję.

— Jest to ostatnia miłość każdego dziadka. Niestety, moja wnuczka przebywa za granicą, tak że moje z nią kontakty są rzadkie. Mam natomiast niezliczoną ilość jej portretów i zdjęć...

— Sądzę, że teraz masz czas na wszystko.

— Wręcz przeciwnie. Sam się przekonasz kiedyś. Po prostu odkrywasz nowy świat, rodzą się nowe pragnienia i nowe potrzeby. Przynajmniej ja to tak odbieram.

— Jak oceniasz dzisiejsze „Odgłosy"?

— To sprawa bardzo trudna. Teraz są inne czasy i one decydują zarówno o zawartości treściowej, jak i o szacie graficznej. Musiałbym przede wszystkim znać „kuchnię" redakcyjną.

— Jest to ładny unik z twojej strony. Powiedz zatem, czy nigdy nie korciło cię, aby opisać „przypadki i peregrynacje swojego żywota"? Żyłeś w czasach niezwykle ciekawych, stykałeś się z interesującymi, a często i z wybitnymi ludźmi, spotykałeś na swojej drodze także hochsztaplerów i fantastów...

— Zacząłem kiedyś pisać, ale zarzuciłem. Właściwie nie wiem, co winno lec u początków takich wspomnień: czy czasy II Rzeczypospolitej, wojna, czy okupacja, czy też wyłącznie doświadczenia dziennikarskie. Nie wiem.

— A jaka jest ostateczna decyzja?

— Zacznę raz jeszcze, może uda mi się napisać coś niebanalnego i prawdziwego.

— Życzę ci tego z całego serca i dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: EUGENIUSZ IWANICKI

ZENON J. MICHALSKI

Propozycja

Było to dosyć dawno temu
w latach dwudziestych tego wieku
Rząd jak to rząd nic zrobić nie mógł
i tylko budził złość w człowieku.
Gdy się waliła gospodarka
i co z tym zrobić nie wiedziano
gdy naród na rządzących sarkał
na czele rządu Grabski stanął
Rzeczpospolitę podratował
bo z głową wziął się do roboty
walutę mądrze zreformował
i markę zmienił w polski złoty!
Dziś gospodarka znów się sypie
i jutra się przewidzieć nie da
Naród znękany ledwo zipie
i nie ma winnych, a jest bieda
Cóż, każdy orze tak jak może
mnie tam doprawdy nic do tego
lecz mógłbyś dobry Panie Boże
dać nam jednego choć Grabskiego!

Niechby jak przodek ruszył głową
dla dobra naszej gospodarki,
Zrobił reformę walutową
złotówki zmienił nam na marki!

MŁODZI O SOBIE

Lekarz

— Wielu młodych ludzi chce studiować medycynę. Zawsze jest więcej chętnych niż wolnych miejsc. Jak to wytłumaczyć?

— Nie wiem, brak reguły i jednoznacznej odpowiedzi. Studiuje wiele kobiet. Dla nich jest to jedna z ciekawszych propozycji.

— Czemu 7 lat temu podjąłeś tę decyzję?

— Myślałem o kierunku ścisłym, lecz było to zbyt abstrakcyjne, teoretyczne. Medycyna jest „blisko życia", odczuwa się celowość tego, co się robi. Poza tym istnieje jeszcze jeden argument — idąc na inne studia, czasem trudno sobie wyobrazić, co się będzie robić, tu się wie.

— Co wyróżnia studia medyczne?

— Administracja uczelni wyznacza zajęcia obowiązkowe. Uważam że przez pierwsze dwa lata zajęcia na uczelni są konieczne — myślę o biochemii, fizjologii etc. Teoretyczną wiedzę każdy zdobywa samodzielnie. Przecenia się rangę praktycznej nauki w szpitalu, ponieważ nie spełnia swej roli — zajęcia są zbyt schematyczne.

— Spodziewałeś się innej organizacji studiów?

— Nie, moje przypuszczenia sprawdziły się. Sposób pracy odpowiadał mi.

— A ilość godzin?

— Jest akurat tyle zajęć, aby się spotkać z ludźmi i porozmawiać.

— Czy praktyki dają jakieś wyobrażenie o pracy?

— Praktyki po drugim roku, praktyki wakacyjne, zajęcia kliniczne na piątym i szóstym roku — to chyba sporo. Poznałem wysoki poziom szpitali klinicznych Po tym szpitale miejskie czy na prowincji to czasem duże zaskoczenie.

— I rozczarowanie?

— Też, ale inne. Studenci medycyny myślą, że czeka na nich praca w łódzkich szpitalach, a pracy po prostu nie ma. Natomiast w laboratorium lekarz nie jest lepszy od chemika czy biologa i nie wykorzystuje fachowej wiedzy medycznej.

— A inne paradoksy?

— Oczywiście finansowe — ogólnie znane i personalne — za dużo fachowej siły do niefachowej pracy. Na studiach miałem więcej praktyki niż na stażu. Teraz redaguję wypisy, karty informacyjne, historię choroby i widzę ludzi na stażu specjalistycznym, którzy robią to co ja.

(Rozmówca zastrzegł sobie anonimowość)

Rozmawiała: JOLANTA POL

Inna Konopnicka

Jakże uproszczone bywają nieraz nasze sądy o rodzimych twórcach, którym nie dane było dotrzymać kroku najwybitniejszym, co skazywało ich na wczesne popadnięcie w niepamięć, jak choćby **Marię Konopnicką.** Bo i co jest nam dziś znane z jej niemałego przecież dorobku? Oprócz baśni **o „Sierotce Marysi"**, należącej do najwybitniejszych dzieł literatury dziecięcej, oprócz pierwszych słów **„Roty"**, i może jeszcze pieśni o królu co poszedł na wojnę? Dobrze, jeśli nie zapomnieliśmy przy tym, kto napisał **„Pana Balcera"?**

Z pewnością zapalony miłośnik ojczystej literatury dorzuci do tego jeszcze coś niecoś, ale i tak obraz, który się z naszej ułamkowej wiedzy o Konopnickiej wyłania, przedstawia nam dobrotliwą damę w binoklach, zalecającą wierność ziemi przodków i miłosierdzie wobec społecznie wydziedziczonych (choć podobno nie miała ona lekkiej ręki dla swych poddanych).

W każdym razie owa staroświecka rodaczka jawi się nam w zaściankowej scenerii dziewiętnastowiecznej Polski, egzystującej na uboczu prądów umysłowych i nurtów artystycznych ówczesnej Europy. Aż tu raptem, w nigdy dotychczas nie wystawianej sztuce ukazuje się nam pisarka bliska zainteresowaniami ogólnoludzkiej problematyce, pojmująca ją w duchu pozytywistycznego systemu wartości, a jednocześnie krytyczna w stosunku do pozytywistycznych złudzeń o niezawodnym postępie cywilizacyjnym ludzkości. No cóż, życie polskie do takich złudzeń nie uprawniało...

Bohaterami sztuki są **Prometeusz i Syzyf,** chociaż mity o nich, jeśli się nie mylę, w żadnym punkcie nie nakładają się na siebie. I w mitologii, i tutaj reprezentują oni odmienne postawy i sytuacje, jak wiadomo zresztą z innych powodów popadli w niełaskę bóstwa i skazani zostali na wieczne cierpienie, jeden bowiem działał dla dobra ludzi, wykradając dla nich ogień, drugi natomiast snuł swoje podstępy i matactwa z powodu niepięknych cech charakteru, czego autorka zdaje się Syzyfowi nie pamiętać, sugerując, iż cierpi on niewinnie i nieświadom winy.

Zatarcie tych różnic potrzebne było widocznie autorce dla uwypuklenia innych. Otóż jeden, wyższy duchem, jakby predestynowany z urodzenia do odgrywania roli w blasku sławy, zdobywa sobie wdzięczność i miłość ludzi, drugi natomiast ze świata ludzkich nizin, wykonuje swój bezowocny trud wtaczania głazów w mrokach przepaści i nawet nie może na chwilę zadrzeć głowy, by dostrzec światło rozjaśniające szczyty.

Myślę, że można się w tym doczytać m.in. gorzkiej drwiny z patosu romantycznego cierpienia za miliony, a jednocześnie nieprzystawalność tych wzniosłych aspiracji do przyziemnych dążeń zrodzonych w warunkach szarej egzystencji. Z dużą przy tym przenikliwością i satyryczną zjadliwością demaskuje autorka zabiegi Olimpu o pozyskanie sobie herolda ludzkich spraw i warunki przywrócenia go do łask.

Całą tę problematykę ujęła Konopnicka z klarownością myśli, z precyzją i celnością sformułowań w toczonym dyskursie o bytowej i moralnej kondycji człowieka. Wielką zwartością tekstu przy dużej pojemności znaczeniowej wyróżniają się zwłaszcza początkowe kwestie Syzyfa, na odbiorze całości zaważyła jednak ujemnie statyczność akcji, kwalifikująca utwór raczej do „teatru wyobraźni", niż na deski sceny dramatycznej. Są jednak w tekście podobno obce wtręty (Capka), co odbieram zwykle jako nonszalancję realizatora.

Z żarem wewnętrznego przekonania przedstawiał postać **Syzyfa JACEK GUDEJKO,** większa natomiast doza ironicznego dystansu nie zaszkodziłaby, moim zdaniem, postaci **Prometeusza,** granej sprawnie przez **SŁAWOMIRA MACIEJEWSKIEGO.** W postać **Echa** wcielała się w sposób ujmujący **ALEKSANDRA LESZCZYŃSKA.** Scenografia pomysłowo operowała planami przestrzennymi, muzyka stwarzała modlitewny nastrój niepowszedniości.

Czy była to więc Konopnicka zupełnie nowa i nieznana? Raczej chyba poznawana dziś zbyt jednostronnie (z pominięciem pozytywistycznej publicystyki), wskutek czego zbyt pochopnie wtłoczona w ciasne formułki ocen. Uważam, iż tę prapremierę, spłacającą dług wobec rodzimej twórczości, może **Teatr Studyjny** zapisać na koncie zasług.

JERZY KWIECIŃSKI

Maria Konopnicka: „Prometeusz i Syzyf". Opracowanie, inscenizacja i reżyseria, Jacek Andrucki, scenografia — Krzysztof Małachowski, muzyka — Tadeusz Woźniak. Prapremiera w „Teatrze Studyjnym" w Łodzi.

Rarytasy spod księgarskiej lady

Cornelius Ryan znany był dotąd polskim czytelnikom przede wszystkim jako autor faktograficznej książki pt. **„O jeden most za daleko"** (doczekała się ona w ubiegłym roku wysokonakładowego wzhowienia w „Czytelniku"). Dodatkowy rozgłos autorowi tej świetnej publikacji zapewnił nakręcony na Zachodzie film.

Książka ta została poświęcona w całości jednemu z mniej znanych epizodów II wojny światowej — okupionej ogromnymi stratami, nieudolnie zaplanowanej i przeprowadzonej alianckiej operacji — desantowi spadochronowemu pod Arnhem.

Jej atrakcyjność czytelniczą w naszym kraju wzmógł jeszcze fakt, że w operacji tej jedno z najtrudniejszych zadań przypadło w udziale polskiej **1 Brygadzie Spadochronowej,** dowodzonej przez generała **Stanisława Sosabowskiego.** Wyróżniła się ona — w niezwykle trudnych warunkach — walecznością, ponosząc wielkie straty.

Tym razem nowa książka Corneliusa Ryana „Najdłuższy dzień", utrzymana w tej samej konwencji faktograficznego reportażu literackiego — **dotyczy** jednego z najważniejszych wydarzeń w dziejach II wojny światowej — **inwazji wojsk sprzymierzonych w Normandii 6 czerwca 1944 roku.**

Od jej powodzenia zależało osiągnięcie szybszego zwycięstwa nad hitlerowskimi Niemcami. Nieudanie się tej operacji groziło nieobliczalnymi konsekwencjami.

Z mistrzowską wirtuozerią pióra oddaje Cornelius Ryan atmosferę ogromnego napięcia, towarzyszącą wielomiesięcznym przygotowaniom tego, na niespotykaną dotąd skalę przedsięwzięcia.

W sposób sugestywny pokazuje, z jak wielką determinacją przygotowują się Niemcy do odparcia nieuchronnej inwazji.

Z dużym znawstwem psychologicznym kreśli rozterki, jakie przeżywa głównodowodzący alianckich sił ekspedycyjnych, **generał Eisenhower,** aby obrać najwłaściwszy moment ataku — świadom w pełni wyjątkowej odpowiedzialności ciążącej na nim.

Znakomicie udało się też Corneliusowi Ryanowi uzmysłowić laikowi, jak skomplikowanym przedsięwzięciem jest tego typu operacja wojskowa, ile elementów — czasem pozornie błahych — musi być branych pod uwagę, żeby móc liczyć na uzyskanie sukcesu.

Do najlepszych w książce zaliczyłbym sceny, **obrazujące atmosferę i postawy wśród szeregowych żołnierzy obu stron,** przed oczekującą ich walką i w trakcie inwazji.

Stutysięczny nakład tej wielce interesującej relacji rozszedł się błyskawicznie.

Osiągalna jest już ona tylko u „przedsiębiorczych" bukinistów, po trzykrotnie wyższej cenie!

JANUSZ KOZŁOWSKI

Bigos hultajski

Mieszanka firmowa literacko – obyczajowa

SPEŁNIONA PROŚBA

Znany poeta czasów stanisławowskich, **„śpiewak Justyny", Franciszek Karpiński** (1741—1825) napisał około 1783 r. erotyk w wolnomyślnym duchu owych czasów. Wierszyk przypomniał po latach **Józef Krzeczkowski** w wydawanym przez siebie noworoczniku **„Znicz"** (Wilno 1834).

Wszystko, tak jak miała,
Kasia mi oddała:
Dwie ręce śnieżyste,
Dwie piersi parzyste.

Buzię, dwoje oczy,
Włos pięknej warkoczy —
Oddała mi skoro
Wszystkiego ośmioro.

Duszo serca mego!
Daj co dziewiątego.
Kasia usłuchała —
I w gębę mi dała.

CHLEB NIE W PORĘ

Odrowąż, rycerz polski, gdy w jednej batalii wystrzelono mu zęby z wąsami, a w nagrodę męstwa dano mu starostwo kowieńskie, kazał się wymalować trzymającego zęby wystrzelone w ręce z napisem: „Dano mi chleba, kiedym zębów pozbył".

„Kurier Warszawski" 1830 nr 114

Opracował:
ANDRZEJ KEMPA

Półka z książkami

W BITWIE O ANGLIĘ

W serii **„Biblioteki Pamięci Pokoleń"** (i tu od razu muszę stwierdzić, że bardzo się ta seria pogorszyła edytorsko) ukazał się kolejny tom traktujący o udziale polskich jednostek lotniczych w bitwie o Anglię. Książki z tej serii ukazują się już dwadzieścia lat i w sposób przystępny, a jednocześnie udokumentowany, dostarczają relacji o bohaterskich zmaganiach żołnierzy polskich na wszystkich frontach ostatniej wojny. W omawianej tu publikacji *może czytelnik prześledzić* dramatyczną i pełną chwały drogę lotników, którzy po wrześniowej klęsce dotarli do Anglii, by walczyć „o waszą i naszą wolność". Dziś na pomniku tych, którzy polegli w Wielkiej Brytanii napisano: „Walczyłem za dobrą sprawę. W walce tej wytrwałem do końca".

Eugeniusz Banaszczyk: W bitwie o Anglię. KiW 1987. Str. 222. Cena 200 zł.

ŻYCIE I TWÓRCZOŚĆ K. IRZYKOWSKIEGO

W ramach **„Pism" Karola Irzykowskiego** ukazał się pierwszy tom dotyczący życia i twórczości autora **„Pałuby"** opracowany przez **Barbarę Winklową** a obejmujący lata 1873—1918. Całość jest obliczona na trzy tomy. Dla miłośników twórczości Irzykowskiego będzie to interesujące uzupełnienie wiedzy o nim, dla profesjonalistów — niezbędne kompendium zawierające daty, tytuły prac publicystycznych i literackich, kopalnia informacji o życiu rodzinnym i prywatnym, o ludziach, z którymi się stykał, przyjaźnił, wyklócał się lub tylko polemizował na łamach prasy. Całość uzupełniają fotografie.

Barbara Winklowa: Karol Irzykowski. Życie i twórczość, tom I. WL 1987. Str. 620. Cena 1.300 zł.

Oprac.: E. IW.

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

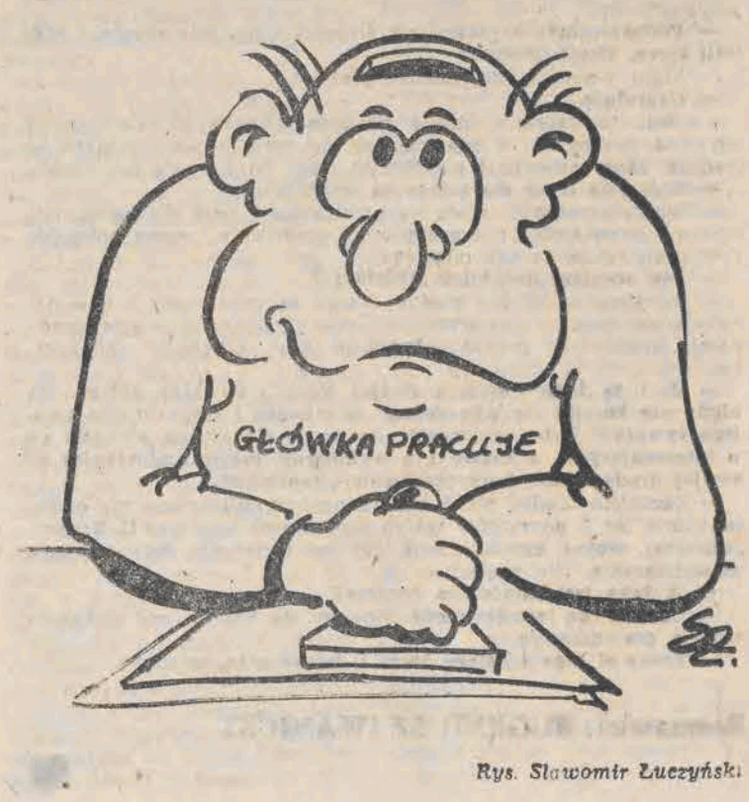

Rys. Sławomir Łuczyński

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata

SUKCES ŁÓDZKIEGO ŚPIEWAKA

W Modenie zakończyły się niedawno eliminacje międzynarodowego konkursu im. Luciano Pavarottiego — nb. bardzo prestiżowego dla śpiewaków. W wyniku eliminacji czworo polskich śpiewaków zostało zakwalifikowanych do finału, który odbędzie się jesienią w Filadelfii. Obok **Katarzyny Suskiej** z Opery Śląskiej w Bytomiu, **Izabelli Łabudy** z Opery we Wrocławiu, **Janusza Borowicza** z Opery i Operetki w Krakowie, wśród finalistów znalazł się również **łódzki śpiewak — Piotr Nowacki z Teatru Wielkiego w Łodzi.**

Gratulujemy.

• • •

„Muzyka XX wieku" — tak zatytułowany został festiwal muzyczny, jaki odbył się w ZSRR. W jego programie znalazły się utwory wielu kompozytorów polskich, a wśród nich: **Tadeusza Bairda, Witolda Lutosławskiego, Krzysztofa Pendereckiego i Krzysztofa Meyera.**

• • •

Jerzy Maksymiuk, pełniący funkcję głównego dyrygenta Szkockiej Orkiestry Symfonicznej BBC **poprowadził koncert** Londyńskiej Orkiestry Filharmonicznej **zyskując pełne najwyższego uznania recenzje.**

W **Accademii di Santa Cecilia natomiast z czterema** koncertami **wystąpił Krystian Zimerman, grający m.in. dzieła** Chopina. **Także i tu nasz pianista spotkał się z entuzjastycznym** przyjęciem **przez melomanów.**

„SAMOBÓJCA" ERDMANA

Dramat „Samobójca" Nikołaj Erdman napisał w 1930 roku mając już w swoim dorobku inny utwór sceniczny — „Mandat", który **przyniósł mu ogromny sukces.** „Samobójcą" natychmiast **zainteresowały się liczne teatry oraz sam Meyerhold,** który przystąpił do realizacji utworu Erdmana. Na generalną próbę przybyła wysoka komisja i spektakl zdjęto z afisza zanim wszedł **na scenę. Zakaz druku i wystawiania** trwał nieprzerwanie do 1968 r., kiedy miesięcznik „Teatr" podjął próbę publikacji. Tekst wycofano z gotowego numeru. W 1982 r. „Samobójcę" wystawił Teatr Satyry. Zagrano zaledwie... 5 razy. Tak było do 1987 roku, kiedy to tenże Teatr Satyry wystawił „Samobójcę".

Co było tego przyczyną? Otóż „Samobójca", określany jako tragigroteska, jest jakby odwróceniem **„Rewizora",** tam mniemany kontroler, tu mniemany samobójca. Ale nie tylko. Główny bohater jest bezrobotny, w rodzinie bieda, w groteskowych sytuacjach rośnie strach przed jutrem, przed samotnością. Najprecyzyjniej atmosferę dramatu określił chyba Meyerhold: „Wesołość, w której dają się słyszeć dźwięki śmierci". A oto niektóre kwestie z utworu Erdmana: „...w naszych czasach to, co mógłby powiedzieć żywy, może powiedzieć tylko umarły..."; „każdy milion kogoś się boi" (mowa jest o wodzach rewolucji i dwustu milionach ludzi); „pozwólcie nam mówić, że życie jest ciężkie. Chociażby tylko szeptem...".

Choć sztuka utrzymana jest w konwencji komedii, jednak nie ma się z czego śmiać. Z polską prapremierą „Samobójcy" wystąpił **Teatr Ateneum w Warszawie.** Pisarz tego nie doczekał — zmarł w 1970 roku, znany jako autor jednej sztuki — „Mandatu".

OKOŁO 220 POWIEŚCI W DOROBKU

W ciągu swojego pracowitego życia napisał ok. 220 powieści przetłumaczonych na 70 języków. Jego utwory doczekały się licznych adaptacji filmowych, telewizyjnych i radiowych. To dorobek życia 85-letniego już dziś belgijskiego pisarza **Georgesa Simenona,** „ojca" słynnego komisarza Maigret. W Polsce książki G. Simenona wydawane były 20 razy w łącznym nakładzie 1,4 mln egzemplarzy.

Zadebiutował w 1922 roku w rodzinnym mieście, jako reporter miejscowej „Gazette de Liege". W 1957 roku zamieszkał w Szwajcarii. Po tragicznej śmierci córki, przed dziesięcioma laty postanowił nie pisać więcej książek, przystąpił tylko do spisywania pamiętników.

W sztuce najciekawsze są błędy

Zamierzałam w tych rozważaniach poprzestać na plotkach z przeplotów, do czego pretekstem byłyby dwie przede wszystkim wystawy: gobelinu **Izabeli Marcjan** (studia w łódzkiej PWSSP 1955—1960, specjalizacja z tkaniny unikatowej w pracowni **Antoniego Starczewskiego**) oraz tkaniny i fotografii **Aleksandry Mańczak** (ta sama uczelnia 1969—1974, pracownia tkaniny unikatowej **Janiny Tworek-Pierzgalskiej**, obecnie adiunkt w tejże pracowni). Ale monopol przeplotu złamało **Muzeum Włókiennictwa** przedstawiając drukowaną tkaninę unikatową **Marii Zielińskiej** (pracownie: **Teresy Tyszkiewiczowej i Marii Stieberowej**, dyplom w 1959 r., do roku 1973 wystawiała pod nazwiskiem **Chmielińska-Ciesielska**). Nie sposób też było nie zauważyć wernisażowych gości licznie przybyłych na spotkanie z **Heleną Bohle-Szacki** (studia również w Łodzi, długoletnia praca w przemyśle odzieżowym: „Telimena", „Moda Polska", „Leda"; **praca w łódzkiej uczelni, a od bez mała dwudziestu lat ugruntowywanie artystycznej pozycji w Berlinie Zachodnim**). Helena Bohle-Szacki przedstawiła w Łodzi rysunek i collage. Skoro wyszliśmy już poza granice tkackiego przeplotu, godzi się dodać do tego zestawu malarstwo **Heleny Bącały** (studia w PWSSP, wystawa znacząca trzydziestolecie pracy artystycznej, obrazy z lat ostatnich).

Pakuję te indywidualności — jednak indywidualności — pod wspólny tytuł, aby zauważyć, że dziś tak naprawdę można cenić w sztuce jedynie odwagę do przekraczania granic już osiągniętej perfekcji. Doskonałości można i należy wymagać od studenta. Od dojrzałego artysty chciałoby się oczekiwać oderwania od tak rozumianej akademickości.

Tymczasem Izabela Marcjan trochę uwikłała swoje gobeliny w cepeliadzie, Helena Bącała niewoli biologiczne malarstwo „ładnością", zaś w kojarzeniu logiki natury z logiką geometrii bardziej niż dokonania Heleny Bohle-Szacki zapadają w pamięć poszukiwania znanego łódzkiej publiczności **Grzegorza Szabińskiego.**

Nie jest moim zamierzeniem notepiać chęć zdobycia widza — czymże innym tłumaczyć tę oswojoną nowoczesność? — na to też musi być miejsce, ale... wolę niepewność.

Maria Zielińska porzuciła kwiaty na rzecz porządku zestawień niewielkiej liczby prostych elementów geometrycznych, zrobiła to z lekkością i swobodą anektując do swoich dokonań to, co na wierzchu podobnych geometrycznych penetracji innych artystów możemy dostrzec. Czekam więc na dalsze prace, wierząc, że będą drażeniem treści, no i życząc aby drukowana tkanina unikatowa, dzięki działaniom Marii Zielińskiej i jej młodszej koleżanki **Jolanty Pachuckiej-Wagner**, zyskała na mapie polskiej sztuki własne oblicze artystyczne.

Aleksandra Mańczak nieskazitelną kulturą tkaniny i fotografii, gdyby obie te dyscypliny rozpatrywać osobno, mogłaby trochę znużyć. Pomieszczone razem stworzyły nową wartość, i to bynajmniej nie z powodu, że przez sąsiedztwo fotografii artystka tak jawnie obnaża źródła swoich tkanin, chodzi tu o wzmocnienie wymowy przez powtórzenie treści. Myślę, że pani Aleksandra doskonale o tym wie.

Ten pospieszny, i z tej racji niewolny od przejaskrawiających uogólnień, przejazd po wystawach muszę zakończyć podziękowaniem za tytuł. Zapożyczyłam go z rozważań Andrzeja S., artysty z również łódzkim rodowodem twórczym. Ponieważ zwierzał się półprywatnie, nie ma chyba do mnie żalu o to zawłaszczenie.

KRYSTYNA NAMYSŁOWSKA

Izabela Marcjan — gobelin, Ośrodek Propagandy Sztuki BWA, styczeń 1988. Helena Bącała — malarstwo, Galeria Sztuki BWA przy ulicy Wólczańskiej 31, luty 1988. Helena Bohle-Szacki — rysunek, collage, Salon Sztuki Współczesnej BWA, ul. Piotrkowska 88, luty — marzec 1988, Maria Zielińska — unikatowa tkanina drukowana, Centralne Muzeum Włókiennictwa, luty — marzec 1988. Aleksandra Mańczak — tkanina i fotografia, Galeria Bałucka BWA, Stary Rynek, luty — marzec 1988.

Interesuje mnie opero - balet

Rozmowa z MARIĄ WÓJCICKĄ, tancerką Teatru Wielkiego w Łodzi.

— Ostatnio zwróciła pani uwagę łódzkiej publiczności i krytyki dwiema pracami choreograficznymi w Teatrze Wielkim: „Suitą" do muzyki Purcella, przedstawioną na grudniowych „Warsztatach operowych" oraz humoreską „Dwa Michały", zaprezentowaną w trakcie wieczoru „Feliks Parnell in memoriam". Jak doszło do tych realizacji?

— Nie zaistniały one przypadkowo. Moje wystąpienie w roli choreografa była poprzedzone studiami choreograficzno-pedagogicznymi w Moskwie, które odbyłam po ukończeniu szkoły baletowej w Bytomiu, oraz latami pracy jako tancerki. Sądzę, że profesja choreografa, wymagająca szczególnego zaangażowania psychofizycznego, a także wypracowania indywidualnego „warsztatu ruchowego" nie może obyć się bez doświadczenia wynikającego z bezpośredniej praktyki scenicznej.

— Czy właśnie z czasów studenckich pochodzą pierwsze próby choreograficzne?

— Owszem. Z tamtego ważnego dla mnie okresu zachowałam szereg szkiców oraz gotowych kompozycji tanecznych. Niektóre były zresztą pracami egzaminacyjnymi, pozytywnie ocenionymi przez tak wybitnych pedagogów, jak Lepieszyńska, Struczkowa, Zacharow.

— A po powrocie do kraju?

— Już w Łodzi, tańcząc w teatrze i pracując zarazem pedagogicznie, realizowałam wielokrotnie układy choreograficzne dla uczniów szkoły baletowej oraz moich studentów z Wydziału Aktorskiego PWSFTviT.

— Powróćmy do wymienionych na wstępie realizacji.

— Przede wszystkim chcę podkreślić, że doszło do nich dzięki autentycznemu mecenatowi artystycznemu dyr. Sławomira Pietrasa. O zaufaniu, którym mnie obdarzył dyrektor — a także kierownik baletu, Liliana Kowalska — zadecydowały chyba lata mej pracy jako tancerki i asystentki choreografa.

— „Suita" i „Dwa Michały" charakteryzują się spójnością formalną i oryginalnością języka tanecznego. Mają jednak odrębną poetykę. Jaki styl wypowiedzi jest pani najbliższy?

— Jestem zwolenniczką stosowania różnorodnych środków wyrazu i chciałabym spróbować swych możliwości w odmiennych konwencjach. Obecnie interesują mnie szczególnie formy tańca inspirowanego muzyką barokową ze specjalnym uwzględnieniem opero-baletu. W ramach tych zainteresowań powstała „Suita". Dalszy jej ciąg — „Scenę wiedźm" z II aktu „Dydony i Eneasza" — właśnie opracowuję.

— Jak przebiegała współpraca z zespołem w trakcie przygotowywania wspomnianych kompozycji?

— W pełnej harmonii i zrozumieniu. Muszę podkreślić, że moi koledzy-tancerze przejawili duże zaangażowanie, dzięki czemu praca mogła efektywnie postępować.

— Podstawową pani domeną pozostaje wszakże nadal taniec...

— Oczywiście, jestem przede wszystkim tancerką, niezależnie od wszelkich innych działań.

— Widziałem panią w ciekawych tańcach solowych, np. w „Fontannie Bachczysaraju", „Królewnie Śnieżce", niedawno w „Wesołej wdówce". Odnoszę wrażenie, że łódzcy baletomani chętnie obejrzeliby panią w większych rolach solistycznych.

— Dotychczas nie udało mi się jeszcze zatańczyć roli w pełni odpowiadającej moim pragnieniom. Mam nadzieję, że to nastąpi. Póki co — doskonalę intensywnie formę wykonawczą. Na pewno przyda mi się ona w spodziewanej roli tytułowej w „Królewnie Śnieżce".

— Ukończyła pani również w Łodzi uniwersyteckie studia filozoficzne, które w jakimś sensie zaowocowały m.in. zorganizowaniem i prowadzeniem podczas IX Spotkań Baletowych sesji naukowej pt. „Między myślą a gestem".

— Sesja próbowała zainteresować sztuką tańca różne dyscypliny naukowe i uwypuklić wzajemne relacje. Gdyby przedstawione idee mogły być w przyszłości kontynuowane i rozwinięte, myślę, że byłoby to nie tylko interesujące, ale i pożyteczne.

Rozmawiał:
JANUSZ JANYST

Maria Wójcicka w „Suicie" Purcella
Foto: Chwalisław Zieliński

Nie tylko disco

Akademickie zespoły pieśni i tańca są we wszystkich ośrodkach akademickich w Polsce. Do tej pory Łódź nie miała takiego zespołu. Był wprawdzie kiedyś przy Politechnice Łódzkiej, ale się rozpadł.

Tak było do grudnia ubiegłego roku, kiedy formalnie usankcjonowano istnienie **Akademickiego Zespołu Pieśni i Tańca „Kujon"**. Powstał dzięki studentom Akademii Wychowania Fizycznego, którzy zafascynowani wykładanym na uczelni przedmiotem „tańce regionalne", wprost zmusili wykładowców do poprowadzenia zespołu. Motorem napędowym całego przedsięwzięcia byli: **Agata Ziemichód** — IV rok i **Roman Krasiak** — III rok. Przez pierwszy rok, do 87 działali prawie na dziko. Zafascynowali się także miejskim folklorem Łodzi i okolic. Swój pierwszy, godzinny program młodzi pasjonaci przygotowali w dwa miesiące i wystąpili z nim podczas Święta Ludowego w widzewskim amfiteatrze.

Pod koniec ubiegłego roku zainteresowały się „Kujonem" i zostały jego opiekunem: Akademicki Ośrodek Kultury „77" przy Radzie Okręgowej Zrzeszenia Studentów Polskich i Zarząd Łódzki ZSMP. Z pomocą młodemu zespołowi pośpieszyli: Wojewódzki Komitet Kultury Fizycznej i Sportu, Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi, „Maltex", „Dywilan". Kierownik Studium Wychowania Fizycznego i Sportu Uniwersytetu Łódzkiego zezwolił, aby osoby tańczące w zespole odbywały w ten sposób obowiązkowe zajęcia WF.

Wprawdzie Akademicki Zespół Pieśni i Tańca „Kujon" nie zdobył jeszcze żadnego dyplomu, nagrody czy pucharu — wszak nie to jest najważniejsze — ale i tak jest zadowolony z dotychczasowych osiągnięć, występów przed publicznością. Oprócz pokazu w amfiteatrze na Widzewie tańczyli bowiem podczas inauguracji roku akademickiego na stadionie AZS, w „Maltexie" dali koncert z okazji rocznicy wyzwolenia Łodzi. W Ozorkowie tak się spodobali młodej publiczności, że występy 1 maja zarezerwowane są właśnie tam. Myślę, że zaproszenie na Festiwal Folklorystycznych Zespołów Studenckich do Tampere w Finlandii też należy zaliczyć do sukcesów.

Członkowie zespołu nie chcą poprzestać na folklorze łódzkim. Do polskich tańców ludowych konieczne są stroje, a z tymi nie jest łatwo. Raz, że stosunkowo trudno je kupić, dwa brak pieniędzy. Do tej pory zespół nie dorobił się takiej fortuny aby mógł sam się zaopatrywać i dlatego bardzo liczy na pomoc rektorów łódzkich wyższych uczelni oraz instytucji, które do tej pory patrzyły na nich łaskawym okiem.

Przygotowaniem Akademickiego Zespołu Pieśni i Tańca „Kujon" do występów zajmują się dwie osoby: mgr **Jolanta Dąbrowska** wykładająca na AWF tańce i ćwiczenia ruchowe oraz mgr **Ryszard Kruszyński** też z AWF, zajmujący się stroną muzyczną.

BOGUMIŁ A. MAKOWSKI

Kronika

DUŻY SUKCES NA X OGÓLNOPOLSKIM FESTIWALU FILMÓW DLA DZIECI odnieśli twórcy łódzkiego „Se-Ma-Fora".

Główne nagrody — „Złote Koziołki" — otrzymali bowiem: **J. Łukaszewicz za film „Przygody wesołego diabła" i J. Kędzierzawska za „Dedykację" oraz film „Józek".**

Łodzianie zdobyli także kilka innych nagród specjalnych.

TADEUSZ SIEJAK (lat 39, główny mechanik w Pilskim Przedsiębiorstwie Robót Inżynieryjnych) autor głośnej, bardzo **poczytnej trylogii** o tematyce współczesnej („Oficer", „Próba" i „Pustynia") w wywiadzie udzielonym poznańskiemu tygodnikowi **„Wprost"** (nr 10 z br.) **zgodził się z opinią, że jego powieści mają również** — obok przesłań moralizatorskich — **charakter polityczny.**

Jak stwierdził, odpowiadając na zadane mu o to pytanie przez red. Janusza Michalaka, **„głównie dlatego, że cokolwiek by u nas tknąć, to wszystko — za przeproszeniem — aż śmierdzi polityką. Nawet wytwarzanie prezerwatyw, o czym mieliśmy okazję przekonać się podczas niedawnej konferencji ministra Urbana. Polityka to taka specjalność systemu, w którym żyjemy".**

WYDAWNICTWA ARTYSTYCZNE I FILMOWE zamierzają w tym roku opublikować bulwersujące wspomnienia — o posmaku skandalu — znanego francuskiego reżysera filmowego **Rogera Vadima pt. „Moje trzy żony".**

Twórca m.in. tak głośnego **filmu, jak „Bóg stworzył kobietę" — ujawnia** w nich bez żadnych osłonek **alkowiane kulisy swojego współżycia z Brigitte Bardot, Catherine Deneuve i Jeane Fonda.**

Zanosi się więc na szlagier wydawniczy.

WOJCIECH ŻUKROWSKI, w wywiadzie dla czechosłowackiego tygodnika **„Tvorba", z publikacji literackich, które ukazały się w Polsce w ubiegłym roku, najwyżej ocenił książkę Zbigniewa Nienackiego „Raz w roku w Skiroławkach".**

Oto przyczynek do przemyśleń dla rodzimych stróżów moralności spod znaku księdza Pirożyńskiego!

„SOWIETSKIJ EKRAN", w jednym z artykułów, o erotyzmie w radzieckich filmach napisał:

„Niezaspokojona ciekawość intymna stroną życia ludzkiego zrodziła, rzecz prosta, pragnienie zobaczenia choćby odrobinę «tych rzeczy». A ta odrobina jest w naszych filmach wręcz żałosna, a próby nieudolne. Sceny miłosne, jeśli to tak w ogóle można nazwać, reżyserowane są drżącymi rękami, a aktorzy kamienieją z tremy (...) **Niczego nie osiągniemy, jeśli będziemy przeciwstawiać problemom seksu bezpłciowy kinematograf i sterylną czystość stosunków, wydumaną w zaciszu urzędniczych gabinetów.**

W MINIONYM ROKU BIBLIOTEKI publiczne nabyły o ponad **300 tys. książek mniej** niż w 1986.

NA POSIEDZENIU ZESPOŁU KSIĄŻKI PRZY NARODOWEJ RADZIE KULTURY, znana pisarka, **Halina Auderska, zapytała: „Skoro dopłaca się do biletów kinowych i teatralnych, dlaczego minister finansów upiera się, że książka ma na siebie zarobić".**

WKRÓTCE WYŚWIETLANY BĘDZIE w naszych kinach pełnometrażowy film dokumentalny **o ubiegłorocznej pielgrzymce do Polski Jana Pawła II.**

OD 5 BM. W GALERII FOTOGRAFII ŚWIDNICKIEGO OŚRODKA KULTURY czynna jest wystawa **„IV Ogólnopolskiego Fotograficznego Pleneru Aktu — Zamek Książ '87".**

NASZE MIASTO WZBOGACI SIĘ w tym roku **o nową imprezę kulturalną, o zasięgu ogólnopolskim.** Będą nią **„Prezentacje artystyczne" — „ESTRADA '88".**

Impreza ta po raz pierwszy ODBĘDZIE SIĘ W LISTOPADZIE BM. Jej celem jest **promocja różnorodnych form sztuki estradowej i ujawnienie nowych talentów.**

JAK POINFORMOWAŁ zastępca głównego inspektora Państwowej Inspekcji Radiowej Władysław Urbański, dotychczas wydano w naszym kraju ponad 2000 zezwoleń na instalację urządzeń do odbioru telewizji satelitarnej.

Bardzo wysoka cena urządzeń i przystawek **nie odstrasza nawet.. rencistów.** Ze starających się emerytów **dwudziestu uzyskało już zezwolenie na odbieranie takich programów.**

UKAZAŁ SIĘ PIERWSZY NUMER nowego **dwutygodnika „Megawat". Jego wydawcą jest Elektrownia „Bełchatów". Zespołem redakcyjnym kieruje Stanisław T. Kuśmierek.**

W pierwszym numerze tego pisma **pomieszczono szereg ciekawych materiałów.** Między innymi interesującego wywiadu udzielili „Megawatowi" minister kultury i sztuki, profesor **Aleksander Krawczuk.** Redakcji **udało się pozyskać do współpracy aż...** samego **Zygmunta Broniarka (korespondenta „Trybuny Ludu" w Waszyngtonie).**

Zespołowi redakcyjnemu życzymy wielu satysfakcji z pracy.

MIESIĘCZNIK „NOWYJ MIR" zamierza niebawem rozpocząć **druk** głośnego za Zachodzie **„Roku 1984" Georga Orwella.**

ANGIELSKA DZIENNIKARKA TELEWIZYJNA EMMA FREUD (prawnuczka słynnego twórcy psychoanalizy — Freuda) wpadła na pomysł **przeprowadzania wywiadów ze znanymi osobistościami życia społecznego i kulturalnego... w łóżku.**

Twierdzi bowiem, że w pościeli... ludzie najbardziej są szczerzy (sic!)

Wśród **uczestników jej łóżkowych wywiadów znaleźli się** m.in.: aktor **Sean Connery** (odtwórca Bonda), kilku kompozytorów, znany przemysłowiec i właściciel kilku nocnych lokali.

Program, który prowadzi Emma Freud, podoba się bardzo telewidzom brytyjskim, **trwa piętnaście minut i nosi nazwę „Rozmowa na poduszkach".**

Ciekawe, czy i u nas doczekamy się kiedyś czegoś takiego?

Opracował: JAK

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

WIELCY W ANEGDOCIE

Po słynnej książce **„Żony Hollywoodu"** (znanej u nas z ekranizacji filmowej) Amerykanie doczekali się kolejnej rewelacji książkowej z „fabryki snów", książki pt. **„Hollywoodzkie anegdoty"**, zawierającej smakowite opowieści z życia gwiazd. Oto kilka próbek.

O L. J. Selznicku, wielkim producencie filmowym, który w młodości został zmuszony do opuszczenia rodzinnej Rosji: Po obaleniu cara Mikołaja II w 1917 roku Selznick wysłał obalonemu carowi telegram: „Kiedy byłem biednym chłopcem w Kijowie kilku pańskich policjantów nie było dla mnie uprzejmych STOP przyjechałem do Ameryki, gdzie mi się powiodło STOP dowiaduję się z żalem, że pozostaje pan bez pracy STOP, jeśli przyjedzie pan do Nowego Jorku mogę dać panu dobre role w filmach STOP wynagrodzenie nie stanowi trudności STOP. Proszę odpowiedzieć na mój koszt STOP".

O Mae West, słynnej **seksbombie,** "która **sama** pisała scenariusze i **słynęła** z tego, że najlepsze kwestie rezerwowała dla siebie: *Reżyser* **Ernst Lubitsch** zwrócił jej kiedyś uwagę że **każda** historia powinna mieć przynajmniej dwoje bohaterów i podał **przykład „Romea i Julii" Szekspira.**

Niech Szekspir pisze po swojemu — brzmiała odpowiedź — a ja po swojemu. Zobaczymy, kto na tym lepiej wyjdzie.

NOTOWANIA NA GIEŁDACH KSIĄŻKOWYCH

Janusz Wałek „Dzieje Polski w malarstwie i poezji" (wyd. albumowe) — 7000 zł (cena nominalna 5500 zł); **Stefan Migdal** „Piłsudczyzna w latach pierwszej wojny światowej" — 700 zł; **„Rok 1918 we wspomnieniach mężów stanu, polityków i wojskowych"** — 1000 zł (cena nominalna 650 zł); **Józef Haller** „Pamiętniki" (wydanie przedwojenne) — 25 000 zł; **Zbigniew Flisowski** „Burza nad Pacyfikiem" — 2200 zł; **Jan Jelinek** „Wielki atlas prehistorii człowieka" — 4500 zł; **„Pismo Święte Nowego Testamentu"** — 1500 zł (cena nominalna 850 zł); **„Encyklopedia dla dzieci — Polska Moja Ojczyzna"** — 3200 zł; **Lesław M. Bartelski** „Mokotów 1944" — 700 zł; **Cezary Chlebowski** — **„Pozdrówcie Góry Świętokrzyskie"** — 1400 zł; **„Zagłada żydostwa polskiego"** (album zdjęć) — 3500 zł; **Piotr Stachiewicz „Parasol"** — 3200 zł; **Artur Sandauer „Bóg szatan, Mesjasz i...?"** — 2000 zł; **Jerzy Śląski** „Polska walcząca" (3 tomy) — 3200 zł; **„Mała Encyklopedia Prawa"** — 1900 zł; **Henryk Sienkiewicz** „Potop" (3 tomy) — 2500 zł; **Lew Tołstoj** „Anna Karenina (2 tomy) 1000 zł; **Marian Brandys** „Moja przygoda z historią" (wyd. powielaczowe w II obiegu) — 1000 zł; **Igor Śmiałowski** „Cała wstecz" (wspomnienia) — 600 zł; (cena nominalna 420 zł); **S. Peterfi** „Hodowla gołębi" — 2000 zł; **James Joyce** „Listy" (2 tomy) — 1400 zł; **Jan Rostowski** „Zarys psychologii małżeństwa" — 600 zł (cena nominalna 390 zł); **„Słownik naukowo-techniczny polsko-angielski"** — 3400 zł.

Fraszki

TADEUSZ GICGIER

ŻYCZENIE JUBILEUSZOWE

Życzę Wam, żeby „Odgłosy" przemówiły pełnym głosem.

MIROSŁAW PONIECKI

NA A. MAKOWIECKIEGO

Niegdyś na saksie odstawiał szlagiery
Dziś gra pierwsze skrzypce między reportery.

ADAM OCHOCKI

Z NEKROLOGU PIJAKA

20 bm. odszedł z tego świata
przepiwszy 34 lata.

ANATOLIJ RYBAKOW

(38)

Dzieci Arbatu

6.

Takiego smutku Sasza nie zaznał ani w Butyrce, ani w więzieniu etapowym, ani na etapie. W Butyrce miał nadzieję — rozpatrzą, wypuszczą, na etapie miał cel — dojść na miejsce, urządzić się, cierpliwie przeczekać wyrok. Nadzieja czyniła go człowiekiem, cel pomagał żyć. Tu nie miał ani nadziei, ani celu. Chciał pomóc ludziom w użytkowaniu separatora, oskarżono go o szkodnictwo. Udowodnił mu to Alfierow z żelazną logiką. I Alfierow w każdej chwili może go rozdeptać, nadać bieg raportowi Iwana Parfionowicza. Czy tak można żyć? Na co mu podręczniki do francuskiego, których czeka z Moskwy, książki z ekonomii politycznej i filozofii? Komu będzie je wykładał, z kim rozmawiał po francusku? Z niedźwiedziami w tajdze? Nawet jeżeli Alfierow go nie ruszy, to jak i z czego ma tutaj żyć? Waloriki reperować — tego się może nauczyć. Oto jego przyszłość. Zapomnieć, zapomnieć o wszystkim! Ideę, na której się wychowywał, opanowali Baulinowie, Łozgaczowowie, Djakowowie, depczą tę ideę i depczą ludzi jej oddanych. Przedtem myślał że na tym świecie trzeba mieć mocne dłonie i niezłomną wolę, inaczej się zginie, teraz zrozumiał: ginie się właśnie mając silne ręce i niezłomną wolę, bo owa wola zderza się z wolą jeszcze bardziej niezłomną, twoje ręce z rękami jeszcze silniejszymi — w nich jest władza. Aby przeżyć, należy podporządkować się cudzej woli, cudzej sile, kryć się, przystosowywać się, żyć, jak zając, bojąc się wychylić zza krzaka, tylko za taką cenę można zachować swoje fizyczne istnienie. Czy warto tak żyć?

Sasza siedział w domu, próbował czytać. Staruszek naprawiał coś na podwórku, stukał siekierą, jednostajny, monotonny stuk przynosił jeszcze większy smutek. Staruszek poszedł z podwórka, ale już Sasza nie mógł czytać, rzucił książkę. Nie zniesie takiego życia, nie wytrzyma. Potem położył się na łóżku, zasnął, ale nawet we śnie nie opuszczało go uczucie nieszczęścia, zbudził się w przerażeniu, serce mu waliło.

Czego chce od niego Alfierow? Jego życzliwość nie jest przypadkowa, nie bez powodu zostawił go tutaj. Zgodnie z logiką rzeczy, powinien sprawę wykończyć, uzasadnić swoje tutaj funkcjonowanie. A on wypuścił go z powrotem do Mozgowej, wspomniał o przeniesieniu do Kieżmy, o zatrudnieniu w ośrodku mechanizacji rolnictwa, nie żądał nic w zamian. Próbuje usposobić do siebie przychylnie czy też przeciwnie, zdemoralizować? Chce doprowadzić do kresu wytrzymałości, trzymać w niepewności, w napięciu, w wiecznym strachu, niby, materiał na ciebie leży, czekaj, kiedy znowu cię wezwą, nie będziesz miał spokojnego życia. Smutek, smutek...

Starucha rzuciła do niego przez drzwi:

— Jeść będziesz?

— Zęby bolą, nie będę — odparł Sasza.

Dwa dni nie wychodził z domu, siedział na podwórzu, pomagał w czymś dziadkowi. Wiedział, że Zida czeka na niego, niepokoi się, ale jej też nie chciał widzieć, była świadkiem jego hańby, zacznie pocieszać, będzie to jeszcze bardziej upokarzające. Zresztą, wszyscy i wszystko jest mu obojętne. Trzeba z tym skończyć! Z tego kręgu już się nie wyrwie... No, ale co wtedy z mamą? Mama tego nie przeżyje, takiego ciosu nie może jej zadać, przyjdzie dźwigać ten ciężar, żeby tylko mama wiedziała, że żyje żeby tylko mama nie traciła nadziei.

Trzeciego dnia zaszedł do niego Wsiewołod Siergiejewicz.

— Co z panem? Dlaczego pan nie przychodzi? Chory?

— Zdrowy.

— Alfierow dopiekł?

— Udowodnił, że jestem szkodnikiem i obalicielem władz kołchozowych. Logicznie to wykazał, przekonująco.

Wsiewołod Siergiejewicz zaśmiał się.

— Czemu się pan dziwi? Z wykształcenia jest filozofem.

— Tak?

— Proszę sobie wyobrazić. Niech pana nie zmyli jego stanowisko. Jest figurą, szychą, na trzy, a może nawet i na wszystkie cztery romby, większą niż jego naczalstwo w Kańsku, dlatego nie nosi munduru. Nawiasem mówiąc, był za granicą, a trafił tutaj. Obawiam się, że jest to nasz przyszły, jakby to powiedzieć, kolega lub współtowarzysz. A może i odwrotnie podskoczy, wszystko zależy od jakichś tam wyższych, ani panu, ani mnie nie znanych okoliczności. W każdym razie logicznie panu udowodnił, że zgodnie z meldunkiem przewodniczącego kołchozu może zetrzeć pana na proszek. Uszkodził pan separator i nazwał przewodniczącego kołchozu durniem. To panu inkryminował?

— To.

— No widzi pan. Chcę pana uspokoić. Tego samego dnia separator odwieźli do Kieżmy, zrobili to, co pan im powiedział, przywieźli z powrotem i działa normalnie. Może pan wyjść i przekonać się.

— Nie mam najmniejszej ochoty.

— I słusznie, Sasza Mam dla pana radę: więcej niech się pan do niego nie dotyka. Tak że, rozumiem, problem szkodnictwa odpada. Proszę się nie denerwować.

— Ja się nie denerwuję. To po prostu wstrętne.

— Rozumiem. I jeżeli pozwoli pan, będę z panem szczery i powiem coś panu. Można?

— Oczywiście.

— Sasza, jest pan, niewątpliwie, człowiekiem. Prawdziwym człowiekiem! Radzieckim człowiekiem! Nie jest to komplement, tylko konstatacja. To pięknie być prawdziwym, ideowym, radzieckim człowiekiem. Ale pan chce nim pozostać nawet w pana szczególnej sytuacji, chce pan postępować tak, jak powinien postępować człowiek radziecki. A tak nie wolno. Sasza: dla otoczenia nie jest pan człowiekiem radzieckim, ale antyradzieckim. I tylko z tej pozycji patrzą na pana i rozpatrują pana poczynania. Idzie pan ulicą i widzi: — separator nie działa pan, znając mechanizm separatora, niezwłocznie podchodzi do separatora i naprawia go. A przewodniczący kołchozu, a pełnomocnik, mam na myśli nie Alfierowa, ale innego, zwyczajnego, oni myślą inaczej: po co polazł do separatora? Jasne — aby go zepsuć. Wróg szkodzi i psuje, gdzie tylko może — mam nadzieję, że wie pan, czyje są to słowa?

— Wiem.

— Nie chce pan być wyrzutkiem, ale powinien pan liczyć się ze swoją sytuacją. Nazwał pan przewodniczącego durniem — to jest pana główny błąd. Jeśliby pan zrugał go od ostatnich, nic by nie było. Ale dureń — to jest obraźliwe, poniżające, brzmi w nim poczucie wyższości, wychodzi, że pan jest mądry, a on jest głupi. Alfierow nie proponował panu przeniesienia się do innej wsi?

— Proponował.

— No i co? Odmówił pan? Z powodu Nurzidy Gazizowny?

— Ani nie odmawiałem, ani się nie zgadzałem. Powiedziałem mu, żeby sam zdecydował, nie chcę mieć wobec niego zobowiązań, nie chcę być jego dłużnikiem.

— Wsiewołod Siergiejewicz pomyślał, potem powiedział:

— No cóż, być może postąpił pan słusznie. Chociaż w innej wsi miałby pan spokojniej. Tu już wydarzył się incydent z synem gospodyni, teraz znowu z przewodniczącym, reputację tu ma pan kiepską. Ale miejmy nadzieję, że wszystko rozejdzie się po kościach. Teraz nastąpił u pana nerwowy wybuch. Pana nerwy były ściśnięte, jak sprężyna: areszt, więzienie, więzienie etapowe, etap, nasza Mozgowa, kwatera, kłopoty. A jak wszystko się jakoś uładziło, sprężyna trzasnęła przy pierwszym nowym naciągnięciu. Wszyscy przez to przeszliśmy. Najważniejsze, żeby nie przeszło w stan chroniczny. Ale jest pan człowiekiem silnym, z charakterem, powinien pan sobie z tym poradzić. Jedyne wyjście: nie wchodzić z nimi w konflikt i być poprawnym wobec nauczycielki, teraz będą pana obserwować, ostrzą sobie na pana zęby, mogą i to dołożyć.

Podszedł do łóżka Saszy, poklepał po ramieniu.

— Dosyć tego! Niech pan wstaje! Pójdziemy zagrać w preferansa.

— Nie gram dobrze.

— To nic. Karty są naszą pociechą: kryminalni — w oko, my — w preferansa. Proszę się ogolić, jaki pan zarośnięty, niech się pan ubiera i idziemy. Czas, żeby się pan zapoznał z miejscową inteligencją.

Nie chciało mu się iść, ale Wsiewołod Siergiejewicz nalegał, i Sasza rozumiał, że dobrze byłoby zobaczyć, jak radzą sobie tu z egzystencją inni ludzie.

Michaił Michajłowicz Masłow, człowiek mniej więcej czterdziestopięcioletni o pochmurnej, zmęczonej twarzy, przyjechał tu rok temu z Wysp Sołowieckich. Z postawy można się było domyślać byłego oficera.

— A już myśleliśmy, że nie przyjdziecie — kwaśno rzucił Wsiewołodowi Siergiejewiczowi, kiedy zjawił się u niego razem z Saszą.

— Zdążycie nas ograć — dobrodusznie odpowiedział Wsiewołod Siergiejewicz.

Podczas gry Michaił Michajłowicz nie pozwalał na długie rozmyślania, popędzał, robił wymówki po niewłaściwych wyjściach. Tylko Saszy nie robił wymówek — jako człowiekowi z innego, wrogiego świata i wyróżniał Saszę swoją powściągliwością. Sasza także czuł antypatię do Michaiła Michajłowicza, nie lubił takich drażliwych, czepialskich, na przykładzie swojego ojca wiedział, że to nie zależy od losu, tylko od charakteru.

Czwartym partnerem w rozgrywce był Piotr Kuzmicz, były kupiec z miasta Stary Oskoł okręgu woroneskiego. Wyrok zaczął w Narymie, kończył tu, nad Angarą. Po sześćdziesiątce, krępy, szeroki w ramionach, z krótką, czarną brodą o siwych nitkach, w długich butach z włożonymi doń spodniami, i w starej marynarce, wytartej i świecącej się na łokciach i klapach. Jedyny z obecnych tutaj chętnie opowiadał o swoich niedolach.

— Nie pozwalano — nie handlowałem — mówił Piotr Kuzmicz — pozwalali handlować — handlowałem, co chłopu potrzebne: kosy, sierpy, widły, wszelkie chemikalia, do czego w ogóle przyuczony byłem od małego. Jest na wsi sklep spółdzielczy, ale chłop do mnie, u mnie wszystko na czas, wiem, co wieśniakowi potrzeba. A potem wiadomo: inspektor podatkowy, za nim drugi, nałoża a to podatek, a to obłożenie, a to podatek dobrowolny. W więzieniu żądali złota, a skąd wziąć? Moje złoto — to żelazo: prętowe, gatunkowe, obręczowe, dachowe. Złoto przedtem tylko na carskich dziesiątkach i pięciorublówkach widziałem.

Piotr Kuzmicz opowiadał dobrodusznie — od funkcjonariusza dochodzeniowego też wymagają.

— No dobrze, jestem kupcem, jestem pozbawiony praw obywatelskich z powodu przynależności do klas wyzyskujących, ale co mają do tego dzieci? Czy one sobie ojca i matkę wybierały? Też przecież żyć chcą, ciągnie ich za innymi do pionierów, do Komsomołu, a tu ich zewsząd przepędzają. Najmłodszy, Aloszka, lebski chłopak, wyjechał do Moskwy, dostał się do fabryki, przysyła gazetę: „Ja, taki to a taki, zerwałem z ojcem, nie mam z nim nic wspólnego". Przykro. Wychowywałem go, poiłem, karmiłem, a tu — wyrzekam się. No co robić, nie mógł inaczej. No i wierzył, że handel jest oszustwem, z cudzej pracy, mówi, żyjesz... A poprzetaczaj w sklepie beczki z oliwą albo lemiesze, albo skrzynki z gwoździami, zobaczysz jaka jest ta nasza praca... Dobrze! Zaczął nasz Aloszka studiować, zdecydował się uczyć na agronoma, miał skłonność do ziemi. Mieszka w Moskwie, w akademiku, a żona nie śpi po nocach — głoduje dziecko. Posłałem mu trzydziestkę, on ją z powrotem — ideowy... Dobrze, jak żeś ideowy, to siedź głodny! A matka i tak z rozdartym sercem chodzi, posłała mu przez krajanów słoniny poleć, pierogów domowych, zakazała mówić, że to od niej. Krajanie przyszli do akademika, Aloszki nie ma, zostawili przesyłkę na szafce nocnej, mają tam każdy przy łóżku szafkę nocną, mieszkali we czterech. Przychodzi Aloszka, widzi przesyłkę — kto przyniósł? Krajanie przynieśli, mówią. Nie, odpowiada, to od rodzicieli przesyłka, odeślę z powrotem. A chłopaki do niego: po co z powrotem, pojedzmy kułackiej słoniny — młodzi, zdrowi i głodni. Wtrąbili i słoninę, i pierogi. A potem jeden z tych, który te pierogi wtranżalał, napisał do jaczejki, że niby mój Aleksiej otrzymuje posyłki od rodziców, i wychodzi, że nakłamał, że zerwał z nimi kontakty. Wykluczyli Aloszkę z Komsomołu, usunęli z instytutu, z powrotem w fabryce pracuje. Swoich się wyrzekł, a ci do których się przyłączył, sami się go wyrzekli...

— Sto razy słyszeliśmy — przerwał mu Michaił Michajłowicz — niech pan w karty patrzy.

— Dlaczego nie opowiedzieć młodemu człowiekowi — miękko zaoponował Piotr Kuzmicz — może to go zaciekawi. Żyją pana rodzice?

— Żyją — odpowiedział Sasza.

— Nie ruszyli ich?

— Za co ich ruszać?

— Jak zechcą, znajdą, za co. Ale i tak czy to im lekko: syn na zesłaniu. Już lepiej samym tłuc się na Sybirze.

— Nie z tej strony co trzeba żałuje pan swoich dzieci — z wyrzutem powiedział Michaił Michajłowicz — posłał pan paczkę, zmarnował życie. Nie umarłby bez pańskiej paczki, inni studenci obchodzą się bez. I słusznie się nas wyrzekają — jesteśmy ludźmi skończonymi. „Rewolucja jest lokomotywą historii", wpadł pan pod nią, niech się pan podda!

— Wychodzi, że syn nie jest synem, a ojciec nie jest ojcem.

— Właśnie tak — z coraz większym rozdrażnieniem kontynuował Michaił Michajłowicz. — „Czcij ojca swego i matkę swoją" — to jest od Boga, a Bóg jest nikomu niepotrzebny. Ich religią jest równość. I tak będzie wszędzie, zrobią światową rewolucję i wszystkich zrównają.

— Ale się pan zapędził z tą światową rewolucją — wmieszał się do rozmowy Wsiewołod Siergiejewicz — bolszewicy sami z niej zrezygnowali. Państwo — oto jest religia Rosjanina, on w carze czci Boga. I podporządkuje się. I nie chce żadnej wolności. Wolność wykipi w ogólną jatkę, a lud chce porządku. Wolę nie Stiepana Razina, nie Jemieliana Pugaczowa, ale Lenina, nawet Stalina.

— Dlatego właśnie jesteśmy tutaj.

— Tak. A przy Stiopce albo Jemielce wisielibyśmy na osice. Bolszewicy uratowali Rosję, ocalili wielkie imperium. Przy tak zwanej wolności Rosja rozleciałaby się na kawałki. Nowy władca absolutny umacnia Rosję — cześć mu i chwała, a potem co Bóg da!

— Państwo powinno chronić swoich obywateli, a wasze państwo walczy z nimi — rzekł Michaił Michajłowicz — ze mną, z panem, z Piotrem Kuzmiczem, walczy z chłopem, na którym państwo się opiera, nawet — skinął w stronę Saszy — ze swoimi też wojuje. Jestem Rosjaninem, też pragnę Rosji, ale nie takiej.

— Innej nie będzie — zaśmiał się Wsiewołod Siergiejewicz.

Odwiedziny u Michaiła Michajłowicza nie odsunęły od Saszy mrocznych myśli, nie ujęły ciężaru i rozpaczy.

Te rozważania były mu znane i nieciekawe. Ludzkie oblicze miało jedynie opowiadanie Piotra Kuzmicza, czy nie można było zlikwidować nepu bez ekscesów... I złamać życie chłopakowi dlatego, że koledzy namówili go do zjedzenia przysłanego przez matkę kawałka słoniny! Smutek...

Do tego smutku dołączyła się trwoga o matkę — do tej pory nie dostał z domu żadnego listu.

W środy zesłańcy zbierali się na brzegu Angary, czekali na łódź pocztową — najważniejsze wydarzenie w ich monotonnym życiu. Baby płukały bieliznę, dzieciaki kąpały się, wychodziły z wody, drżąc z chłodu, zesłańcy chodzili po brzegu, wpatrywali się w mglistą dal rzeczną. W końcu w dole pokazywał się maciupeńki punkcik, poruszenie wzrastało — poczta czy nie. Poczciarz w brezentowym płaszczu z odrzuconym na plecy kapturem wyrzucał na brzeg worek z blaszaną tabliczką „Mozgowa", rozdawał pocztę, przyjmował listy do wysyłki.

Sasza także wychodził na brzeg, razem ze wszystkimi czekał na pocztę, ale listy dostawał tylko od Sołowiejczika — „Do Napoleona na zesłaniu", tak napisał na kopercie, ciągle jeszcze żartował, biedak Sołowiejczik, znowu był pełen optymizmu, posłał prośbę o przeniesienie go do Friedy albo Friedy do niego. Z Moskwy od mamy nic nie dostawał. Depeszował do niej z Kańska w maju, wtedy też wysłał jej pierwszy list. Powiedzmy, tydzień odpowiedź szła do Kańska, przypuśćmy, do Kańską list przyszedł, kiedy poczta na Boguczany już poszła, znaczy, leżał w Kańsku jeszcze tydzień. Jeszcze tydzień leżał w Boguczanach w oczekiwaniu na przeadresowanie do Kieżmy. Razem trzy tygodnie, a jest tu już ponad miesiąc. Wsiewołod Siergiejewicz uspokajał go:

— Na pierwszy list wszyscy długo czekają. Pan liczy po swojemu, a poczta po swojemu. Nieraz listy z Moskwy idą trzy tygodnie, nieraz trzy miesiące, dlaczego — nikt nie wie. Wrzucili przez pomyłkę nie do tego worka, co trzeba, zepsuł się wóz, zrzucili pocztę w radzie wiejskiej — połowę pogubili. Upuści poczciarz worek do Angary — będzie pan czekał całe życie. I nasz drogi towarzysz Alfierow schnie z nudów, dlatego z przyjemnością czyta nasze listy, a jeśli któryś specjalnie mu się spodoba, powiedzmy, ze względu na swoje wartości literackie, przetrzyma miesiączek, może w ogóle sobie zostawić. Pańskie obliczanie czasu jest niedokładne, pański telegram z Kańska mogli przekłamać, pański pierwszy list z jakichś powodów do matki nie doszedł, znaczy dostała tylko drugi list i odpowiedzi musi się pan spodziewać za miesiąc — półtora. Trzeba się uzbroić w cierpliwość, przyjacielu.

Wsiewołod Siergiejewicz ma rację, a jednak, widząc, że inni dostają listy, gazety i paczki, a on nie, Sasza się denerwował. Z każdą pocztą wysyłał mamie dwa — trzy listy, pisał, że dobrze się urządził, kwatera trafiła się wspaniała, naokoło też wspaniali ludzie, niech mu nic nie przysyła, nic mu nie potrzeba.

Smutny wracał z brzegu do domu, szedł wiejską ulicą, pozdrawiano go, jakby się nic nie stało, jakby go nie oskarżano o szkodnictwo, nie wzywano go do Kieżmy. I rozumiał, że w odczuciu wsi nic się nie stało, on nikogo nie obchodzi, jak przypędzili tutaj, tak i przepędzą, takich, jak on oglądali już setki. Przywykli do martwych, zabitych, zgubionych, i nawet nie przygarnęli dzieci specjalnych przesiedleńców.

I przewodniczący kołchozu Iwan Parfionowicz nie zwracał uwagi na Saszę, patrzył obojętnie, zameldował, komu trzeba, niech tam się tym zajmą, dosyć mu własnych kłopotów.

Spotkał kilka razy Zidę, patrzyła na niego pytająco, kiwał jej głową na znak powitania, ale się nie zatrzymywał, wieczorami widział światełko w oknie, ale nie wstępował. Żal mu jej było, ale nie mógł sobie poradzić ze sobą samym, nie miał teraz do niej głowy, ani do nikogo, ani do niczego.

Utrzymywał kontakty tylko z Fiedia, wpadał do sklepiku to za tym, to za owym. Fiedia odnosił się do niego po przyjacielsku jak dawniej, kiedy poprosił go o naprawienie pewera.

C.D.N.

Tłumaczyła:
EWA-KATARZYNA NOWAK

Na kolumnie „Polemiki, listy, opinie" publikujemy tylko listy podpisane imieniem i nazwiskiem, z podaniem adresu. Adres i nazwisko na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Zastrzegamy sobie możliwość skrótów.

· polemiki · listy · opinie · | polemiki · listy · opinie ·

CO CZYTAJĄ STUDENCI?

W styczniu 1988 roku przeprowadziłem sondaż socjologiczny wśród 383 studentów ekonomii, socjologii, psychologii, pedagogiki, historii, biologii, matematyki i fizyki Uniwersytetu Łódzkiego. W tym 66 proc. stanowią kobiety. Z rodzin inteligenckich pochodzi 62 proc. respondentów, robotniczych — 33 proc., chłopskich — 3 procent. Rodzice pozostałych tworzą mieszane małżeństwa (9 proc.), bądź działają prywatnie (3 proc.).

W obszernej ankiecie obejmującej głównie zagadnienia polityczne i światopoglądowe postawiłem m.in. następujące pytanie: **„Które z podanych tygodników czytasz w miarę regularnie?"**. Uzyskane odpowiedzi z podziałem na mężczyzn i kobiety zawiera w procentach (N=383) poniższa tabela. Kolejność podaję według ogólnych odsetków wskazań.

Tytuł	Ogółem	Mężczyźni	Kobiety
1. Przekrój	**36**	23	**43**
2. Polityka	35	39	33
3. Jestem	28	7	39
4. Razem	25	18	30
5. Odgłosy	**24**	**19**	**26**
6. Przyjaciółka	18	4	26
7. Forum	16	25	12
8. ITD	9	7	10
9. Pan	9	10	8
10. Veto	7	2	9
11. Przegląd Tygodniowy	6	11	4
12. Kultura	6	4	7
13. Tygodnik Powszechny	5	**8**	4
14. Przegląd Katolicki	2	3	1
15. Zarzewie	1	1	2
Żaden z nich	12	23	7
Liczba respondentów	383	130	253

Najbardziej zaskakujące jest to, że prawie co czwarty mężczyzna nie czyta regularnie żadnego z wymienionych tygodników. Bardziej pod tym względem aktywne są kobiety. W porównaniu z 1986 rokiem najbardziej wzrósł udział osób czytających **„Politykę"** (z 23 proc. do 36 proc.) i **„Odgłosy"** (z 14 proc. do 24 proc.).

A jak przedstawia się czytelnictwo dzienników? Na pytanie ankietowe — **„Które z podanych dzienników czytasz w miarę regularnie?"** — otrzymałem odpowiedzi zawarte w poniższej tabeli. Wszystkie dane są w procentach.

Tytuł	Ogółem	Mężczyźni	Kobiety
1. Express Ilustrowany	42	**56**	46
2. Dziennik Łódzki	36	32	39
3. Głos Robotniczy	27	33	24
4. Słowo Powszechne	3	2	3
5. Trybuna Ludu	2	1	3
6. Sztandar Młodych	2	0	3
Żaden z nich	35	35	35
Liczba respondentów	383	130	253

W badanej zbiorowości studentów UŁ ponad jedna trzecia (35 proc. mężczyzn i kobiet) nie czyta regularnie żadnego z wymienionych dzienników regionalnych i centralnych. Tak samo było dwa lata temu.

Najbardziej popularnym dziennikiem jest **„Express Ilustrowany"**. Czyta go blisko połowa kobiet oraz co trzeci mężczyzna. Bardzo małe, jak widać, są odsetki osób czytających gazety centralne. Nawet po **„Sztandar Młodych"** młodzież studencka sięga niezwykle rzadko.

E.L.

A GDZIE SOJUSZ ROBOTNICZO-CHŁOPSKI?

Któregoś dnia telewizja nadała program „Komu pomóc" i padło tam zdanie, że najbiedniejsi są starzy rolnicy — prawdą to może troszkę jest, ale dlaczego, bo przez własną głupotę bądź pazerność.

1. Dzieci w miastach z refundowanymi przez tych rodziców willami, samochodami, wałówkami i jeszcze czekają na spłaty z majątku, więc starzy pracują, a ziemi za emeryturę nie oddają.

2. Dlaczego dzieci nie pomagają rodzicom, im w mieście jest dobrze — ale gdyby mieli za swoją jedyną pensję oszczędzać na swoje „M", wyżywić się i ubrać, to wieś miałaby więcej rąk do pracy, bo to kochane córeczki i synkowie woleliby być w domu na wsi. A tak to mają wille, część wynajmują Arabom oczywiście za walutę i jest okey.

I jeszcze jedno. Prasa piętnuje alkoholizm w zakładach, kary nakłada się, grzywny, zwalnia się pracowników i słusznie tak być powinno. Ale czemu nikt nie pisze o alkoholizmie na wsi. Tam się nie pije a chla, prawie co dzień a obowiązkowo bo w soboty i niedziele, od rana zaś w poniedziałek dojrzewają skacowani bądź leczą rany po zawodach bokserskich.

Widziałam to wszystko na własne oczy, ponieważ przez pewien czas miałam pracę, gdzie jeździłam przez wsie i około 13 nie byłam w stanie zjeść nigdzie w restauracji obiadu, bo stoliki były okupowane przez wiejską elitę pijacką i po co te slogany. Rolnik pracuje świątek i piątek to bujda. Stąd takie zaopatrzenie jak mamy, bo nie dość że mało pracuje, to jeszcze musi sprzedać na lewo.

Jedyną uczciwą propozycję dla rolnika miał Władysław Gomułka, rządał tego samego, co od robotnika i wtedy było co jeść, choć kraj dźwigał się z ruin.

Ponadto sądzę, że nie tylko mnie krew zalewa na reklamy telewizyjne, co można kupić za dolary i pokaz tych artykułów, przecież my żyjemy w Polsce i mamy złotówki, a nie dolary.

TAMARA TOMCZYK

OD REDAKCJI. Chociaż wiele haseł z dawnych lat jakoś przybladło i straciło swoją aktualność, to przecież trudno byłoby zaprzeczyć, że musi istnieć sojusz miasta ze wsią, a ściślej pracujących na wsi i w mieście i odwrotnie. Tymczasem coraz częściej do głosu dochodzą poglądy wyrażające wzajemną, niczym nie uzasadnioną niechęć. Ludzie pracy w mieście oskarżają ludzi pracy na wsi, że zgarniają niezasłużone dobra i lepiej im się żyje. Ludzie pracy na wsi nie pozostają dłużni. A przecież wystarczy się trochę zastanowić, aby zrozumieć, że ani wieś nie uczyni nic pożytecznego bez pomocy miasta, ani miasto nie będzie miało sił do pracy bez pomocy wsi. Obie strony tego bezmyślnego konfliktu są sobie potrzebne i powinny się wspomagać. Dzieje się przeciwnie. Nie milkną wzajemne oskarżenia.

Przy czym zabawne jest często to, że oskarżający „miastowi", najczęściej w poprzednim pokoleniu byli... „wsiowymi". Wieś była zawsze „rezerwą kadrową" dla miasta. Proszę zapoznać się dokładnie choćby tylko z historią Łodzi. Jeśli natomiast miasto wyczerpało nadmiernie swoją naturalną rezerwę, czyli wieś, to stało się tak nie ze złej woli ludzi wiejskich, ale na skutek utraty możliwości sterowania procesami industrializacji i migracji. Winy trzeba zatem szukać zupełnie gdzie indziej.

Porzućmy więc wzajemne niechęci i zacznijmy działać razem dla dobra miasta i wsi.

W SPRAWIE WYBORÓW „MISS ZIEMI ŁÓDZKIEJ"

Przeczytałem w „Odgłosach" z 20 lutego 1988 r. tekst (notatkę? — bo przecież nie recenzję) Zofii Kędziory, dotyczący imprezy w Teatrze Muzycznym, podczas której dokonano wyboru najpiękniejszych dziewcząt Ziemi Łódzkiej'88 i jako osoba odpowiedzialna za kształt artystyczny całości nie mogę nie zabrać głosu w paru sprawach.

Autorka wspomnianego tekstu (notatki? — bo przecież nie reportażu), dziwnym trafem nie wspomniała o paru rzeczach: że organizatorami imprezy były — redakcja „Expressu Ilustrowanego" i Centrum Kultury Młodych, że całkowity zysk ze sprzedaży biletów zostanie przekazany na konto Społecznego Komitetu Budowy Domu Stałego Pobytu i Rehabilitacji Młodzieży Niepełnosprawnej, że podczas koncertu jurorzy przekazali swe honoraria na ten właśnie cel. Trochę tych informacji brakuje zwłaszcza, gdy cztery akapity poświęca się wręczaniu kwiatków i pucharu.

Trochę pochopnie autorka tekstu (notatki? — bo przecież nie paszkwilu) stwierdza, że poza choreografem nikt dziwczętom nie podziękował. Przewidując, że w kulisach teatru będzie to z różnych powodów niemożliwe, złożyłem wszystkim kandydatkom podziękowanie dnia poprzedniego podczas ostatniej próby. Uczynił to również główny organizator wyborów Miss Ziemi Łódzkiej'88 — red. Julian Beck z „Expressu Ilustrowanego".

Będąc reżyserem koncertów niewiele mogę powiedzieć na temat obecności osób niepowołanych za kulisami. Istotnie, było ich kilkanaście, o wiele jednak mniej niż przed rokiem. Zresztą, wejście za kulisy zabezpieczali pracownicy Teatru Muzycznego, którzy za tę pracę biorą pieniądze — widać nie wszyscy na nie zasłużyli.

Wszystko, co napisałem powyżej, dotyczy jednakowoż błahostek, teraz poruszę sprawę poważniejszą.

Zofia Kędziora pisze: **„Bez przesady można powiedzieć, że obecną Miss Ziemi Łódzkiej wykreowała projektantka mody Ina Jakubiszyn"**. Zdanie to jest ewidentnym nonsensem wypaczającym całą ideę konkursu piękności. Znam panią Inę Jakubiszyn i jej prace od wielu lat, na koleżeńskiej stopie utrzymuję stosunki z fotografikiem Andrzejem Wrzośniem, cieszę się, że pomogli utalentowanej modelce i fotomodelce, ale — u licha — czego by nie zrobili Bożena Brożyna nie wygrałaby rywalizacji, gdyby nie była... piękną kobietą.

W kolejnych etapach konkursu Miss Polonia ocenia się przede wszystkim urodę i wdzięk, którym pomocne być mogą gracja i elegancja, a dopiero potem: makijaż, fryzura, strój, sposób mówienia, całość prezencji. Potencjalne kandydatki do wyborów Miss Ziemi Łódzkiej'88, po przeczytaniu tekstu (notatki? — bo przecież nie dytyrambu) Zofii Kędziory, będą już teraz szukać sobie „trenerów", którzy przygotują je do przyszłorocznych eliminacji. A przecież nie o to chodzi, bo podczas kilkudniowych prób zapewniamy przed konkursowym pokazem publicznym owo minimum, które pozwala dziewczętom prezentować się w miarę profesjonalnie.

Bożenka była w tym roku w sytuacji dziecka przychodzącego do zerówki z umiejętnością czytania i pisania, a ile z tego powodu przeżyła stresów — lepiej nie pytać. Warto więc, aby autorka wspomnianego tekstu (notatki? — bo przecież nie donosu) zdała sobie sprawę z tego, że pisząc w ten sposób o nowej Miss Ziemi Łódzkiej rzuca fałszywe światło na przebieg konkursu w Teatrze Muzycznym.

KRZYSZTOF DRZEWIECKI

OD REDAKCJI. Trzeba wyjaśnić pewne nieporozumienie. Otóż od dłuższego czasu staramy się nie dublować prasy codziennej. Zakładamy, że nasi Czytelnicy czytają przynajmniej jeden dziennik. Łódzkie dzienniki opisały przebieg wyborów Miss Ziemi Łódzkiej, wymieniły sponsorów i organizatorów. Jaki był sens powtarzania tego? Dlatego Zofia Kędziora skoncentrowała się jedynie na sposobie przygotowania Bożeny Brożyny. Miała do tego prawo. Dlatego nie będziemy polemizowali z Krzysztofem Drzewieckim na ten temat. Każdy ma prawo do innego punktu widzenia, różnej interpretacji i własnego zdania. Oby się tylko pokrywało z faktami.

Cieszymy się, że są u nas jeszcze i takie kłopoty, i takie spory. Przez to życie staje się odrobinę barwniejsze.

REDAKTOR DYŻURNY

MALARZE PRZY UL. MAZURSKIEJ 44

W odpowiedzi na pismo Pana Michała Leśniewskiego wyjaśniam, że tak jak we wszystkich, tak i w V klatce malarze musieli zeskrobać starą łuszczącą się farbę ze ścian i sufitów oraz dokonać szpachlowania. Roboty te były wykonywane przed Wigilią, a po świętach przystąpiono do wykonywania dalszych prac malarskich. Pan Michał Leśniewski nie może mieć pretensji do wykonawcy o to, że te roboty były wykonywane w okresie tuż przed świętami i przed sylwestrem, gdyż wszystkie te dni są dniami pracującymi, a nie wolnymi od pracy.

Prawdopodobnie nie byłoby żadnej skargi, gdyby fakt ten nie zbiegł się z chorobą gospodarza domu i Pan M. Leśniewski nie byłby zmuszony do umycia 3 m kw. posadzki przed swoimi drzwiami.

W notatce jest też stawiany zarzut pracownikom, że nic nie robią, tylko piją wódkę. Do mojego wyjaśnienia dołączam oświadczenia lokatorów ze wszystkich klatek, w tym także z V oraz Komitetu Domowego i inspektora nadzoru stwierdzające, że mimo codziennego kontaktu z malarzami, nie stwierdzili oni faktu, że malarze byli pijani.

Zwracam uwagę na fakt, że Pan Michał Leśniewski jako lokator budynku PGM w takiej sprawie mógł się zwrócić w pierwszej kolejności do dyrekcji PGM, a nie pisać do gazety.

Z kolei „Odgłosy" — jako środek masowego przekazu nie powinien drukować wiadomości nie sprawdzonych.

Kierownik budowy
HENRYK NOWAK

Oświadczenie

My niżej podpisani stwierdzamy, że malarze wykonali roboty malarskie w bloku 15 przy ul. Mazurskiej 44/46 należycie i nie stwierdza się, aby byli widoczni pijani lub tym podobnie.
Łódź, 05.02.1988

Gospodarze Domu:
ALEKSY SZUMIGAJ, JAN SKORUPA

Komitet Domowy:

W czasie prac malarskich nigdy nie widziałem, ażeby pracownicy byli pijani bądź wskazywali na picie alkoholu mimo, że prawie codziennie się spotykaliśmy.

Bednarek, m. 199

Oświadczam, że w trakcie kontroli budowy na ul. Mazurskiej 44/46, nie spotkałem pracowników (malarzy) wykonawcy w stanie nietrzeźwym. Roboty wykonywane są prawidłowo, zgodnie z technologią i warunkami umownymi.

Inspektor nadzoru
STANISŁAW ŁĄGIEWCZYK
(upr. bud. nr 402/66)

OD REDAKCJI. Jest jeszcze trzecie „Oświadczenie" podpisane przez 30 lokatorów bloku przy ul. Mazurskiej 44/46. Przy czym tych 30 lokatorów bardzo nieczytelnie się podpisało. Ale to już ich sprawa. Nie mamy zamiaru wnikać w istotę sporu, kto tu miał rację, a kto nie miał. Tym niemniej, wydaje się nam to wszystko dość dziwne. Malowanie klatek schodowych akurat w Wigilię lub sylwestra, kiedy ludzie szykują się do świętowania, to jakby na to nie patrzeć, trochę w poprzek normalnym obyczajom. Chyba, że trzeba było gwałtownie plan roczny wykonać i wtedy żadne argumenty się nie liczą i każdy termin jest dobry, byle przed 31.12. godziną 24.00.

Kierownikowi budowy Henrykowi Nowakowi chcielibyśmy natomiast zwrócić uwagę, że kolumna: „Polemiki — Listy — Opinie" ma taki charakter, dzięki któremu stwarzamy możliwość wypowiadania się naszym Czytelnikom, ufając, że choć patrzą na otaczającą ich rzeczywistość subiektywnie, to nie nadużywają naszego zaufania i nie piszą nieprawdy. Publikując listy naszych Czytelników nie mamy obowiązku sprawdzania tego, co piszą. Publikujemy listy na ich odpowiedzialność. Dajemy jednak również możliwość innym wyrażenia swego odrębnego zdania lub punktu widzenia, jak to uczyniliśmy w przypadku listu kierownika budowy Henryka Nowaka. Mamy nadzieję, że wszystko, co Henryk Nowak firmuje swoim nazwiskiem i podpisem, jest prawdą.

MAM PYTANIE...

W waszym poczytnym piśmie nr 4(1556) z 23 stycznia 1988 r. w artykule pt. „Widmo erotyzmu i erotomanii" Mirosława Sarbińska porusza stosunek Kościoła katolickiego do seksu. W związku z tym chciałbym przedstawić pewien problem.

Słyszałem, że wokół Watykanu jest pełno kin wyświetlających filmy pornograficzne oraz kioski z wydawnictwami pornograficznymi. Uprzejmie proszę o informację czy koło Kremla jest choć jedno kino z filmami pornograficznymi i czy są tam wydawnictwa pornograficzne?

Mam nadzieję, że „Głasnost" pozwoli wam zamieścić moje pytanie.

Przesyłam najserdeczniejsze pozdrowienia.

J.K.
(Radomsko)

(Imię, nazwisko i adres do wiadomości redakcji).

OD REDAKCJI: Zamieszczamy różne pytania i listy, więc nie widzimy żadnej przeszkody, aby i list J. K. z Radomska zamieścić. Dziwi nas natomiast treść pytania. Nic nam bowiem nie wiadomo, aby wokół Kremla w Moskwie były kioski z pornografią oraz kina pornograficzne. W ogóle nic nam nie wiadomo, aby takie kina i kioski były w ZSRR. Podobnie zresztą wygląda to w przypadku Polski, Bułgarii, CSRS. Inaczej jest już w Jugosławii. Ale co z tego wynika?

Watykan — to nie tylko siedziba papieża, głowy Kościoła rzymskokatolickiego, ale to również państwo. Leży ono na Wzgórzach Watykańskich w zachodniej części Rzymu. Rzym natomiast jest stolicą Włoch. W obu państwach obowiązują różne prawa. We Włoszech sprzedaż pism pornograficznych i wyświetlanie takich filmów nie jest widać teraz zakazane, choć różnie z tym bywało. Jeśli więc takie kina i takie kioski są w Rzymie, to siłą rzeczy muszą one być wokół Watykanu. Ale z tego również nic nie wynika.

Jeśli już precyzuje się jakieś pytanie, to warto przedtem pomyśleć choć przez chwilę. Różnie bowiem kształtowały się kultury i obyczaje różnych krajów. I bezmyślne porównywanie czegokolwiek może dowodzić ignorancji lub... złej woli. Ale w obu przypadkach nie ma się czym chwalić!

INFORMUJEMY O KONKURSIE

XXX ŁÓDZKA WIOSNA POETÓW

Oddział Wojewódzki Stowarzyszenia PAX w Łodzi i Instytut Wydawniczy PAX ogłaszają ogólnopolski konkurs poetycki na wiersze o tematyce religijnej i ogólnej.

W konkursie mogą wziąć udział zarówno poeci zrzeszeni, jak i nie zrzeszeni w związkach twórczych. Organizatorom byłoby niezmiernie miło, gdyby ten jubileuszowy konkurs zaszczycili swoim udziałem wszyscy dotychczasowi laureaci.

Utwory nigdzie dotychczas nie publikowane, opatrzone godłem, w pięciu egzemplarzach maszynopisu, wraz z kopertą zawierającą imię, nazwisko oraz dokładny adres autora, należy nadsyłać do **30 maja 1988 r.** pod adresem: **Oddział Wojewódzki Stowarzyszenia PAX, 90-417 Łódź, ul. Piotrkowska 49.**

Ilość wierszy nadesłanych przez jednego autora nie powinna przekraczać trzech.

Uroczystość wręczenia nagród i wyróżnień odbędzie się **26 czerwca 1988 r. o godz. 11.00** w lokalu Oddziału Stowarzyszenia PAX w Łodzi.

REDAKCJA — CZYTELNICY

DYREKCJA OKRĘGOWA KOLEI PAŃSTWOWYCH — Zarząd Handlowo-Przewozowy WARSZAWA. List przekazaliśmy autorowi artykułu pt. „Kontrolerzy i to, co im leży". Remigiusz Całopałek jest obecnie na urlopie. Po powrocie skontaktuje się z rzecznikiem prasowym DOKP.

RYSZARD KULAKOWSKI, Kielce. Wymaganie w wydawnictwach i — zdziwi się pan — redakcjach maszynopisów nie jest żadnym wymysłem zbiurokratyzowanych redaktorów, ale koniecznością spowodowaną postępem i techniką. Znormalizowany maszynopis pozwala ustalić wielkość arkusza autorskiego (22 strony znormalizowanego maszynopisu), a w redakcjach rozmiar artykułu w metalu. Bez tych ustaleń trudno byłoby łamać gazety i czasopisma.

Redakcja nie może zastrzec sobie, aby jej czytelnicy nadsyłali listy tylko pisane na maszynie. Przyjmujemy listy takie, jakie nam nadsyłają czytelnicy. Ale listy pisane na maszynie, jeśli zostaną zakwalifikowane do druku, to ukazują się szybciej, gdyż ich droga na łamy jest krótsza. Pozostałe muszą zostać przepisane. Z niektórych w ogóle nie możemy skorzystać, gdyż są nieczytelne.

JERZY RYDZIK, Łódź. List Pana jest zupełnie nieczytelny. Prosimy na przyszłość o staranniejsze pismo. Jeśli to możliwe, pożądany byłby maszynopis.

S. LASOCKI, Łódź. Dziękujemy za kopię listu skierowanego do Wydziału Handlu i Usług UMŁ. Sprawa pieczywa, a szczególnie razowego jest niewątpliwie ważna. Często spotykamy się z opinią, że w Łodzi nie ma smacznego pieczywa. A bywa, że w ogóle go brakuje. Cóż jest kilka spraw nierozwiązywalnych, jak na przykład handel pieczywem — nie wspominając samego pieczenia — oraz skup butelek.

REDAKTOR DYŻURNY

Wideonotes

A może do kina?

„KONIEC SEZONU NA LODY" to kolejny film **Sylwestra Szyszki** pełen sensacji i napięcia, wynikającego z próby rozwiązania tajemnicy morderstwa i przemytu dzieł sztuki. Młody milicjant, nie posiadający praktyki w czynnościach dochodzeniowych, mnogość wydarzeń i osób podejrzanych, wszystko to komplikuje tropy by na koniec, zgodnie z regułami gatunku, sprawiedliwości stało się zadość. Dodatkową atrakcją filmu są jego liczne elementy komediowe, które gwarantuje dobra obsada.

W rolach głównych: **Wojciech Pokora, Roman Kłosowski, Ludwik Benoit, Ewa Zientek**, zaś w roli porucznika Szczesnej wystąpiła gościnnie dziennikarka **Anna Frankowska-Teter** z telewizyjnego „Kuriera Warszawskiego".

„BLUE VELVET" — amerykański film w reżyserii **Dawida Lyncha**, twórcy znanego ze skłonności do makabry, szokujących efektów wizualnych, świadomego igrania konwencjami konsekwentnej bliskiej surrealizmowi stylizacji. Bohaterem filmu jest młody chłopak rzucony przypadkowo w świat okrucieństwa i strachu skrywającego się pod pozornym spokojem małego miasta. Ekstremalność i jaskrawość środków służących przeciwstawieniu dobra i zła nadaje filmowi Lyncha charakter pozornie tylko stereotypowych cech — handel narkotykami, korupcja aparatu policyjnego, zbrodnia. Ten osobliwy film przywraca jednak nadużywanym motywom wagę czyniąc je przejawem zła absolutnego.

W rolach głównych występują: **Isabella Rossellini, Kyle Mac Lachlan, Dennis Hopper** i inni.

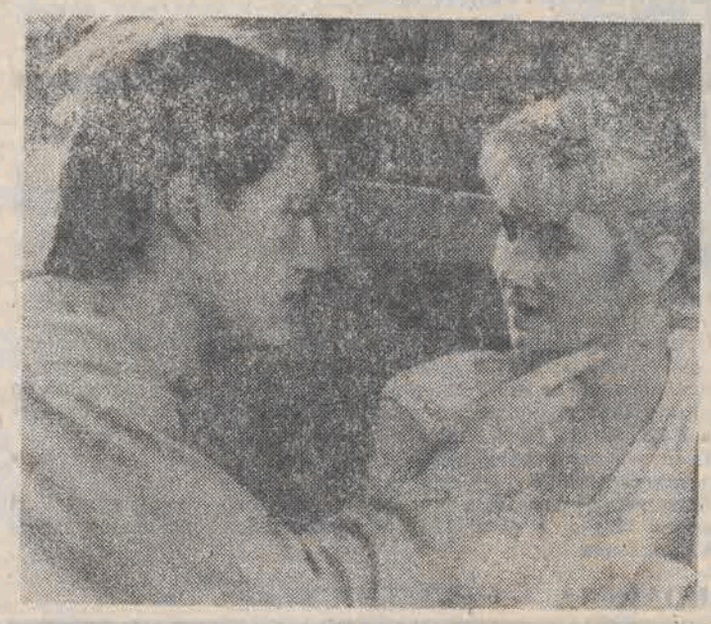

Krótko o wszystkim

✲ W kraju mamy ok. 700 tys. magnetowidów, ok. 3 tys. filmów krąży w tzw. obiegu piracki m; funkcjonują 23 państwowe i ajencyjne wypożyczalnie, 20 wideoklubów, 515 ajentów wideo objazdowego. Istniejące wypożyczalnie dysponują 91 filmami polskimi i 31 zagranicznymi. Nic zatem dziwnego, że problem wideo w Polsce stał się tematem obrad partyjnego zespołu filmowego przy Wydziale Kultury KC PZPR.

✲ **„Złote Taśmy'87"** przyznało Samodzielne Koło Piśmiennictwa Filmowego Stowarzyszenia Filmowców Polskich, za najlepsze filmy kinowe 1987 r. Spośród polskich pozycji, wprowadzonych na ekran w 1987 roku, za najlepszy uznano **„Matkę Królów" Janusza Zaorskiego,** za najlepszy film zagraniczny **„Misję" Rolanda Joffé** (Wielka Brytania), zaś wyróżnienie przyznano filmowi **„Pokuta" Tengiza Abuładze** (ZSRR).

✲ Jak co roku tygodnik **„Film"** przyznał **„Złote Kaczki"** swoich czytelników którzy wybrali najpopularniejszych aktorów 1987 roku i najpopularniejszy film. Aktorami roku zostali „Złote Kaczki" otrzymali: **Katarzyna Figura i Bogusław Linda; Janusza Zaorskiego „Matkę Królów"** uznano za najlepszy film 1987 roku.

Zygmunt Stary i por. Dubek

CZYLI ZDZISŁAW KOZIEŃ PRYWATNIE

Rzeszowie, z którym w dużym stopniu artystyczna kariera **ZDZISŁAWA KOZIENIA** jest związana. Jego przygoda z teatrem, rozpoczęta jeszcze w trakcie działań wojennych na deskach sceny amatorskiej, przedłużyła się na okres powojenny, poprzez współpracę z Teatrem Kolejarza w Krakowie, gdzie przebywał w latach 1948—1952.

W r. 1953, złożywszy eksternistyczny egzamin aktorski, związał się z rzeszowską sceną na 19 lat, tworząc tu wiele ról i niezapomnianych kreacji. Był Cześnikiem w **„Zemście"** Majorem w **„Fantazym"**, Wojewodą w **„Mazepie"**, Czepcem w **„Weselu"**, Petchumem w **„Operze za trzy grosze"**. Grał w przedstawieniach długo pamiętanych w opinii widzów w prasowych relacjach. Wystawiony na rzeszowskiej scenie spektakl **„Wojna i pokój"** na pewno był ewenementem.

Znany jest bywalcom teatrów wrocławskich; lata 1972—1983 stanowiły niezwykle twórczy okres jego pracy artystycznej na scenach Wrocławia. Współpracując z wybitnymi reżyserami, m.in. z **Kazimierzem Braunem, Jerzym Grzegorzewskim, z Tadeuszem Mincem**, stworzył tam wiele ról, o których głośno było w ówczesnej prasie. I znowu powrócił na scenę rzeszowską, gdzie pozostaje do roku 1983. Oprócz **„Emigrantów"** zagrał w **„Turoniu"**, **„Rewolwerze"** Freary w adaptacji scenicznej powieści **Wiesława Myśliwskiego „Kamień na kamieniu"**, a ostatnio w **„Moralności pani Dulskiej"**.

W r. 1953 występował w „Moralności..." w roli Zbyszka, **teraz jest poczciwym Felicjanem.**

Wiesław Myśliwski, który oglądał tu swą przeadaptowaną powieść, wysoko ocenił przedstawienie „Kamienia na kamieniu". Zdzisław Kozień przygotowuje obecnie w oparciu o ten tekst, monodram, na który czekamy z ciekawością.

— Zdzisławie — pytam — czy lubi pan wszystkie swoje role?

— Raczej tak. Ale bywały i takie, których wręcz nie cierpiałem. No chociażby gdy ubrano mnie w strój francuskiego fircyka, w zalotną peruczkę na balowy wieczór w **„Skizie"**. Również nieporozumieniem wydawała mi się moja rola w **„Rewolwerze"**. Nie miałem z tego żadnego zadowolenia.

• •

Gdy niedawno zaniemogłam w przeddzień autorskiego spotkania Zdzisława Kozienia, które miałam prowadzić w Rzeszowie, przekonana byłam że imprezę odwołano. Dowiedziawszy się, że prowdziła je ze swadą i temperamentem jakaś młoda dama, niezwykle efektownie ubrana, znająca w dodatku znakomicie nie tylko fakty, ale i rozmaite anegdoty z życia artysty, spytałam go z zaciekawieniem kto zacz to był?

— Jak to kto? Moja żona Monika!

Do jubileuszu 35-lecia aktor przychodzi z dorobkiem, za który otrzymał dwie „Złote Iglice" dla najpopularniejszego aktora Wrocławia, był laureatem nagród aktorskich na festiwalach w Kaliszu, Toruniu, Wrocławiu, dostał nagrodę twórczą wojewody wrocławskiego, cztery nagrody twórcze wojewody rzeszowskiego, zdobył Złotą Podkowę dla najlepszego aktora w Rzeszowie w r. 1980 — wszystko to wyeksponowano na okolicznościowej fotowystawie w hallu teatru. Tłumnie zgromadzona publiczność nagrodziła swego ulubieńca mnóstwem kwiatów, śpiewała mu 100 lat. Wojewoda rzeszowski Henryk Ficek przesłał list gratulacyjny, z całego kraju nadeszły depesze...

CECYLIA BŁOŃSKA

Zdzisław Kozień i Wiesław Myśliwski
Foto: Jerzy Paszkowski

Prywatne wideokina

Sytuacja paradoksalna — państwowe przedsiębiorstwo o miliardowych obrotach, musi rezygnować na wiele tygodni ze swego wideokina (casus „Muzy"), z którego włamywacz wyniósł majątek, bo zdobycie magnetowidu urasta do rangi problemu. Jednocześnie na obszarze działania tego przedsiębiorstwa znajduje się szacunkowo 70—90 tys. prywatnych odtwarzaczy!

Pierwsi właściciele wideo już w 1984 r. ubiegali się o uzyskanie koncesji na upowszechnianie filmów. Względy proceduralne zaważyły, że pierwsze licencje wydano dopiero w marcu 1986 r. Obecnie działa w regionie 20 prywatnych wideokin w 5 województwach. Dwóch zapaleńców załatwia formalności. Kandydatów znalazłoby się multum, ale OPRF ma za mało kaset.

Przebrnęli przez machinę biurokratyczną. Po podpisaniu wstępnej umowy z przedsiębiorstwem, musieli uzyskać zgodę z Wydziału Kultury i Sztuki odpowiedniego UW, co stanowi podstawę do podpisania właściwego porozumienia i skierowania przez OPRF do przeszkolenia w zakresie prowadzenia... księgowości.

Dowiedzieli się, że teoretycznie mogą działać na terenie całego macierzystego województwa, ale muszą uwzględniać gminy, do których kino objazdowe docierało rzadko. Po dogadaniu się z kolegami, co do stref wpływów, pobraniu kaset (na 2 tygodnie) w rodzaju „Pana Wołodyjowskiego" i „Mistrzyni Wu Dang" — mogli zacząć udzielać się w kulturze.

Wśród tej dwudziestki wybrańców losu, jeden prowadzi stale pokazy w zamkniętym do niedawna kinie w **Czerwińsku.** Także w **Płockiem** drugi urządził stałe wideokino **w wyszogrodzkim domu kultury.** W pozostałych województwach istnieją tylko ruchome.

Ajenci sprzedają bilety po cenach urzędowych; 60 proc. zostawiają sobie na życie, benzynę, amortyzację sprzętu i na podatki. Umowa określa, że muszą oddać 40 proc. co miesiąc do kasy OPRF, ale nie mniej niż 150 tys. zł kwartalnie. Są to warunki trudne, biorąc pod uwagę ascetyczny repertuar. Widownia w terenie chłonna. Nawet z mało efektownymi pokazami w szkołach i remizach — dziś jeszcze stosunkowo łatwo o frekwencję.

Pokusa przyciągnięcia jeszcze więcej widzów bywa silna. Ajent z **Piotrkowa** ogłosił się na plakacie w remizie, że przedstawi Bonda. Lojalna pracowniczka OPRF poinformowała o tym swoich pouczonych. Wpadli kontrolerzy... Właściciel interesu dostał ostrzeżenie, że wideopiractwo kończy się odebraniem licencji. Wycofał się z branży twierdząc, że pokazując „rewelacje" z państwowej wypożyczalni, narażałby się na straty. Drugą koncesję cofnął OPRF motywując to tym, że ajent nie rozliczał się z wpływów w określonym terminie, co jest równoznaczne z przepadkiem 50 tys. kaucji.

W ubiegłym roku wpływy z prywatnych wideokin łódzkiego OPRF wyniosły 4,6 mln zł; z 2 państwowych **w Płocku** i **w Łodzi** oraz z 1 wypożyczalni kaset — 1,4 mln zł. Wszystko to razem stanowi promille obrotów przedsiębiorstwa. Na razie.

Przynajmniej do kwietnia nie pojawią się nowe kasety ani filmy w rewelacyjnych ilościach. PDF najpierw kazał pisać zapotrzebowanie ilościowe „w rozbiciu" na gatunki, ale w tej chwili nie ma nawet pod dostatkiem rodzimych hitów. Cóż to jest bowiem 6—12 kopii? Na wiosnę coś się ruszy, bo **WFD w Warszawie** obiecuje zasypać rynek przekopiowanymi u siebie kasetami.

WŁODZIMIERZ KUPISZ

Najprawdopodobniej Pam Gerns nie jest feministką, ponieważ jej sztuka pt. „Dusia, Ryba, Wal i Leta" raczej odradza potencjalnym adeptkom feministycznych ruchawek ten sposób pozbywania się energii.

To już prędzej chęć wypłakania się w ramionach mężczyzny, ale i strach przed ręką, która może uderzyć w policzek.

Mimo że uczestniczyłem w rozmyślaniach bohaterek tylko jako widz — za co Bogu dziękuję — to jednak postanowiłem wziąć na pierś kubeł argumentów, które wylewały się z ich ust.

Bo oto ujrzałem cztery bezradne, zagubione i klnące na świat dziewuszki, które bezskutecznie próbują odzyskać utraconą równowagę.

A że na tym świecie tak się porobiło, że czasem nie sposób odnaleźć się z drugą osobą, te osoby pozbawione minimum elastyczności w uczuciach wychodzą na tym nie najlepiej.

Dusia, Ryba, Wal i Leta tej elastyczności nie posiadają, ale nie wiem, czy ich rozterki wynikają wyłącznie z poczucia krzywdy, czy też złości, że zrezygnowały z siebie, lecz je odtrącono.

TV

Cierpienia młodej Werterówny

Przypuszczam, że aktorki, które wystąpiły w tym przedstawieniu, nie miały większego przekonania do odtwarzanych postaci, ale jeśli już podjęły się tej roboty, to powinny były przynajmniej mnie do nich przekonać.

Tak się nie stało.

Za co chyba ich jednak winić nie można, bo może rozterki miłosne Pam Gerns, która przelała je na Bogu ducha winne Dusię, Rybę, Wal i Letę, są im obce.

Przyznać zaś muszę, że patrzyło mi się na nie przyjemnie, zwłaszcza na Adriannę Biedrzyńską, która z Dusi usiłowała zrobić kotkę i prawie jej się to udało.

Trochę zdumiało mnie (ale tak prawdę mówiąc to mnie nie zdumiało), że nic ciepła, pokory i łagodności nie ma w bohaterkach, ale że są to rozmiotane i z legendą nieszczęśliwie zakochanych zwierzątka.

Na pewno stan ich ducha jest dla mnie niejasny, ale cóż ja na to poradzę, że trzeba mi wiary, iż kobieta to światło, do którego w ciemnościach podąża mężczyzna, by potem ogrzać się w jej blasku i trochę już pewniej przemykać przez życie.

Tymczasem wystrój wnętrz bohaterek odpowiada współczesnym realiom — to znaczy resztki, a właściwie brak damy i zmężczyźniały dryl: „języki obce" plus alkohol.

Nie wiem, czy autorka sztuki czerpała natchnienie ze swoich doświadczeń, bo te cztery postaci nie wychodzą poza klasyczne wzorce, ale może to stąd, że w miłości istnieją tylko klasyczne wzorce.

Komercyjny aspekt przedsięwzięcia jest dość widoczny, ale jeśli już o tym mowa, to brakowało mi w sztuce pointy, która, jak sądzę, zapobiegłaby tragedii i przywróciła zdrowie psychiczne Dusi, Rybie, Wal i Lecie — czterech należycie wyekwipowanych i świadomych swej misji hedonistów.

TOMASZ KUBIK

Kariera i upadek Ławrentija Pawłowicza Berii

SERGO MIKOJAN

Po co przywoływać widma przeszłości? Po co ruszać przeszłość? Odpowiedź jest jednoznaczna — przeszłość należy znać. Również dlatego, by przyszłość stała się ostatecznie wolna od przeszłości.

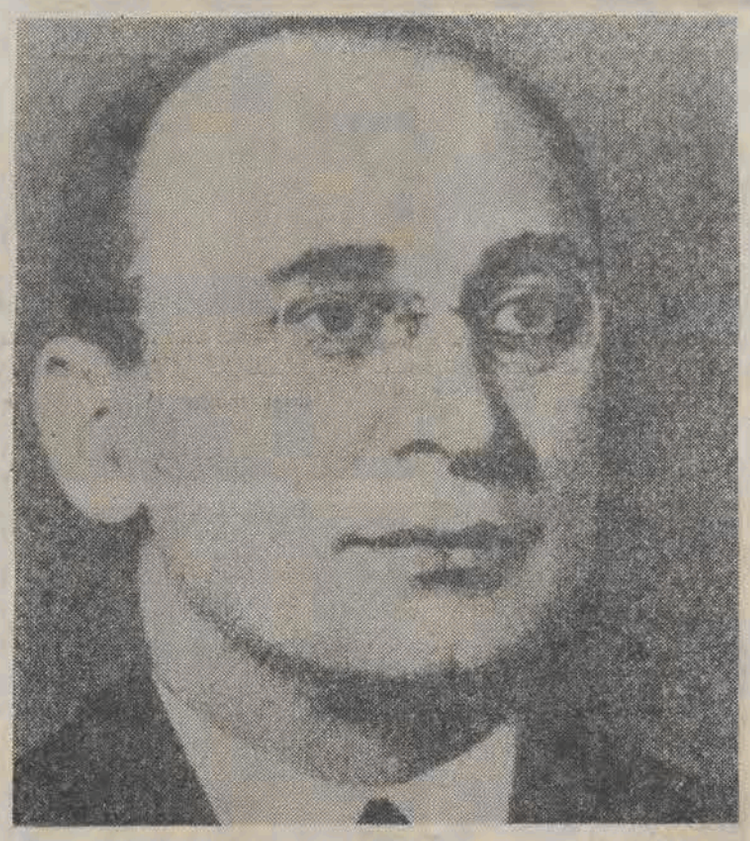

„KOMSOMOLSKAJA PRAWDA" opublikowała artykuł pt. „Sługa", którego autorem jest Sergo Mikojan (syn Anastasa Mikojana), doktor nauk historycznych. Artykuł ma podtytuł: *„Panował on nad losami wielu, poprzez strach wymuszał uległość. Ale nie szacunek. Po latach sąd pamięci ludowej wydał na Berię swój wyrok"*. Publikację poprzedza

Komentarz A. Afanasjewa

„Nie warto byłoby powracać do tej postaci, gdyby kierowało nami niecierpliwe pragnienie, by zdemaskować jeszcze raz zdemaskowane już dawno zło. Nasz cel jest inny — spróbować zbadać mechanizm, jaki kształtował się stopniowo, oraz rolę, jaką odgrywały w nim jednostki typu Ławrentija Berii. Nie wszystko w tym jest oczywiste. Kat? Instrument samowoli i zastraszenia? To wszystko prawda. Ale innych zmieniano bez wysiłku jak rękawiczki. Ten zaś utrzymał się przez całych 15 lat... W jaki sposób powstawały mity o „niewiedzy", o „nie wiadomo skąd" biorących się złoczyńcach (Nikołaj Jeżow), o rzekomym przywróceniu sprawiedliwości i triumfie praworządności (1938 rok), o „świadomej" działalności i „talencie organizatorskim" przestępców (Ławrentij Beria podczas wojny)? Z czego składał się mechanizm zamieniania czarnego w białe i białego w czarne — niewinnych ludzi w „potworów", katów w dobroczyńców (Beria w roku 1938 i 1953), przyszłych ofiar we wspólników, a nawet współuczestników przestępstw? W jaki sposób była realizowana w praktyce idea „rozszerzonego współudziału", kiedy usiłowano nie tylko usunąć przeciwników, ale również wciągnąć, napiętnować i zaszargać setki i tysiące postronnych, by winnymi dziś (i jutro) czuli się wszyscy?

Niezmywalne bezduszne piętna historia zmywa. I nadchodzi czas, kiedy piętna też winny być przywrócone właściwym ludziom. Należy je przykleić tym, których kłamliwy umysł piętna te wymyślił. Wówczas wszystko wróci na swoje miejsce. Nie zwykły przestępca, lecz szkodnik. Nie zwykły złoczyńca, lecz wróg ludu. Wśród prawdziwych wrogów ludu w pierwszym szeregu jest on, Ławrentij Beria. To jest jego rzeczywista rola...

Będziemy musieli odtworzyć całą prawdę właśnie o tych prawdziwych szkodnikach i wrogach ludu, podobnie jak o ich ofiarach i przeciwnikach. Ważne są dokumenty. Nie mniej ważne są również świadectwa naocznych świadków, uczestników wydarzeń, tych, którzy już odeszli i którzy jeszcze żyją. Zabarwione osobistym stosunkiem i nie pretendujące do miana prawdy ostatecznej, niemniej jednak zawierają one w sobie informację, którą trudno przecenić..."

Sergo Anastasowicz Mikojan prezentuje

— *Najcenniejszy nasz kapitał to kadry. Uwzględnij to, Ławrentij...* — taka smutna anegdota pojawiła się w drugiej połowie lat pięćdziesiątych, kiedy na XX Zjeździe KPZR powiedziano surową prawdę o bezprawiu *„okresu kultu jednostki"* — jak w tamtym okresie nazywano lata autorytatywnego rządzenia. Pierwsze zdanie wymawiano z patosem, jakby z trybuny do sali, zaś drugie półgłosem, jakby do kogoś, kto znajdował się obok. Istotnie, on Ławrentij Beria, łysawy, niewysoki człowiek w binoklach, był zawsze w pobliżu. Zawsze, od tamtej pory, gdy na początku lat trzydziestych potrafił zademonstrować swoje osobiste oddanie i gotowość wykonania dowolnego polecenia, niezależnie od tego, jak byłoby ono delikatne. Wszystko, co opowiadam tutaj, wiem od ojca i innych uczestników oraz naocznych świadków wydarzeń.

Ławrentij Pawłowicz Ber'a stał na czele GPU (Gławnoje Politiczeskoje Uprawlienije) Gruzji. Gruzja wraz z Azerbejdżanem i Armenią wchodziła wówczas w skład Federacji Zakaukaskiej. Józef Stalin przyjechał w 1913 roku na wypoczynek do Cchatubo. Tam też pośpieszył i Ławrentij Beria, formalnie żeby zapewnić bezpieczeństwo, zaś w rzeczywistości, by wzbudzić zaufanie i w ten sposób zrobić karierę. Beria pozostawał w Cchatubo do samego odjazdu Stalina. Zrozumieli się nawzajem bardzo dobrze, choć wcześniej nigdy się nie widzieli. Tak dobrze, iż bezpośrednio z Cchatubo zostało przekazane do Moskwy polecenie przygotowania rozpatrzenia w KC WKP(b) — poza wszelkim planem — sprawozdań kierownictwa partyjnego i administracyjnego Zakaukaskiego Komitetu Krajowego. Nikt nie mógł zrozumieć dlaczego. W związku z czym? Nawet sekretarz KC WKP(b) Łazar Kaganowicz, jak wszystko wskazywało, nie miał żadnych informacji oprócz lakonicznego tekstu telegramu z Cchatubo.

Samo posiedzenie zaczęło się bez jakiegokolwiek przygotowania. Prowadził je Łazar Kaganowicz-Kartweliszwili (pierwszy sekretarz Zakaukaskiego Komitetu Krajowego), Jakowlew (drugi sekretarz), Orachełaszwili (przewodniczący Rady Komisarzy Ludowych Federacji), jak też inni działacze — Buniat-Zade, Diewdariani, Chandżjan, Połonskij, Ter-Gabrielian, Musabiekow, Dogadow, którzy przyjechali do Moskwy — byli zaskoczeni.

Koronacja i sprzeciw

Jak wspomina uczestnik posiedzenia, członek partii od 1917 roku, A. Sniegow, wówczas kierownik wydziału organizacyjnego Zakaukaskiego Komitetu Krajowego, wszyscy zwrócili uwagę na nieobecność Sergo Ordżonikidze.

„Odczekawszy na dogodny moment — pisze w swoich wspomnieniach A. Sniegow — *zapytałem siedzącego obok Anastaza Mikojana:* — Dlaczego nie ma Sergo? — *Ten odpowiedział mi na ucho:* — A z jakiego tytułu Sergo ma brać udział w koronacji Berii? On go doskonale zna. — *Oto jak się sprawy mają! W ten sposób, jako pierwszy spośród tych, którzy przyjechali, dowiedziałem się, co nas czeka".*

Samo posiedzenie było typowe, omawiano różne problemy. Rzecz najważniejszą Józef Stalin powiedział na koniec swojego wystąpienia, praktycznie już po jego zakończeniu. Nabijając tytoniem fajkę, która potem stała się powszechnie znana, nieoczekiwanie powiedział:

— *A gdybyśmy tak sformowali nowe kierownictwo Komitetu Krajowego — pierwszy sekretarz Kartweliszwili, a drugi sekretarz Beria?*

Kartweliszwili zareagował od razu i po kaukasku emocjonalnie:

— *Ja z tym szarlatanem pracować nie będę.*

Orachełaszwili zapytał:

— *Co ty powiedziałeś, Koba, być może się przesłyszałem?*

— *Nie możemy przywieźć takiej niespodzianki organizacji partyjnej* — rzucił Ter-Gabrielian.

Nikt nie poparł propozycji. Wówczas „demokratyczna dyskusja" została błyskawicznie zamknięta. Józef Stalin powiedział z gniewem:

— *No cóż, znaczy się, będziemy rozwiązywać sprawę w trybie roboczym.*

W ciągu kilku miesięcy kierownictwo kraju zostało przetasowane. Kartweliszwili został skierowany do Ejche, do zachodniosyberyjskiego Komitetu Krajowego. Jakowlewa zrobiono szefem przedsiębiorstwa „Wostokzołoto", a Dogadowa posłano na Ural. Pierwszym sekretarzem Zakaukaskiego Komitetu Krajowego został Mamija Orachełaszwili, a drugim, oczywiście Ławrentij Beria. Nie na długo jednak, bo wkrótce Mamije Orachełaszwilego wezwano do Moskwy i mianowano zastępcą dyrektora Instytutu Marksa-Engelsa-Lenina. No a pierwszym sekretarzem został Ławrentij Beria. Po reorganizacji Federacji Zakaukaskiej został on pierwszym sekretarzem KC KP Gruzji. Później jeszcze ostrzejszy i jeszcze bardziej jednoznaczny zwrot.

„W dwa miesiące po tym w 32 rejonach Gruzji pojawili się nowi pierwsi sekretarze komitetów rejonowych — opowiada A. Sniegow. — *Do tej pory zajmowali oni stanowiska naczelników rejonowych wydziałów NKWD. Wydaje mi się, iż było to bardzo charakterystyczne. Nie mniej charakterystyczne, niż fakt, iż nikt z tych, którzy zostali wezwani do Moskwy, nie umarł śmiercią naturalną. Ja jeden przeżyłem po 18 latach spędzonych w obozach..."*

Próby stworzenia różowej legendy

Wkrótce Ławrentij Beria został również „historykiem". Ukazała się książka: „Problem historii organizacji bolszewickich Zakaukazia". Tekst został sporządzony przez historyków gruzińskich jako referat, który Ławrentij Beria odczytał na posiedzeniu aktywu. Rozumie się samo przez się, że autorzy zostali wkrótce rozstrzelani, zaś książka wyszła bez przeszkód z druku z nazwiskiem Ł. P. Ber'i. Postarał się on oczywiście, ze wszech sił, by „pokazać" rolę Józefa Stalina.

Świetłana Allilujewa w swojej pierwszej książce o ojcu Józefie Stalinie, która ukazała się za granicą, usiłowała stworzyć *„różową legendę"*, zgodnie z którą Ławrentij Beria, ten *„zły duch"*, okłamywał i wyprowadzał w pole Stalina, wykorzystując jego zaufanie. Nawiasem mówiąc, taka legenda krążyła jeszcze przed Berią w związku ze złowieszczą postacią Nikołaja Jeżowa. W związku z tym ówże A. Sniegow, który aż do swojego aresztowania zajmował wysokie stanowiska w partii, pisał:

„Trzeba nie znać ówczesnej sytuacji w KC i stopnia koncentracji władzy w rękach Stalina, kiedy członkowie Biura Politycznego nie mieli prawa bronić swoich zastępców, bojowych przyjaciół, o których wierności byli przekonani, swoich żon, a nawet dzieci; trzeba nie znać Stalina, żeby — nie postępując wbrew własnemu sumieniu — poważnie zwalać na Jeżowa odpowiedzialność za wyeliminowanie wielu członków KC, delegatów na XVII Zjazd partii, sekretarzy KC i członków Biura Politycznego".

Jaki to był mechanizm?

Prawda jest dość prosta — przed Ławrentijem Berią grali już jego rolę kolejno Henryk Jagoda i Nikołaj Jeżow, ale manipulował tymi marionetkami niezmiennie ten sam człowiek. Po Berii i równolegle z nim byli Mierkułow, Abakumow i wielu innych podręcznych mniejszego kalibru. Bez zrozumienia tego nie sposób zorientować się w wielu paradoksach. Dlaczego, powiedzmy, w 1938 roku Ławrentij Beria, zastąpiwszy Nikołaja Jeżowa na stanowisku ludowego komisarza spraw wewnętrznych, postawił na posiedzeniu Biura Politycznego KC WKP(b) oszałamiający problem, sformułowany mniej więcej tak:

— *Być może pora już mniej sadzać za kratki, bo wkrótce w ogóle nie będzie kogo sadzać?*

Ludzie starszego pokolenia pamiętają pewne zanikanie fali aresztowań. Niektórych zaczęto nawet wypuszczać. Przyniosło to Berii pewne poparcie ze strony tych, którzy pozostając formalnie w składzie kierownictwa, nie mogli nawet palcem kiwnąć, żeby powstrzymać uruchomioną machinę represji. Jakże Ławrentij Beria odważył się wypowiedzieć w podobny sposób? Przyczyna jest oczywista — trzeba było dla osłabienia napięcia wypuścić trochę pary z kotła, powiedzieć coś o *„przegięciach"*, zwalić winę na kogoś (w danym przypadku na Nikołaja Jeżowa). A potem? A potem spokojnie kontynuować robienie „potrzebnej" sprawy.

Ławrentij Beria nie gardził osobistym udziałem w przesłuchaniach. W swoim własnym gabinecie w Tbilisi, zgodnie ze świadectwami współczesnych, własnoręcznie zastrzelił pierwszego sekretarza KC KP Armenii, Chandżjana. Bezlitośnie rozprawiał się nie tylko z tymi, którzy długo pracowali z Józefem Stalinem i znali jego cenę, ale również z tymi, którzy mniej lub więcej znali jego, Ławrentija Berię, przed bezprecedensowym pójściem w górę. Dlatego właśnie Komunistyczna Partia Gruzji ucierpiała z pewnością więcej niż partie komunistyczne sąsiednich republik.

Jaki to był człowiek?

Wyróżniał się Beria chytrością, sprytem i umiejętnością wmawiania „gospodarzowi", że jest i jeszcze długo będzie niezastąpiony i przez długie jeszcze lata będzie pożyteczny. I pozostawał pożyteczny. Do cech Ławrentija Berii należą również pewne zdolności organizatorskie. Podczas wojny pomogło mu to wykazać się nie tylko w NKWD, ale i w sprawach dotyczących obrony. Prawdą jest, że pomagało mu również i to, że swobodnie dysponował ogromną siłą roboczą skupioną w obozach. Ponadto samo tylko powołanie się typu: *„Beria polecił..."* — działało w sposób absolutnie niezawodny.

Równocześnie jednak starał się nie osłabiać swojego nadzoru nad pracą nowego ludowego komisarza spraw wewnętrznych Mierkułowa. Było to dla niego dozwolone. Jeśli, rzecz oczywista, nie stawało w sprzeczności z główną zasadą „kultu jednostki": aparat represyjny winien być bezpośrednio podporządkowany pierwszemu człowiekowi i kontrolowany tylko przez niego. O losie ludzi mających Józefowi Stalinowi mógł w ogóle decydować tylko on sam i nikt więcej. I żaden Beria nie mógł tu nic zrobić.

Ławrentij Beria, na przykład, nienawidził akademika P. Kapicę. Powołując się na to, iż Kapica nie zajmuje się problemem rozszczepienia atomu, a skoncentrował się na najnowszej, prostej i taniej metodzie produkcji tlenu (co, nawiasem mówiąc, było nadzwyczaj ważne dla całego przemysłu), Beria potrafił doprowadzić do zdjęcia go ze stanowiska dyrektora Instytutu Problemów Fizycznych Akademii Nauk ZSRR, a następnie również naczelnika „Gławkisłoroda" P. Kapica był zmuszony do utworzenia niewielkiego laboratorium w swojej daczy i do mieszkania tam bez prawa wyjazdu. Jednak zgody na aresztowanie go Ławrentij Beria nie otrzymał mimo wszystko od Józefa Stalina, a więc nie mógł go nawet palcem ruszyć.

Zagrożenie

Ludzie wiedzący zbyt wiele są zwykle niewygodni. Talent Ławrentija Berii polegał jeszcze i na czym innym. Przez stosunkowo długi czas nie dopuszczał do tego, by u Józefa Stalina zrodziła się podejrzliwość w stosunku do niego, Berii. Mimo wszystko jednak nadchodziła jego godzina...

Minister bezpieczeństwa państwowego Abakumow otrzymał na początku lat pięćdziesiątych polecenie dokonania aresztowań najbliższych współpracowników Berii, jak na przykład ministra bezpieczeństwa państwowego Białorusi Canawa i niektórych innych. Rodziła się tak zwana *„sprawa mingrelska"* (wielu swoich współpracowników Beria wybierał spośród swoich ziomków). Kiedy Józefowi Stalinowi referowano postępowanie sprawy, wypowiadał on komentarz:

— *Szukajcie Wielkiego Mingrela.*

Najprawdopodobniej doszedł on do wniosku, że również Abakumow „wiele wie", a być może jest jeszcze do tego nazbyt powiązany z Berią i w rezultacie nastąpiła zmiana na stanowisku ministra.

Ale w tym właśnie momencie, w 1952 roku uwagę jego przyciągnęła pilniejsza i efektywniejsza *„sprawa lekarzy-trucicieli"*. Nowy minister, były działacz partyjny Ignatiew okazał się człowiekiem naiwnym. Nie znajdował dowodów przeciwko grupie aresztowanych lekarzy o najwyższych kwalifikacjach, w ogóle żadnych danych o ich szkodliwej działalności oprócz listu niejakiej Lidii Timaszczuk, która pracowała w zarządzie leczniczo-sanatoryjnym Kremla. I żaden z lekarzy nie przyznaje się do winy — raportował on Józefowi Stalinowi w obecności kilku członków Biura Politycznego KC KPZR (regularne posiedzenia Biura Politycznego nie odbywały się. Ci, których zapraszano do Stalina na daczę, na kolację, uczestniczyli tym samym również w jego posiedzeniach). W odpowiedzi usłyszał, że jeśli nie znajdzie dowodów, a oni nie przyznają się, to znajdzie się tam, gdzie i oni... Nastąpiły *„przyznania się"*, a dowody były fabrykowane przez funkcjonariuszy śledczych, mniej naiwnych i bardziej doświadczonych w takich sprawach niż ich nowy minister.

Pierwsze dni marca 1953 roku. Noc. Józef Stalin, który miał podniesione ciśnienie krwi, idzie do łaźni. Pozostawiają go samego w pokoju, gdzie na otomanie przygotowana jest pościel. Nie wstawał on przed dwunastą, a nawet pierwszą w południe i nikt nie miał prawa zajść do niego bez wezwania. Godzina druga, trzecia, czwarta, piąta. Zaniepokojeni pracownicy ochrony nie wiedzą, co mają robić. Przywołują wreszcie kucharkę, prostą kobietę rosyjską, w podeszłym wieku, która dawno już pracuje u „gospodarza" (być może jedna z nielicznych osób, którym on na razie jeszcze ufa). Ta stuka do drzwi. Nie ma odpowiedzi. Stuka coraz mocniej. W końcu decyduje się na wyważenie drzwi. Na podłodze, niedaleko otomany leży „gospodarz". Najmocniejsza apopleksja, zupełny paraliż, w tym również mowy. Patrzy jedynie ze wściekłością na otaczających go ludzi, na przybywających lekarzy (już nowych). Na członków Biura Politycznego KC KPZR, którzy zawiadomieni przez Gieorgija Malenkowa przyjeżdżają na daczę. Mijają trzy-cztery dni.

Kończy się epoka

Ławrentij Beria nie rozumie tego na razie. Najwyraźniej nie jest zmartwiony. Według jego rachub, wszystko układa się tak, że lepiej nie może. Oficjalny „następca" Gieorgij Malenkow — przecież to on wygłaszał dopiero co referat sprawozdawczy na XIX zjeździe pod koniec 1952 roku — jest człowiekiem słabym i znajduje się pod jego wpływem. Obecnie on, Ławrentij Beria, nie tylko nie musi się bać Józefa Stalina, obecnie on sam stanie u steru całego kraju.

Euforia Ławrentija Berii, człowieka bezczelnego, nie uważającego za stosowne ukrywać swoich uczuć, staje się zauważalna dla syna Józefa Stalina, Wasilija. Za tego to przyczyną rodzi się legenda, iż jego ojca „zaleczono" na śmierć, a być może nawet otruto. Legendę tę zacznie później „uzasadniać" znany za granicą sowietolog Awtorchanow, wtórując Wasilijowi, który bardzo chciał, żeby jego ojcu wróciła bodaj mowa, bo wówczas ojciec byłby w stanie wydać rozkaz rozstrzelania wszystkich członków Biura Politycznego KC KPZR, którzy mieli czelność przeżyć go.

Tymczasem Ławrentij Beria „zbiera punkty". Wspomniawszy prawdopodobnie 1938 rok, rewiduje on „sprawę lekarzy". Od razu po śmierci „gospodarza" lekarze zostają zrehabilitowani i zwolnieni, zaś kilku funkcjonariuszy śledczych na czele z Riuminem zostaje skazanych na rozstrzelanie. Z funkcjonariuszy śledczych nie tylko robi się „kozłów ofiarnych". Poprzez zupełnie zasłużoną karę, jaka ich dosięgła, trzeba pokazać wszystkim, że czasy zmieniają się na lepsze i to dzięki Berii.

Śmiertelny błąd Ławrentija Berii

Czasy rzeczywiście zmieniają się, jednakże temu człowiekowi, wychowanemu na intrygach i przestępstwach, nie dane było zorientować się, w jakim kierunku. Zgodnie z jego wyobrażeniami, partia już dawno została zdeptana moralnie przez aparat represji i nigdy nie będzie w stanie przywrócić swojej roli w społeczeństwie. Nie jest ona w stanie wyjaśnić, iż jego rachuby, kto jest co wart, same są niewiele warte, bowiem oparte są jedynie na znajomości mechanizmów *„pałacowych przewrotów"* nie zaś praw rozwoju społeczeństwa socjalistycznego. Społeczeństwo to odrzuci jego samego oraz jego aparat — brutalną machinę, która tworzyła się dwa dziesiątki lat.

I oto latem 1953 roku w trakcie jednego z posiedzeń Biura Politycznego KC KPZR (przemianowanego przed śmiercią Stalina na Prezydium) na Kreml wezwano grupę marszałków i generałów Armii Radzieckiej. Otrzymali polecenie aresztowania Ławrentija Berii i przetransportowania go do sztabu garnizonu moskiewskiego.

Rozprawa sądowa nad Ławrentijem Berią odbyła się szybko. Być może zbyt szybko. Należało, jak się wydaje, zmusić go, by opowiedział o wielu sprawach, co ułatwiłoby pracę dzisiejszych historyków. Należało, jak się wydaje, rozeznać się dokładnie, zanim zaliczono go do czyichkolwiek „agentów" — jak to zrobiono na gorąco. Nawet jeśli jego działalność jako agenta wywiadu musawatijskiego w 1919 roku w Baku nie była w rzeczywistości realizacją zadania partyjnego, co Ławrentij Beria usiłował twierdzić.

Historia wysoko ocenia znaczenie XX Zjazdu KPZR. Przywódcy KPZR na czele z N. Chruszczowem położyli kres tym ohydnym zjawiskom, które na długi okres zdeformowały oblicze naszego społeczeństwa i doprowadziły do nieuzasadnionych ofiar. Obecnie idzie o stworzenie prawdziwej i obiektywnej historii partii i społeczeństwa radzieckiego. Na przedostatnim plenum KC KPZR podkreślano, iż problem polega na tym, by napisać prawdziwą i pełną historię, która byłaby historią życia i walki narodu. Ze wszystkimi zwycięstwami i porażkami, ze wszystkim co jasne i co tragiczne. Z rewolucyjnym entuzjazmem mas i z naruszeniami socjalistycznej praworządności, a niekiedy również przestępstwami...

Niekiedy stawia się pytanie: po co przywoływać widma przeszłości, po co ruszać przeszłość? Odpowiedź jest jednoznaczna — przeszłość należy znać. W tym również dlatego, by przyszłość stała się ostatecznie wolna od przeszłości.

Opracował: JÓZEF RZESZUT (PAP)

Masz temat dla reportera? Cos cię drażni, niepokoi, szlag cię trafia — podnieś słuchawkę i wykręć numer 36-77-70

Na twój telefon czekają redaktorzy:

10 marca — BOGDA MADEJ — godz. 10—16

17 marca — EUGENIUSZ IWANICKI — godz. 10—16

Po ukazaniu się numeru jubileuszowego „Odgłosów" zaczęło się nowe życie, szare i niezbyt wesołe. Najpierw zadzwoniła pani W. (nazwisko do wiadomości redakcji), oburzona treścią artykułu Jerzego Kwiecińskiego pt. „Wołanie o pomstę". Szczególnie zbulwersowało ją ostatnie zdanie, w którym autor stwierdza, że „zniesienie kary śmierci nie powinno być rezultatem publicznych ankiet, lecz suwerenną decyzją czynników najwyższych, odpowiedzialnych za kształtowanie stanu umysłów". Pani W. uważa, że nie po to prowadzi się w kraju konsultacje, aby jednym zdaniem przekreślać głos opinii publicznej. W stwierdzeniu pani W. nie byłoby nic szczególnego, gdyby nie tragiczny fakt, że jest ona matką zamordowanej córki.

Następnie zadzwonił p. **JERZY DEMBOWSKI**, zam. przy ul. Piotrkowskiej 103/105 m 4, na wprost UMŁ. Ma 52 lata, jest sparaliżowany i przykuty do wózka inwalidzkiego, a kiedyś był współpracownikiem red. Szumlewskiego w PR. Dowiedziawszy się, że urzędy przekazują zbędne aparaty telefoniczne ludziom niepełnosprawnym, napisał w tej sprawie do prezydenta Łodzi, ponieważ telefon jest mu niezbędny do życia. Prezydent wydał pozytywną opinię, którą przesłano do Woj.Urz. Telekomunikacji, który stwierdził, że p. Dembowski może otrzymać telefon w latach 1989—90, ponieważ w jego bloku nie ma sieci telefonicznej. Jest to niezgodne z prawdą, gdyż zdrowi sąsiedzi Dembowskiego uzyskali już telefony. Pan Dembowski trzykrotnie zwracał się w tej sprawie do prezydenta, a Urząd Telefonów trzykrotnie odbijał pileczkę na nie. Może jednak odcięty od życia i świata człowiek uzyska ten telefon.

Z telefonami wciąż coś nie gra, bo pan **A.J.** z Teofilowa (nazwisko do wiadomości redakcji) uskarża się, że jako emeryt liczy dokładnie, ile razy dzwoni żona lub syn, i wychodzi mu średnio 30 do 50 rozmów miesięcznie, a rachunki przychodzą za 200 rozmów. Kiedyś rachunek był zawyżony dziesięciokrotnie. Sprawa jest beznadziejna, bo abonenta nie wpuści się do centrali, żeby sprawdził swój licznik. W ten sposób rodzą się plotki, że oni tam podkręcają liczniki, aby wykonać plan, albo że jak się ma szwagra, to ma się ryczałt na telefon i korzysta z podłączenia do innego abonenta i gada na jego koszt. Ale to tylko plotki...

Z kolei p. **EDWARDA BYCZKOWSKIEGO** z Pabianic szlag trafia, gdy słyszy, że dyrektor MPO ma płacić wysoką grzywnę za brak papieru toaletowego w łódzkich szaletach. Cholera go bierze, bo przed rokiem głośna była sprawa rzemieślnika ze Zgierza, który bez pomocy państwa, bez dewiz, z naszej marnowanej makulatury, chciał się podjąć produkcji papieru toaletowego, którego starczyłoby nie tylko dla Łodzi i województwa, ale i dla sąsiadów. Niestety, rzemieślnik nie uzyskał zezwolenia. Kto zawinił, władze w Zgierzu czy w Łodzi? P. Byczkowski uważa, że ci, co nie wydali zezwolenia, zamiast urzędować za biurkiem, powinni dawno zbierać grzybki lub makulaturę, albo pracować w miejskich szaletach.

Jeden z czytelników, który nie chciał afiszować się z nazwiskiem, z bólem serca pożegnał się z „Odgłosami". Czytał dotąd „Politykę" i właśnie nasz tygodnik, uważając go za nader interesujące pismo. Niestety, jako człowiek z wyższym wykształceniem technicznym, po ostatniej podwyżce cen nie jest w stanie korzystać z ulubionych tygodników. Rozstaje się z nami z żalem, lecz życzy nam wszystkiego najlepszego. Nam także jest przykro, bo przecież nie z własnej winy tracimy wiernego czytelnika.

Pani **JADWIGA ROGOZIŃSKA** natomiast zwraca uwagę, że idzie wiosna, a łódzkie autobusy coraz paskudniejsze. Brudne od zewnątrz i wewnątrz do tego stopnia, że przez szyby nic nie widać, a po przejażdżce trzeba się myć, odzież zaś nosić do pralni. I to już po podwyżce cen biletów. Jeśli na tym ma polegać reforma w MPK, to pasażerowie dziękują za komfort i punktualność.

I znowu kwestia podwyżki cen gazet. Pan **L.U.** z ul. Piotrkowskiej wyraża z tego powodu ubolewanie, gdyż chciałby czytać nadal „Odgłosy", nie wie jednak, czy będzie sobie mógł na to pozwolić. Podoba mu się wszystko, co się publikuje na naszych łamach w związku z procesem destalinizacji, natomiast nie uważa za stosowne, aby publikować dziś prace Andrzeja Werblana, który zdaniem pana L.U. absolutnie na to nie zasługuje.

Inwalida trzeciej grupy stwierdza, że w prasie zbyt mało pisze się o problemach ludzi niepełnosprawnych, jak choćby o dziwnym podziale na inwalidów „współczesnych" i wojennych. Nasz czytelnik nic nie ma przeciwko ludziom zasłużonym, którzy stracili zdrowie na wojnie, ale gdy on np. chciałby kupić jakiś deficytowy artykuł bez kolejki, mówią mu, że prawo do tego mają tylko inwalidzi wojenni. A druga sprawa to fakt, że skoro ma być benzyna po cenach komercyjnych, to znaczy, że tej benzyny trochę jest. Tymczasem inwalidom nie mogącym chodzić, poruszającym się za pomocą specjalnych samochodów, przydziały benzyny się w zasadzie obcina. A nasz czytelnik musi w tych ciężkich czasach jeździć do pracy, żeby jakoś wyżyć. A wszelkie sprawunki i interesy urzędowe też trzeba załatwić i bez samochodu ani rusz. Reforma dotyka wielu ludzi, i to w różny, często przykry sposób.

RYSZARD BINKOWSKI

Wojciech Has u Antoniego Szrama

KONRAD TUROWSKI

W Łodzi na mieszkanie czeka się 14 lat.

Czego może spodziewać się kandydat?

Rozmowa z prezesem Wojewódzkiego Związku Spółdzielni Mieszkaniowych w Łodzi — mgr EDMUNDEM KEMPĄ.

— W grudniu 1987 roku Rada Centralnego Związku Spółdzielczości Budownictwa Mieszkaniowego podjęła uchwałę o przyjęciu w poczet członków wszystkich pełnoletnich kandydatów, posiadających zgromadzony pełny wkład. Czemu ma służyć taka decyzja?

— Zmieniają się przede wszystkim prawa osób oczekujących na członkostwo. Uważam, że w głównej mierze liczy się na inicjatywę tej potężnej rzeszy ludzi, która zyskuje możliwość nie tylko oddziaływania na swoje władze, ale wręcz wymuszania decyzji, które będą przyspieszały rozwój budownictwa mieszkaniowego. Aktywność poszczególnych grup spółdzielców może mieć znaczący wpływ na szybką budowę mieszkań, nawet przy podobnych warunkach działania.

— Jak będzie w Łodzi realizowana ubiegłoroczna uchwała CZSBM?

— Chciałbym przede wszystkim podkreślić, że w Łodzi, niezależnie od uchwały, przyznano członkostwo już 2 rocznikom kandydatów. Obecnie, w związku z podjęciem tej uchwały, Wojewódzki Związek Spółdzielni Mieszkaniowych wystąpił do władz miasta o określenie i przygotowanie lokalizacji dla spółdzielczości. Zwróciliśmy się również do Urzędu Miasta Łodzi z prośbą o częściową rezygnację z rezerwacji miejsc dla budownictwa komunalnego, zakładowego itp. na naszych terenach. Uważamy, że przy tej ilości mieszkań budowanych poza spółdzielczością, można te rezerwacje zmniejszyć bądź wskazać tym inwestorom inne lokalizacje. Zwróciliśmy się też do prezydenta z prośbą o rozważenie problemu nowych spółdzielni. Chcemy bowiem, jeżeli zajdzie taka możliwość zagwarantować pierwszeństwo w ich zakładaniu kandydatom zarejestrowanym w Spółdzielczym Biurze Mieszkaniowym. Na razie jednak dajemy szansę wszystkim spółdzielniom, już działającym na terenie Łodzi, wypowiedzenia się i określenia programu przyjęć w poczet członków ponad 55 tysięcy osób.

— Czy ta liczba, którą pan przed chwilą podał, dotyczy miasta czy całego województwa łódzkiego?

— Dotyczy tylko Łodzi, konkretnie Spółdzielczego Biura Mieszkaniowego. Na przyjęcie w poczet członków spółdzielni czekają roczniki kandydatów od 1977 roku do roku 1987. Może wywołać zdziwienie fakt, że podaję tutaj rok 1987. Ale wynika to stąd, że część zarejestrowanych kandydatów nie spełniła warunków do okresu oczekiwania przy rejestracji. Osoby te po prostu dopiero po 1982 roku zgromadziły wymagany wkład bądź osiągnęły pełnoletniość i załatwiły wymagane formalności. Muszę powiedzieć, że są to niebagatelne liczby, ponieważ w 1983 roku mieliśmy takich kandydatów 2700, w roku 1984 — 1700, w roku 1985 — 2500, w roku 1986 — 2000, w roku 1987 — 1200.

— W zaleceniu CZSBM padło stwierdzenie „pełny wkład". Jaka jest wysokość tego wkładu w warunkach łódzkich? Trzeba coś dopłacać czy nie?

— W dalszym ciągu aktualna jest taka wysokość wkładu, jaka była wymagana przy spełnieniu warunków zaliczenia okresu oczekiwania. To znaczy, jeśli ktoś rejestrował się w 1977 roku i określono mu wkład ustalony przez Spółdzielcze Biuro Mieszkaniowe to w dalszym ciągu jest on wystarczający również przy skierowaniu do konkretnej spółdzielni. Sprawa wyliczenia wkładu wyniknie dopiero wtedy, gdy członek spółdzielni otrzyma konkretne mieszkanie. Ale w tej chwili, aby uzyskać członkostwo nie trzeba nic dopłacać do wkładu.

— Należy przypuszczać, że nie wszyscy kandydaci zainteresowani uchwałą CZSBM znajdą miejsce w istniejących już łódzkich spółdzielniach. Czy można określić liczbę tych osób? Jakie są perspektywy powstania nowych spółdzielni?

— Jestem zdania, iż należy wszystkim kandydatom umożliwić uzyskanie członkostwa w istniejących już spółdzielniach mieszkaniowych. Odpowiedź na drugie pytanie — zresztą bardzo konkretne — może być udzielona dopiero wówczas, kiedy władze miasta rozpatrzą naszą prośbę o wskazanie nowych lokalizacji. Wtedy po zbilansowaniu ilości wolnych miejsc może zaistnieć możliwość stworzenia nowych spółdzielni. Dziś nie można tego bliżej określić.

— Kiedy to może nastąpić?

— Ponieważ być może rzeczywiście urbaniści wskażą nowe lokalizacje które do tej pory nie były brane pod uwagę, a których dokumentację należy dobrze opracować może więc to przeciągnąć się nawet do drugiego półrocza 1988 roku. Dlatego też trzeba po prostu cierpliwie czekać na decyzje władz miasta.

— W jaki sposób ma dokonać się przypisanie do istniejących spółdzielni i do tych, które ewentualnie powstaną? Czy kandydaci będą mieli prawo wyboru, czy odbędzie się to automatycznie zgodnie z kolejnością?

— Spółdzielczość w dalszym ciągu w pierwszej kolejności honoruje staż. W zależności od tego, która z lokalizacji zostanie wskazana jako pierwsza do realizacji, tam będziemy kierowali kandydatów z najdłuższym stażem. Wybór będzie możliwy wtedy, kiedy władze miasta szybko zdecydują, co się stanie z lokalizacjami w południowo-zachodniej części miasta. Mam na myśli te tereny, dla których w tej chwili brak źródeł ciepła tj. Nowe Złotno czy Pienista. Jeśli ich nie będzie, to pozostają obszary południowe (Józefów) i całe pasmo wschodnie (tj. Henryków, Mileszki, Sikawa i cały ten rejon miasta). Tym samym wybór nie będzie mógł być dokonany, co będzie przyczyną rozczarowania kandydatów.

— Nie podjęto jeszcze wielu decyzji, od których będzie zależał los kandydatów. Czy w związku z tym muszą być oni w stałym kontakcie ze Spółdzielczym Biurem Mieszkaniowym?

— Kandydat zarejestrowany w Spółdzielczym Biurze Mieszkaniowym nie musi załatwiać żadnych formalności. Nie musi przychodzić i przypominać się, ponieważ zostanie po prostu o wszystkim zawiadomiony przez jednostkę, do której zostanie skierowany.

— Panie prezesie, ile naprawdę czeka się w Łodzi na spółdzielcze mieszkanie?

— Odpowiedź jest prosta i nie mam zamiaru jej wcale ukrywać. W 1987 roku plany przydziału mieszkań były opracowane dla członków z 1974 roku. Spółdzielnie podjęły decyzje, że cały rok będzie uwzględniony w tych planach przy założeniu, że 40 procent tego rocznika wejdzie na listy warunkowe. Nie będę ukrywał, że oczekiwaliśmy większej liczby mieszkań niż uzyskane 4 tysiące i stąd ten plan przydziałów na wyrost. Jakkolwiek plan budownictwa mieszkaniowego Łodzi po raz pierwszy od wielu lat został zrealizowany z niewielką nadwyżką, to mimo to w 1988 roku będą przydzielane mieszkania w dalszym ciągu członkom z 1974 roku. Łatwo więc można obliczyć, że na spółdzielcze mieszkanie w Łodzi czeka się w tej chwili 14 lat.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała: EWA LACHOWSKA

Zagrać łobuza u Fajbusa

— W Łodzi pracuje się najgorzej — mówią telewizyjni realizatorzy.

Przypadkowe spotkania znajomych zazwyczaj nic nie wnoszą do naszego życia. Jeśli czas nas nie nagli, gawędzimy o tym lub owym, po czym zapewniając, że musimy się koniecznie spotkać, podążamy w swoich kierunkach.

Po kilku dniach od takiego właśnie spotkania usłyszałem w słuchawce telefonu znajomy głos koleżanki z lat studiów, obecnie początkującej reporterki terminującej w łódzkim ośrodku telewizyjnym.

— Posłuchaj! Fajbus robi program z cyklu „997". Potrzeba kilkunastu chłopaków. Teraz każdy grosz potrzebny, więc pomyślałam o tobie. Zagrasz włamywacza, który zgarnia ciężkie pieniądze! Więc jak?

Zgadzam się.

Następnego dnia rano zgłaszam się w ośrodku telewizyjnym. I razem z kilkunastoma chłopakami mam przystąpić do realizacji kolejnego programu „997". Okazuje się, że jestem jednym z piętnastoosobowej grupy, którą tworzą przede wszystkim licealiści, mający akurat ferie zimowe, a na karku maturę. Jest także kilku studentów. Najbardziej łobuzersko-przestępczy wygląd ma student prawa. Przedłużające się oczekiwanie wykorzystujemy, by zajrzeć do baru i charakteryzatorni. Minuty mijają i potwierdza się prawda — jeśli chcesz pracować w telewizji, musisz nauczyć się czekać. Bo ktoś zawieruszył się w plątaninie korytarzy bądź jeszcze nie dotarł na miejsce, czegoś nie dostarczono, zepsuł się jakiś mechanizm... Wreszcie cała ekipa sadowi się w samochodach, jeszcze tylko kosz z materiałami WUSW i ruszamy w miasto.

Pierwszy etap pracy, to zdjęcia wokół oraz we wnętrzu restauracji „Balaton". Do akcji wkracza operator Adam Kaczanowski i towarzyszący mu dźwiękowiec Grzegorz Majchrzak. Wszystko rozgrywa się według schematu znanego z poprzednich programów, który jest odbiciem schematu poczynań przestępców. Jednak tym razem „sprinterzy", jak ich nazwano, realizowali go z pewną inwencją, by nie powiedzieć profesjonalizmem. Kilka ujęć niewielkich grup młodych mężczyzn podążających do restauracji, ujęcie panoramiczne... i robiąc zdjęcia z planu, wpadam w oko kamery. Towarzyszy temu uprzejma uwaga operatora, bym robił swoje, ale i nie przeszkadzał w wykonywaniu jego roboty. Autentyczność zdjęć polegać ma na naturalnym zachowaniu, a przede wszystkim niegapieniu się w obiektyw kamery wideo.

Początkowo trudno się połapać, o co w tej robocie chodzi. Wtajemniczonymi są redaktor Michał Fajbusiewicz, a zwłaszcza towarzyszące pracy na planie osoby z WUSW i pani prokurator. Pracę utrudniają ciekawscy i narastające grupki gapiów. Trudności pojawiają się, gdy kilka ujęć trzeba wykonać na jednokierunkowej ulicy Andrzeja Struga. Padają cierpkie uwagi pod adresem komendy miejskiej MO, która nie zadbała, by na kilkanaście minut zatrzymać ruch. Kamera lawiruje pomiędzy przemieszczającymi się niezdarnie wąską ulicą samochodami.

Wreszcie ekipa wkracza do środka, mącąc senność tego miejsca. Kilka ujęć stolikowych rozmów, jakieś zamieszanie, ucieczka trzech spłoszonych facetów, na naszych oczach jedna z kelnerek na prośbę Michała Fajbusiewicza przeobraża się w aktorkę, wkraczając w pole widzenia kamery z okrzykiem:

— *Panowie a rachunek!*

Jeszcze raz przenosimy się na zewnątrz, by tym razem na zapleczu sfilmować uciekających przestępców.

— *Tylko pamiętać o kolejności, kto za kim biegł. Telewidzowie są spostrzegawczy. Żeby nie było, że wezmą nas na języki za fuszerkę!*

Aktorzy starają się. Jeden z uciekających czyni to tak skutecznie, że wymyka się funkcjonariuszom milicji i tajniakom.

— *Uciekaj bracie, ale daj się złapać!* — krzyczy zza kamery operator. Konieczna jest powtórka.

Na tym kończą się zdjęcia. Już siedząc w samochodzie Iwona Piotrowska, która jest kierownikiem produkcji, rzuca uwagę.

— *W Łodzi pracuje się fatalnie. W innych miastach wszystko jest przygotowane, na miejscu jest nawet krew teatralna. Tutaj bałagan.*

Skrzyżowanie ulic Gdańskiej i Zielonej, przejeżdżające co kilka minut tramwaje dodatkowo utrudniają pracę. Jest szczytowa pora dnia. Od czasu do czasu pojawiają się wątpliwości związane z rekonstrukcją działalności bohaterów tego „kryminału". Te stara się wyjaśnić pani prokurator.

Nie wszystko zostało dograne do końca. Licealiści, chociaż wyrośnięci, jakoś nie bardzo pasują do wszystkich sytuacji przewidzianych w scenariuszu, którego prawdziwymi bohaterami jest zorganizowana grupa przestępcza, rozpracowująca dokładnie wybrane ofiary i ogołacająca ich mieszkania z pieniędzy, kosztowności, przedmiotów, których wartość przekracza 200 milionów złotych, a warto podkreślić, że niektórzy poszkodowani nie ujawnili faktu kradzieży dokonanej w ich mieszkaniach.

Zabrakło „Mercedesa", którym posługiwali się złodzieje, dobrze, że chociaż „Fiat Ritmo" pracownika WUSW ratuje sytuację.

Oświetleniowiec Stefan Stęperski mruczy pod nosem.

— *Cały czas płasko i płasko. Gdzie indziej mieliśmy do dyspozycji wysięgniki, wtedy wszystko było widać.*

Redaktor Michał Fajbusiewicz zarzeka się.

— *Ostatni raz realizuję materiał w tym mieście.*

Przerwa, by coś zjeść i nieco odpocząć. Pozostały jeszcze zdjęcia we wnętrzach. Wynajęci na ten dzień aktorzy wkroczą do mieszkań, które telewidzom ujawnić mają zamożność ofiar. Tutaj nie ma wielkich płyt w ścianach i płyt paździerzowych w meblach. Gdzieś pomiędzy lśniącym parkietem a sufitem z charakterystycznym belkowaniem, pomiędzy kominkiem z prawdziwymi rusztami i prawdziwym popiołem a ciężkim kredensem i szafą z „Desy" znajdują się grube miliony i biżuteria, na których widok widz zgrzyta zębami. Tu spośród wielu obrazów ręcznie malowanych, gdzie wszystko jak żywe, wybrano ten najcenniejszy Konstantego Mackiewicza, do którego dorzucono zachodni elektroniczny sprzęt audiowizualny, mięsnieńskie figurki porcelanowe, złoto i pieniądze. Na ekranach telewizorów tombakowa biżuteria i paczki pociętego papieru obłożonego dolarowym jednostronnym śmieciem zagrają jak prawdziwe.

Koło zamyka się. W porze emisji dziennika telewizyjnego i filmu fabularnego realizatorzy z kilkoma licealistami, którym przypadła rola złapanych przestępców powracają do studia, by nagrać sceny przesłuchania. Moja rola kończy się. Podążam w kierunku wyludnionej o tej porze i jak zwykle wygaszonej Piotrkowskiej.

Rejestracja magnetowidowa wydarzeń, będących próbą rekonstrukcji sprawy kryminalnej, o wyjątkowej jak na nasze warunki skali, zajęła cały dzień od rana do wieczora. Po przejrzeniu i montażu na antenie wykorzystano około dziesięciu minut nagranego materiału.

KRZYSZTOF BALCEREK

1 Spojrzenie znad szachownicy

Protokół rozbieżności

No i znów mieliśmy groźny wybuch, choć szczęśliwie nie gazu, lecz jedynie gniewu koleżanki redaktor Urszuli Biełous, która w poszukiwaniu *„oaz czystości i sztuki"* wybrała się do łódzkiego Teatru Studyjnego '83, gdzie znalazła — z czego wypada się cieszyć — *„spektakle godne stałych recenzji w czołowych dziennikach i tygodnikach centralnych"*

Niestety — jak wywodzi koleżanka redaktor na łamach „Kultury", nr 7 z 17 lutego br. — recenzje w prasie centralnej rzadko się pojawiają *„ponieważ dyrektor tej sceny nie znalazł się w żadnym, stale odnotowywanym przez prasę, szpanersko-snobistycznym „układzie" teatralnym"*. Z kolei — czytamy parę zdań dalej — *„komentarze w prasie łódzkiej są poniżej wszelkiej krytyki, dowodzą kompletnego nieuctwa piszących — nieznajomości historii sztuki, literatury, dramatu, historii, polityki, estetyki, słowem wszystkich elementów koniecznych do zrozumienia inscenizacji teatralnej"*.

2.

No i masz babo placek! Po takim czymś nic, tylko pójść nad jakąś rzeczkę i zbiorowo się utopić, albo równie zbiorowo wzruszyć ramionami w zgodzie z jakże słusznym tytułem felietonu koleżanki Biełous: KARAWANA JEDZIE DALEJ.

Inna sprawa, że w antraktach — mimo całego sromu chadzamy bowiem do teatru — padały także odmienne propozycje. Na przykład, aby zapozwać koleżankę autorkę do Sądu Dziennikarskiego, powiedzmy z artykułu 24, par. 1 i 3a Kodeksu Obyczajowego, które mówią o znieważaniu i używaniu określeń obelżywych.

Sprawa jest jasna i gładko byłaby wygrana, nie można bowiem tak całkiem bezkarnie zwymyślać nie jednego, lecz całej gromadki nieletnich, najmłodszych wiekiem i stażem dziennikarzy od *„kompletnych nieuków"* i zgrywać się na jedynego sprawiedliwego w okolicy dlatego tylko, że przyjechało się aż z Warszawy.

Co do mnie byłem jednak przeciw i wraz z innym jeszcze tumanem założyłem natychmiast frakcję bezinteresownych obrońców koleżanki Urszuli Biełous. — Któż właściwie — argumentowaliśmy na głosy — ma się tu czuć obrażony? Przecież nie tylko my, recenzenci, ale także redaktorzy naczelni, którzy nasze teksty drukują i w przeszłości zgadzali się drukować. A także redaktorzy naczelni wszystkich pism ogólnopolskich — od znanego koleżance Biełous „Życia Literackiego" zaczynając, ale bynajmniej na nim nie kończąc — którzy drukowali je kiedykolwiek, samemu bowiem trzeba być nieukiem, aby na totalnym nieuctwie się nie poznać.

Powinni poczuć się obrażeni liczni nauczyciele akademiccy, ci zwłaszcza, którzy jednemu z łódzkich recenzentów przyznali tytuł magisterski akurat z teatrologiczną specjalnością. Takoż mało kompetentni jurorzy, którzy innego z niedouków jakieś 15 lat temu uhonorowali II nagrodą Klubu Krytyki Teatralnej.

Licząc z grubsza będzie tych obrażonych dobra setka osób, ale nie koniec na tym. Jak czują się bowiem teraz ludzie łódzkiego teatru, o których niekiedy pisaliśmy wprawdzie kiepsko, ale znacznie częściej dobrze, a nawet bardzo dobrze!? Przygany miło wprawdzie anulować, wyszły przecież spod piór ponurych baranów, ale z pochwałami przyjdzie zrobić dokładnie to samo.

Teatr Studyjny zmuszony więc będzie unieważnić komplementy, którymi obsypane zostały chociażby „Tańce w stylu epoki", schowa też zapewne wstydliwie „Srebrną Łódkę" przyznaną mu za „Kalafara", choć jest to bowiem nagroda Towarzystwa Przyjaciół Łodzi, w jury większość stanowią wiadomo jacy recenzenci.

Jeśli przeto ludzie sceny zechcą przyjrzeć się rozprawie, na Foksal zrobi się tłoczno, a „Szpilki" i „Przyjaciółka" wyślą pewno specjalnych sprawozdawców. „Szpilki", bo szykuje się heca, „Przyjaciółka" — bo maltretują słabą kobietę.

3.

W tym momencie koleżanka Biełous zeszła definitywnie z wokandy, choć ktoś tam upierał się jeszcze, że można dobrać się do naczelnego albo przynajmniej do sekretarza redakcji.

I tu jednak nasza tumanowata frakcja dała zdecydowany odpór. — A co — wołaliśmy — jeżeli ci zacni i szlachetni ludzie powiedzą po prostu: „Kochani, „Kultura" sprzedaje w Łodzi z biedą 500 egzemplarzy, każda polemika i połajanka jest dla pisma szansą, zarżnijcie, ale nie możemy inaczej!".

Wówczas oczywiście zmiękniemy i zawstydzeni zaczniemy przepraszać tych, którzy nas mieli przeprosić.

Słowem nie ma sprawy i właściwie nigdy nie było. A swoją drogą dalsze poczynania koleżanki Biełous i tygodnika „Kultura" obserwować będziemy z życzliwym zainteresowaniem.

JERZY PANASEWICZ

P.S. My tu na prowincji jesteśmy zdania, że łamy gazet codziennych, a zależnie od profilu niektórych tygodników także, nie są miejscem stosownym dla erudycyjnych popisów, próbujemy bowiem rozmawiać z czytelnikami najczęściej niezbyt zainteresowanymi teatrem. Nie kiedy udaje się nam ich przekonać do jakiegoś ciekawego spektaklu, nigdy nie zdołalibyśmy jednak tego uczynić powtarzając trudne wyrazy po kilka razy i wygłaszając teatrologiczne kazanie tonem bezbrzeżnej wyższości. Może również dlatego mamy takie nakłady, jakie mamy, a pisma specjalistyczne — też oczywiście potrzebne — mają nakłady wielokrotnie mniejsze. Przykre to, ale prawdziwe, zaś krzyk i wrzaski nie zmienią z dnia na dzień rozkładu zainteresowań czytającej publiczności.

J. P.

2 Lewym okiem

Echo w komputerze

Mieszkańcy Kielc skarżyli się w listach do różnych czynników, w tym także do Polskiego Radia, że miejskie autobusy kursują źle, zbijają się w stada, a z rozkładem jazdy kierowcy w ogóle się nie liczą. Zjawisko doskonale znane, zarówno nam łodzianom, jak i w wielu innych, wielkich miastach. Mówię o nim dlatego, że na owe skargi i zażalenia mieszkańców Kielc odpowiedział dyrektor Miejskich Zakładów Komunikacyjnych w tymże mieście i to odpowiedział w ogólnopolskim programie Polskiego Radia 16 lutego 1988 r. Odpowiedź ta, muszę powiedzieć, nieomal mną wstrząsnęła. Oto bowiem pan dyrektor twierdzi, że przyczyną chaotycznego kursowania autobusów jest zastosowanie komputerów w dyrekcji komunikacji miejskiej. Pan dyrektor mówił o echu komputerowym, które powoduje, że jeden autobus włazi na drugi. Na całym świecie najdoskonalszym usprawnieniem działania jakiegokolwiek skomplikowanego aparatu jest zastosowanie komputerów, u nas komputery mają echo. Do licha ciężkiego! Jakąż więc radę znaleźć na wszystkie nasze niedomagania techniczne i organizacyjne?

Pan dyrektor zakończył swoją prelekcję słowami: — *Mam nadzieję, że już w pierwszym półroczu uda nam się usprawnić transport miejski"*. Mam nadzieję, że uda nam się! Przez czterdzieści lat nie udawało się, bo nie było komputerów, teraz może się uda, mimo komputerów, które mają echo.

Nie wiem doprawdy, jak powinno się zareagować na wypowiedź pana dyrektora. Czy poradzić mu, żeby zaangażował ucznia średniego zakładu naukowego, czyli czwartej klasy gimnazjum? Myślę, że ten prędzej dogadałby się z komputerami niż zasłużony, kielecki menedżer. Myślę też, że niemożliwym jest zreformowanie ani jakakolwiek poprawa naszej gospodarki przy takim nastawieniu myślowym, jakie zademonstrował nam kielecki dyrektor.

Ten zwrot *„mam nadzieję, że się uda"* powtarza się często w wypowiedziach większych i mniejszych decydentów, być może, że jest w nim chwalebna doza skromności. Jeżeli jednak daje się samemu sobie półroczny termin, na zrobienie tego, co powinno było być zrobione na początku jakiejkolwiek działalności i zastrzega się przy tym, że *„może się uda"*, to jest w tym wszystkim chyba nie tyle skromność, ile strach przed przemożną rzeczywistością, trema przed podjęciem działania, przyznanie się do ogólnej, fatalnej niemożności. Zbyt wiele jest tego liczenia na *„być może"*.

Jakże przy tym bez lęku myśleć, na przykład, o przyszłym warszawskim metrze? Przecież tam organizacja ruchu musi być wręcz idealna, to musi być wszystko nastrojone jak najlepsze skrzypce, a tu masz: echo w komputerze i katastrofa! Ale czy nie jest tak, że rozkład jazdy w Kielcach, zaprogramowany przez komputer jest prawidłowy, tylko nikt go, po prostu, nie przestrzega? Kierowcy w ogóle nie patrzą na zegarki, a dyrekcja, a więc także pan dyrektor, nie umie wyegzekwować od swoich podwładnych stosowania się do elementarnych zasad ruchu publicznego. Mamy przecież tyle dobrych ustaw, zarządzeń i instrukcji, z których w rzeczywistości nic nie wynika, bowiem nikt się do nich nie stosuje i nikt tego stosowania od nikogo naprawdę nie wymaga. W razie czego dyrektor takiej instytucji sięga po pierwszy z brzegu, choćby niezmiernie naiwny, argument: — *w komputerze było echo* — albo jeszcze gorzej — mówi na przykład tak: — *jakże ja mogę czegokolwiek wymagać, skoro tak mało tym ludziom płacimy.*

Ludziom nieraz płaci się więcej niż ich praca jest warta. Takie jest moje przekonanie w odniesieniu do bardzo wielu wycinków naszego rodzimego krajobrazu.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

3 Pod prąd

Erzac

W pierwszym tomie najnowszego wydania „Słownika języka polskiego" (PWN, 1988) na stronie 553 pod hasłem „erzac" czytamy, że słowo to znaczy tyle, co surogat, namiastka, a jako przykład znajdujemy — „Erzac kawy".

Jest to w zasadzie prawda. Powiedzmy sobie jednak szczerze — prawda niepełna, budząca we współczesnym Czytelniku niepohamowane uczucie niedosytu. Cóż bowiem ma być owym erzacem kawy? Tego autorzy, niestety, nie wyjaśniają. Domyślamy się oczywiście, że „Dobrzynka", „Inka", „Turek", ale pewności nie mamy. I słusznie, gdyż podejrzewam, że przykład ten wywodzi się jeszcze z okupacyjnych czasów, kiedy to w większości ówczesnych kawiarni podawano istotnie erzacową kawę, ponieważ naturalnej po prostu nie było. Nie jest więc to chyba przykład najszczęśliwszy. Poza tym szkoda, że jedyny, gdyż może stwarzać wrażenie, iż słowo „erzac" odnosi się wyłącznie do kawy. A tak przecież nie jest. Przeciwnie, dawniejsza nawet „duża erzacowa" to dziś małe piwo, jako że otoczeni jesteśmy wieloma i to znacznie poważniejszymi powiedziałbym, erzacami.

W branży spożywczej będzie to kilka rodzajów kiełbas, które kiełbasami są tylko z nazwy, tak zwana kaszanka w bloku, czy również tak zwane czarne, wszystkie wyroby czekoladopodobne, krajowe wina owocowe, serki udające oscypki np. w podziemnym przejściu obok „Centralu" i szereg innych artykułów.

Erzacami są buty za 8 tysięcy, które rozklejają się przy pierwszym deszczu, książki rozpadające się zaraz po przeczytaniu, niemal wszystkie gatunki polskich papierosów, trzeszczące od nowości płyty gramofonowe „Muzy" czy „Pronitu", tynki w mieszkaniach na wielkopłytowych osiedlach, papier toaletowy (mimo że tak trudno dostępny!), pasta do zębów „Pollena" klej do tapet produkowany przez niektórych rzemieślników...

Typowe cechy erzacu ma również automatyczne połączenie telefoniczne z Radomskiem (nic nie słychać), toaleta w pociągu do Krynicy (brudna, z rozbitą muszlą klozetową i bez wody w kranie), wizyta u lekarza specjalisty, który coraz częściej leczy tylko dobrym słowem.

Erzacem powoli staje się złotówka. Oczywiście — erzacem waluty. No bo jakże inaczej ją nazwać, skoro wiele towarów dostępnych jest w Polsce dziś wyłącznie za dolary, coraz więcej obywateli lokuje swe oszczędności na kontach dewizowych, a nie brak również pomysłów, by w pewnych przypadkach (np. w projektowanej w Szczecinie strefie wolnocłowej) Polak pracujący na polskiej ziemi część wynagrodzenia otrzymywał w bonach „Pewexu" lub wprost w „zielonych".

Idąc tym samym torem myślenia, erzacem pracy śmiało można nazwać to, co robią setki tysięcy, a może nawet miliony pracowników państwowych przedsiębiorstw, gdzie efektywny czas pracy trwa dziennie nie więcej niż pięć godzin, zaś jakość owej pracy dzieli od ideału odległość mniej więcej taka, jak Warszawę od Tokio, Tajpei czy Seulu. Za erzac pracy przedsiębiorstwa te wypłacają na ogół erzac pensji, które po niedawnych podwyżkach cen w niejednej rodzinie bardziej przypominają zasiłek dla bezrobotnych niż wynagrodzenie za pracę. Dalej erzac pensji spotyka się z erzacem handlu i erzacem rynku, na którym w dalszym ciągu mamy kartki (na szczęście już tylko na mięso, benzynę i samochody), społeczne listy kolejkowe (na kolorowe telewizory, pralki automatyczne, itp.) oraz inne formy dzielenia deficytowych dóbr będących często — jak już pisałem wcześniej — także erzacami.

Tak oto zgrabnie zamknęło się nam kółko, co obrazowo można przedstawić: erzac na erzacu erzacem pogania. I w tej sytuacji wcale nie zdziwi mnie, jeśli i zamieszczane w „Odgłosach" felietony uzna ktoś także za erzac. Bo co prawda mnie tak uważać nie wypada, to jednak protestował nie będę. Cóż, na ogół daleko im do poziomu tekstów takiego chociażby Arta Buchwalda.

Na usprawiedliwienie — niestety, raczej wątpliwe — mogę jedynie dodać, iż odgłosowy felietonista, aby osiągnąć średnią krajową pensję musi obecnie napisać w miesiącu co najmniej sześć, siedem takich jak ten felietonów, co nie znaczy wszakże że na tym kończą się już jego zawodowe obowiązki. Ma ich na ogół znacznie więcej. Ale o tym może już przy innej okazji. Zostawmy ten temat na ósmy felieton.

JÓZEF RETMAN

Przedruk w całości lub we fragmentach zastrzeżony

Matnia

14

LEONARD

—„Między naszą trójką wytworzyła się atmosferka — powiedziała na swój motyli sposób matka. — Znasz Glendę Jackson, więc możesz sobie wyobrazić. Robię uniki, ale wiesz...

Wiem. Znam Glendę.

— Podobasz mi się, chłopcze — usłyszałem ku memu zaskoczeniu w jej sypialni, dokąd pod pretekstem pokazania swego nowo ukończonego domu mnie zaciągnęła. Piła któregoś z rzędu drinka, nie żałowała sobie alkoholu mimo bezceremonialnych upomnień Maynarda, ale pewność siebie, ta ulotna w nierównych pojedynkach chimera, raptem ją opuściła. Przechwyciła moje krytyczne spojrzenie spoczywające na jej znowu napełnionej szklance. — Owszem, za kołnierz nie wylewam — przyznała się nie pytana — nie piję jednak tak dużo jak myślisz. Po pierwszego martini nie sięgam nigdy przed lunchem, drugiego odpalam — już wtedy posługiwała się swoim rakietowym żargonem — po kolacji, trzeciego... — Oddychała nerwowo jak ryba wyciągnięta z wody, z twarzą już podkolorowaną krwią. — Powiem ci! Ten mój genialny Maynard stał się w łóżku okropnym moralistą. Dzisiejsi mężczyźni są do niczego. Myślą tylko o sobie, nic o kobiecie, a ja mam zasady. Zasady, wiesz?

Słyszałem ją dobrze, nie potrzebowała podnosić głosu.

Wieczór był ciepły, biesiadnicy z nagrzanego salonu przenieśli się do ogrodu oświetlonego lampionami, mógłbym bez przeszkód zapoznać się z warunkami towarzyszącymi jej trzeciemu drinkowi. Ale nie to miałem w głowie. Byłem zielony w tej konkurencji. Świeżo zdjętym z rusztu absolwentem uczelni, ukochaniem mamusi byłem. W uszach pobrzmiewało mi jeszcze błogosławieństwo na drogę życia rektora uniwerku, nogi uginały się pod ciężarem tego mydlanego patosu, przede mną stała kobieta, która na dobrą sprawę mogła być moją matką. Stanowczo nie szukałem zdobyczy.

Figurę Glenda ma wciąż wystrzałową. W skąpej wieczorowej sukni, powycinanej tam gdzie trzeba, wicemiss stanu Oklahoma sprzed dwudziestu lat robiła wrażenie na Barrym Harcie, na Alu Connolym, na ofensywnym kiedyś wiceburmistrzu miasta Stanleyu Wardzie, na facetach z rocznika mojego ojca. Wypindrzona, nastawiona na podryw, siała wśród nich spustoszenie. Ale ja?

Udałem głupiego.

— Zasady? — Zaśmiałem się. — To takie nienaturalne, gdy kobieta mówi o zasadach. Unikam takich kobiet — wymądrzałem się szczeniacko, zupełnie, ale to zupełnie zielony w tych sprawach. Nie miałem nic obraźliwego na myśli.

Glenda jednym haustem dokończyła drinka, szklankę odstawiła z trzaskiem na nocny stolik.

— To ja jestem dla ciebie bez zasad, tak? Ot, pierwszą lepszą, co? — Oczy zapłonęły błyskawicą, w kącikach zakleszczonych zębami warg pojawiła się ślina. — Ty kurewski gówniarzu!

Kobiety są podobno nieodgadnioną zagadką. Dla mnie wtedy Glenda była nią na pewno. Nim się połapałem, trzasnęła mnie na odlew w twarz, potem — to już w ogóle było końcem świata — obłapiła mnie kurczowo za szyję i histerycznie łkając, pchnęła na szerokie łoże małżeńskie. Zionęła morzem alkoholu. — Gdybyś wiedział... gdybyś wiedział, jaki ten Maynard jest w pierdoleniu wstrętny! — dobierała się nieprzytomnie do moich spodni. — Och, gdybyś wiedział!

Poznałem Glendę. Ale to jeszcze nic. Prawdziwą Glendę poznaje się dopiero wtedy, kiedy jej taka sztuczka nie wyjdzie.

Z Rzymu marszruta matki wiedzie do Florencji, Wenecji, Paryża, następne w kolejce są Bruksela, Amsterdam, męczącą turę zamyka jej rodzinna Szwajcaria. Ten plan podróży został naszkicowany w domu, jednak już teraz wiadomo, że humory Glendy go pokrzyżują.

Pomyślę nad miejscem spotkania i dam znać. Matka przekazała mi telegramem nazwy i numery telefoniczne hoteli, w których ma rezerwację, gdybym zadzwonił, zostanie niezwłocznie poinformowana, bez względu na swoje miejsce pobytu.

Spotkanie chcę zgrać ze spotkaniem z Davidem. On też godzi się na każde miejsce, musi zobaczyć się ze mną. Ma do omówienia sprawy nie cierpiące zwłoki.

Zamieniłem się w słuch.

— Widzisz — Dave mówił ze swego domowego telefonu, ale był wyraźnie nie w humorze — mam kłopoty z twoim wydawcą. Cholerny typ. Jeszcze wczoraj...

Zrobiło mi się mdło.

— Mów dalej, słucham!

— Jest to... Jakby ci to powiedzieć... Musimy się spotkać. Koniecznie.

— Ale co „jeszcze wczoraj"? — chciałem wiedzieć. Czyżby ktoś powiadomił go o moich tarapatach, a on chce je wygrać na swoją korzyść? Pieniądze! przyszło mi do głowy. Nigdy nie interesowałem się pochodzeniem wypłacanych mi przez Davida pieniędzy. On otworzył mi konto, on je uzupełniał, gdy podnosiłem sprawę, naprowadzał mnie na ukrywającego się w cieniu wydawcę. Temat książki uzasadniał tę ostrożność. Co prawda, David mógłby uchylić przed przyjacielem rąbka tej tajemnicy, ale ja z czystego wygodnictwa nie nalegałem. Teraz upomniało się to o swoje. — Stawia nowe warunki? Jak mnie zapewniałeś, żadnych zasadniczych zastrzeżeń nie było, a krytycy ocenili wysoko dostarczony materiał. I nagle co?

— Nie chodzi o warunki. Na tapecie jest zupełnie coś innego.

Cisza na drugim końcu drutu złowieszczo się przedłużała, mówiła coś, czego nie rozumiałem. — Stałeś się strasznie tajemniczy — zauważyłem.

Głos Davida zlodowaciał.

— Nie bądź dzieckiem! Mówisz, jak gdybyś nie doceniał powagi sytuacji.

Zachowałem się rzeczywiście tak, jak gdybym nie znał świata. Telefonowałem z urzędu pocztowego w nikomu nie znanym, zakutanym lasami Käpylä, i nie pomyślałem, że londyński rozmówca może być na podsłuchu. Ale gdyby nawet, to ton Davida był dla mnie nowy. Właściwie wiedziałem już wszystko: wydawca, naciśnięty przez odpowiednie sprężyny Agencji, odstąpił od umowy, moje plany życiowe, oparte na sukcesie książki, dostały w łeb.

Rozmawialiśmy szyfrem. Takim domowego chowu. Osoba telefonująca nigdy nie była nazywana jej własnym imieniem czy nazwiskiem, nie posługiwaliśmy się w ogóle prawdziwymi nazwami miejscowości, nazwiskami osób, w to miejsce, jeśli nie uzgodniono inaczej, wstawialiśmy domyślniki. Nie było to nic arcywyrafinowanego, ale czujności rutynowego podsłuchu nie wyostrzało. Otwarte użycie słów: „mam kłopoty z twoim wydawcą", oznaczało, że dalsze utrzymanie naszego tete-a-tete w tajemnicy jest zbędne.

O pośredniczeniu Davida w sprawie wydania mojej książki wiedzą — a nie mam podstaw żeby powątpiewać — jego zastępca w interesach Ron Humber oraz Nancy, przez ręce której przechodzą praktycznie wszystkie sprawy Africa-Aid. Nikt więcej. Nie znam bliżej Rona, nigdy nie spotkaliśmy się służbowo. Wiem tylko tyle, że ma z Agencją na pieńku, podobnie jak Nancy, która — zaopatrzona w całkowicie fikcyjne rekomendacje i referencje — podsuwana była jako sekretarka wpływowym osobistościom podejrzanym o posiadanie własnego punktu widzenia na pewne sprawy. Pewnego dnia ten rodzaj służby pięknej i atrakcyjnej Nancy się znudził, nie chcąc podejmować nierównej walki, przeniosła się do Europy. Dzielna dziewczyna. Rzadko która, z jej aparycją, mogąc używać życia do woli, zdobywa się na taki zabieg na sobie samej. Ale też nie każda ma tyle charakteru; mam do niej zaufanie. Jeżeli o mnie chodzi, kurtynę tajemnicy rozciągnąłem do granic absurdu: o mojej książce nie wie żaden z moich przyjaciół wydeptujących europejskie bruki, poza moją siostrą Helen, nie wiedzą nawet rodzice. Ale sprawa się sypnęła.

Ludzi z kręgu Davida wyłączam z podejrzenia. Wydawca, dla którego liczy się tylko zysk, nie temat książki, do chwili ukazania się na półkach księgarskich, trzyma ją z dala od wszelkich źródeł zagrożenia, z agendami rządowymi włącznie. Ale sam nie zameldował się w Langley!

Dalekosiężność macek CIA nie jest dla nikogo tajemnicą. Naiwniaków pod tym względem odsyłam do głośnego w świecie bestsellera Johna Ehrlichmana, wciąż bulwersującego opinię publiczną. Ehrlichman to nie byle patałach; w najbliższym otoczeniu prezydenta są cwaniacy, szczawne lisy, czujki wielkiego biznesu — ci są zawsze blisko żłoba — ale nie patałachy. Dzieło byłego doradcy prezydenta może się wydać niezbyt wyrobionemu czytelnikowi lekturą sensacyjną, o tyle ciekawą, że obnażającą kulisy najwyższej władzy w kraju. Ale tak po prawdzie i chyba wbrew zamierzeniu autora, który, pisząc ją w więzieniu, myślał pewnie o zabezpieczeniu sobie przyszłego bytu przede wszystkim, ilustruje potęgę służb bezpieczeństwa i ich przerażającą wszechobecność. Od siebie mogę tylko dodać: nie ma dziedziny życia, z niewinną politycznie turystyką włącznie, nie penetrowanej przez CIA, niedostępnej dla jej agentów. Wiem również, że składnik mass mediów — oficyny wydawnicze, są zawsze na muszce celowniczej jej snajperów.

To było to. Z czego zaistnieniem należało się liczyć. Niedługo od przechwycenia „Orwelliady" w Nowym Jorku chrapy Agencji wytropiły wydawcę i znalazły na niego sposób. Mogłem tylko przeprosić Davida za wplątanie go w tę sprawę. — Rozumiem — bąknąłem dla przerwania ciszy na linii. — Bardzo mi przykro.

— Nic nie rozumiesz! — David tłumił zniecierpliwienie. — Musimy się spotkać. W twoim własnym interesie. Proszę, zaproponuj dzień i miejsce, ja się dostosuję.

Pieniądze. Geld. Money. Pengä. Wszystkie drogi urywają się tam, gdzie zaczynają się te przeklęte papierki.

Słuchawkę telefonu podnosił książę z bajki, odłożył — lepiej nie mówić. Nie ma w tym przesady. Wszystkie moje aktywa liczą osiemset dolarów w gotówce, i tylko dlatego aż tyle, że o pięciu banknotach z podobizną Benjamina Franklina, zawieruszonych w wewnętrznej kieszeni kupionego przed odlotem ze Sztokholmu płaszcza zupełnie zapomniałem, oraz tysiąc dolarów w dziewiczej jeszcze karcie kredytowej. Cały mój majątek, powiększony o ten dar z nieba, daleko mnie, puszczonego samopas na głębokie wody, nie doholuje. Odwołanie się do pomocy rodziców odpada — mają na głowie raty za nowy dom; pogrążona w charytatywnych przedsięwzięciach Helen sama goni resztkami. Nie wspomniałem Davidowi o przygodach mego nesesera. Ze względu na zaginioną książeczkę czekową, powinienem go o tym powiadomić, ale powstrzymałem się: mogło być zrozumiane jako wyciąganie do niego ręki, a to nie było mi potrzebne. Do dzisiaj. Mam nowy miernik czasu: kiedy minie tysiąc osiemset dolarów, będę musiał zacząć zarabiać na siebie.

Wyszedłem z poczty zdenerwowany. Kokon, w jakim Kauko Uusitalo mnie umieścił, miał grubość skorupy od jajka i wbrew mojemu przeświadczeniu nie chronił mnie przed czarownicami. Nie ma ucieczki od rzeczywistości. „Minna" mieści się w wysterylizowanym, wolnym od bakterii inkubatorze, ale życie toczy się poza jej ścianami.

We wszystko potrzebne do życia zostałem zaopatrzony w nadmiarze przez Kauko. Lodówka, podręczna spiżarka pękały w szwach od żywności i napojów, ubytki mogłem uzupełniać w supermarkecie miasteczka na rachunek mego doboroczyńcy. Żyć, nie umierać. Nie bez utarczek z własnymi skrupułami. Te też dochodziły do głosu, lecz spokorniały. Odezwał się ukryty we mnie błąd konstrukcyjny, którego przy moich narodzinach nie zauważono. Niezłe wytłumaczenie!

Cała ta pustelnia leśna wydaje mi się zasadzką na zwierza, który sam pcha się pod lufę. Wyszedłem z poczty inny niż wszedłem. Telefon od Davida był pierwszą ze spraw do załatwienia. Na dalszym miejscu był zakup ołówków, gumy do wycierania — piszę najpierw ołówkiem — tipp-exu do oczyszczania przepisanego na maszynie tekstu; zamierzałem wypożyczyć, a gdyby to było niemożliwe, kupić małą maszynę do pisania. Kauko zaopatrzył mnie, ale w elektryczną, a ja mam silne uderzenie i nim oderwę palec od czcionki, litera zdąży się kilka razy powtórzyć. Winienem więc zajrzeć do domu towarowego Pukkeva. Widziałem tam walizkowe maszyny. Niezłą japońską można nabyć już za pięćdziesiąt dolarów, stać mnie na taki wydatek. Ale teraz jest on zbędny. Dramatyczne odkrycie: widziałem siebie do końca życia sprzęgniętego z moimi myślami spisywanymi na papierze, nie wyobrażałem sobie, aby mogło być inaczej. Ta kraina jest naprawdę malownicza. Przypomina mi lasy i jeziora mojego stanu, człowieka spragnionego spokoju może skusić do zarzucenia tu kotwicy. Ale oddalenie przybliża. Poprzez lasy Käpylä — niczym na zwolnione sprężenia zwrotnego, jakby to ujął cybernetycznie myślący Maynard — dokonał się we mnie ostateczny wybór mego przyszłego miejsca zamieszkania: Seattle. Zaś w najgorszym razie — na to jestem też przygotowany — sąsiadująca z moim stanem kanadyjska prowincja Vancouver.

„A Europa? Jakiś jej cichy zakątek nie wchodzi w rachubę"?

Nie wchodzi.

„Naprawdę nie?"

Przestań!

„Bo ja jestem gotowa pójść za ukochanym wszędzie. Na koniec świata! Nie wierzysz?"

Wierzę! Fińskie panny tak zwanych dobrych domów mają poprzewracane w głowie!

Naładowane elektrycznością dwie nowe deklaracje Gaby, przesłane na poste-restante. W Hamburgu tropik. Brakuje powietrza do oddychania. Mam się zlitować, bo jeśli nie zobaczy mnie rychło, nie odpowiada za siebie.

Ze schodów poczty machinalnie rozglądam się za jej czerwonym kabrioletem. Słów Gaby nie wolno bagatelizować. Można nie wierzyć Biblii, ją w sprawach miłości trzeba brać serio. Przyglądam się uważnie samochodom zaparkowanym wzdłuż chodników ulicy. Ta plama bordo za moim metalicznie zielonym volvo, czy to przypadkiem nie jej wóz? Leniwe baranki chmur rozbiły się na spłoszone oddzielne stadka i zrobiły przejście dla światła. Dużo światła. Mrużę oczy i zwężonymi źrenicami przybliżam obraz. Niemożliwe, ale jednak! Szatan nie kobieta, już mnie dostrzegła. Wyskakuje z samochodu i nie zważając na ruch na jezdni, biegnie przez ulicę. Skąd ona wydębiła mój adres, przecież nikomu go nie dałem! Ma na sobie tę samą suknię wieczorową, co w Alhambrze, biegnie szybko, jej długie nogi śmigają w powietrzu. Uskrzydlona pożądaniem Afrodyta w pogoni za Erosem. Ale z niej wystrzałowe stworzenie!

Zwidy. Zauroczyła mnie sobą ta czarownica. Widzę mężczyzn pożerających ją wzrokiem. Nie zapomniałem opętanego rują zwierzaka w klatce taksówki pędzącej na zatracenie. Często, coraz częściej nawiedza mnie w snach. Nawiedza — właściwe słowo, bo sny o niej zadają cierpienie: ona nie jest niewyraźnym majakiem, jakie snują się w marzeniach sennych i z momentem przebudzenia znikają z pamięci. Jest wonnym nektarem podsuwanym w czarze jej gorącego ciała, aby w ostatniej chwili, kiedy mam się w nim zanurzyć, rozpłynąć się we mgle. Przewrotna! Gdyby nie moja samokontrola, poleciałbym do niej na skrzydłach!

Pisze do mnie po niemiecku. Z przekory czy tak jej wygodniej, bo zna angielski. Drogi! Najukochańszy! Skarbie mój! — rozkręciła swoją wyobraźnię na pełny regulator. Niejaki doktor Oskar Norderstedt, meteorolog z zawodu, przebywający czasowo na Spitsbergenie, całkowicie wyparował z jej słownictwa.

Już się zdecydowałem. To będzie gdzieś w Republice Federalnej. Kiedy? — muszę się jeszcze zastanowić, ale z matką spotkam się na pewno gdzieś tam. Powiedzmy w Monachium, miałaby niedaleko ze swojej Szwajcarii.

ROZDZIAŁ 9

Ostatnie lata swojej służby zamorskiej Samuel Highbrow spędził na wyspach Bahama. Basen Morza Karaibskiego ze swoim położeniem względem obu Ameryk stanowił oczko w głowie służb wywiadowczych Stanów Zjednoczonych. Bogactwa naturalne południa płyną tędy na północ, produkty przemysłowe północy — na południe. Każdy obcy, pałętający się na tych wodach, bez względu na kolor bandery i stopień zażyłości z Amerykanami, był dla nich ością w gardle. Ale dopiero zawładnięcie Kubą przez nieukładnego wobec Waszyngtonu buntownika przeistoczyło ten rajski zakątek w kipiący wulkan. W ukierunkowany od lat krwiobieg wdarło się obce ciało. Groźne dla całego organizmu. Przeciwko intruzowi Stany Zjednoczone uruchomiły cały posiadany arsenał wojenny bez oglądania się na skutki uboczne. Rezydencja gubernatora wysp Bahama w Nassau stała się znakomitym punktem obserwacyjnym toczących się zmagań. Dla pułkownika Highbrowa, uczonego od dziecka niestrzelania do muchy z najgrubszej armaty, metody pracy wywiadu amerykańskiego nie przypominały nic, co na ten temat wiedział wytrawny pracownik wywiadu brytyjskiego. Niedługo po kryzysie karaibskim, który o mało nie wywrócił świata do góry nogami, Samuel Highbrow skorzystał z nadarzającej się okazji i przeszedł na emeryturę. Jeszcze raz stare przegrało potyczkę z nowym. Kilka październikowych dni sześćdziesiątego drugiego roku zamknęło ostatecznie chwalebny rozdział dziejów jego kraju. Wielu ludzi, bez których mrówczej pracy Imperium Brytyjskie zmarłoby już przy swoim porodzie, wysadziło na boczny tor. Są jednak profesje i profesje. Wiedza zawodowa byłego oficera Secret Intelligence Service szybko znalazła sobie nabywców pośród klienteli cywilnej.

C.D.N.

Rys. Janusz Szymański-Glana